



WOŁA
MNIEM
CIEMNOŚĆ

DAJĘ CI WIECZNOŚĆ – AKT I

AGATA
SUCHOCKA

AGATA
SUCHOCKA

WOŁA
MNIĘ
CIEMNOŚĆ

DAJĘ CI WIECZNOŚĆ – AKT I



initium
wydawnictwo

Kraków 2018

Copyright © AGATA SUCHOCKA
Copyright © WYDAWNICTWO INITIUM
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA
Korekta: NATALIA MUSIAŁ, ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA
Projekt okładki, DTP: PATRYK LUBAS
Fotografie wykorzystane na okładce: © Silke Kemmer / Arcangel
© Mark Owen / Arcangel
Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Wydanie I
ISBN 978-83-62577-67-5
Wydawnictwo INITIUM



www.initium.pl
facebook.com/wydawnictwo.initium
e-mail: initium@initium.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

PROLOG

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

XXXVI

EPILOG



PROLOG

Przyciskał notatnik do piersi, jakby był on czymś żywym i mógł wyrwać się z jego ramion. Wciąż wstrząsały nim spazmy szlochu, płakał, tak jak nie płakał jeszcze nigdy dotąd.

Nie mógł uwierzyć w to, że wszystkie obietnice zostały złamane, a wszystkie przysięgi okazały się tylko pustymi słowami.

Gdy nie miał już sił krzyczeć z rozpacz, usiadł w fotelu stojącym przy łóżku i otworzył notatnik. Rozpoznał zamaszyste, pochyłe pismo i żal na nowo ścisnął mu gardło. Przełknął jednak łzy i zaczął czytać.

I

Nienawidziłem alkoholu.

Nie mogłem patrzeć na przyjaciół, będących przecież jeszcze młodzikami, gdy potajemnie pili na umór i konwulsyjnie zwijali się w krzakach, zanim każdy padł gdzieś na sianie w swojej stajni. Towarzyszyłem im, owszem, ale co miał robić piętnastoletni chłopak z dobrego domu, który nie musiał robić nic? Snuliśmy się ulicami Baton Rouge i Nowego Orleanu jak złe duchy, uwodziliśmy Kreolki i trwoniliśmy majątki ojców, grając w karty i nie przejmując się nadchodzącą wojną. Wydawało nam się, że jesteśmy panami świata!

Oczywiście nie wiedzieliśmy jeszcze, że wybuchnie wojna. Życie upływało nam na zabawie, konnych przejażdżkach i marzeniach o Europie; wszyscy byliśmy już jedną nogą gdzieś na Starym Kontynencie, gdzie mieliśmy odebrać odpowiednie wykształcenie, mające kiedyś pomóc nam w zarządzaniu plantacjami.

Nienawidziłem plantacji, smrodu chat niewolników i codziennych wyjazdów z ojcem w pola, na których niepokorni robotnicy uprawiali trzcinę cukrową i bawełnę. Gdy byłem dzieckiem, pola wydawały mi się nieskończonym światem, a czarni niewolnicy – istotami z piekła rodem, do których nie mogłem się przyzwyczaić. Moja piastunka była niemal biała, kreolską krew zdradzały jedynie jej kręcone włosy, wymykające się spod wykrochmalonego czepka i głęboki, gardłowy głos, którym wyśpiewywała kołysanki w niezrozumiałym dla mnie języku.

Byłem dziwnym dzieckiem. Najwcześniejsze lata swojego życia spędziłem w większości pod fortepianem matki, jako warty i chorowity chłopiec, któremu klimat Południa wyraźnie nie służył. Gdy nieco podrosłem i nabrałem sił, matka chciała mnie zabrać do Francji, do majątku dziadka, Louisa Marcata, producenta cenionych w całej Europie winiaków.

Marcat był potentatem, z którym moja babka nawiązała korespondencyjną znajomość. Mieszkała wówczas w Londynie i chciała się wyrwać na południe Europy, a później do Nowego Świata, uciekając przed jakąś rodzinną tajemnicą, o której nigdy nikomu nie opowiedziała. Pewnego lata przybyła do winnic Marcata, by skonsumować ich epistolarną znajomość. Siła perswazji mojej babki

była tak duża, że Marcat powierzył zarządzanie uprawami i produkcją trunków zaufanym ludziom, po czym wyruszył wraz z nią do Ameryki. Babka była kobietą wyzwoloną, urodzoną u schyłku poprzedniego stulecia, o niezwykle silnej osobowości i przemożnym wpływie na mężczyzn.

Nazywała się Blanche Avoy.

Jej przeszłość i dzieciństwo tonęły w cieniu, nigdy nie wspominała o zamierzonych czasach. Niejednokrotnie żałowałam, że odeszła, zanim dorosłam na tyle, by porozmawiać z nią o jej młodości. Mając dwadzieścia trzy lata, zwiedziła już Austrię i Włochy, podążając za premierami operowymi i uczując na przyjęciach wydawanych na cześć najsławniejszych śpiewaków, zawsze jednak wracała do rodzinnego Londynu. To było wszystko, co pozwalała o sobie wiedzieć.

Trunki z plantacji mojego dziadka były wówczas bardzo popularne na arystokratycznych salonach i Blanche postanowiła odwiedzić sławne francuskie winnice. Do wyprawy przygotowywała się bardzo starannie, uwodząc Marcata wyrafinowanymi listami. Gdy w końcu przybyła do Paradis D'Marcat, zakochała się bez pamięci w człowieku, który o winogronach mówił z równą pasją i miłością, z jaką ona opowiadała o operze.

Był rok 1817.

Wyprawa do Ameryki miała być tylko epizodem w życiu moich dziadków. Wyjechali, by zainwestować rozrastający się majątek. Zanim jednak interesy rozkręciły się na dobre, babka była już w ciąży. W 1820 roku na świeżo założonej plantacji powiła moją matkę. Córka odziedziczyła po niej wiotkość i bladość, która mogła pięknie się komponować z londyńską mgłą, jednak wyglądała zupełnie nienaturalnie na tle czarnych twarzy niewolników i dzikiego krajobrazu Południa.

Babka nie odzyskała formy po urodzeniu córki i nie było mowy o forsującej podróży do Europy. Nigdy już nie miała wrócić na Stary Kontynent i moja rodzina zaczęła na dobre wrastać w bagna Luizjany. Louis pompował fundusze napływające z Europy w powiększające się amerykańskie plantacje i pogodził się z myślą, że najprawdopodobniej nigdy nie powrócą do Francji.

Moja matka, Maria Louisa, dorastała i szybko stało się jasne, że będzie jedynaczką. Nie doczekawszy się męskiego potomka, który mógłby przejąć plantację, a nie chcąc stracić dorobku wielu lat, Louis postanowił wydać swą jedynaczkę za Williama – syna lokalnego plantatora bawełny, Jima Jardineux. Młodzieniec, który urodził się w roku 1816, nie miał przed sobą innej przyszłości, niż zarządzanie ziemią i niewolnikami, podobnie jak jego ojciec,

dziadek i pradziadek, który w połowie poprzedniego stulecia emigrował z Francji. Był to nieustraszony pionier, orzący pierwsze pola własnymi rękoma. Taka przynajmniej była oficjalna wersja jego życiorysu, gorliwie podtrzymywana przez rodzinę.

Jim Jardineux przyznał się kiedyś mojemu dziadkowi podczas gry w karty, że jego przodek tak naprawdę uciekał przed wyrokiem, a nie poszukiwał nowych terytoriów do zasiedlenia. Louis docenił szczerść Jima i obiecał oddać swą nienarodzoną jeszcze córkę jego synowi, Williamowi, mającemu wówczas cztery lata. Taka przynajmniej była oficjalna wersja, gorliwie powtarzana przez dziadka. Ja do tej pory zastanawiam się, czy Jim Jardineux nie wygrał swojej przyszłej synowej w karty.

Maria Louisa, tak jak jej matka, władała czterema językami, potrafiła pisać i śpiewać po łacinie, włosku i hiszpańsku, uczyła się gry na fortepianie i skrzypcach, budząc zdziwienie i fascynację okolicznych kobiet, których głównymi życiowymi celami było najpierw wyszywanie, potem flirtowanie i pikniki, a w końcu rodzenie synów, mających w przyszłości dziedziczyć majątki swych ojców. Damy przesiadywały w salonie moich dziadków, z zaciekawieniem przyglądając się Marii i jej matce, jakby były jakimiś egzotycznymi zwierzętami.

Mimo że mężczyźni z Południa twierdzili, iż edukowanie kobiet to strata czasu i pieniędzy, pozwalali swoim córkom odwiedzać Marię Louise tak długo, jak długo te nie chciały iść w jej ślady.

Wkrótce dom moich dziadków stał się centrum życia towarzyskiego na poziomie europejskim, a moja przyszła matka – jedną z najlepszych partii na całym Południu. Okolicznych kawalerów nie zrażała ani jej wątłość, ani fakt, iż była obiecana Williamowi.

Aby nie rozbudzać zbyt nadziei konkurentów i nie powodować niepotrzebnych napięć w towarzystwie, ślub Marii Louisy i Williama odbył się w dniu siedemnastych urodzin mojej matki, w roku 1837.

Na owoc konsumpcji małżeństwa trzeba było długo czekać. Dopiero pięć lat później, podczas wilgotnej i chłodnej zimy roku 1842, urodziła się moja starsza siostra Theresa. Po naszym ojcu odziedziczyła krzepkość i grube rysy, jednak wyrosła na piękną, silną dziewczynę, pożądaną przez wszystkich okolicznych chłopców. Miałem dziewięć lat, gdy wyszła za mąż i wyjechała na Północ. Wówczas konflikt między Północą i Południem nie był jeszcze tak wyraźny. Siostra jednak nigdy nie wróciła na plantację; po kilku latach doszły nas słuchy, że oboje z mężem zostali działaczami na rzecz wyzwolenia niewolników.

Rodzice nigdy tego nie komentowali, a ja byłem zbyt młody, by mnie to obchodziło.

Przez dwa lata po przyjściu na świat Theresy rodzice starali się o syna. William powoli tracił nadzieję, ale matka, wbrew wątłej posturze, była silna i po dwóch nieudanych ciążach w końcu przyszedłem na świat. Był rok 1845.

Babka nie była jeszcze wiekowa, nalegała jednak, aby tradycyjnie nas wychować i wykształcić. Wymusiła na córce i zięciu obietnicę, że jeśli umrze, nie dopilnowawszy tego, dokończą jej dzieło. Nawet jeśli miałem zostać plantatorem, to światowym i władającym kilkoma językami, abym mógł robić interesy za granicą. Babka ubolewała nad tym, że nasz ojciec mówił jedynie po francusku, i to z wyraźnym akcentem kreolskim. Gdy nieco dorosłem, zastanawiałem się nad tym, dlaczego Blanche, wyzwolona i liberalna za młodu, kładła tak duży nacisk na tradycyjne, celebrowane na Południu wartości. Czas pokazał, iż były one jedynie tarczą, za którą południowcy skrywali swoje prawdziwe, często bestialskie instynkty. Widok ojca, który wycierał dłonie w haftowaną chustkę po ubiczowaniu niewolnicy, przez miesiące prześladował mnie w snach. To po tym zajściu postanowiłem, że gdy już popłynę do Europy, gdy raz wyrwę się z Ameryki, nigdy tam nie wrócę.

Mój dziadek wielokrotnie opowiadał mi o winnicach, które z wielką troską i miłością pielęgnował za młodu. To właśnie z sentymentu i tęsknoty za Gaskonią dał mi na imię Armagnac.

Zanim skończyłem pięć lat, Blanche już nie żyła. Odeszła po długiej i wycieńczającej chorobie. W ostatnich dniach jej życia nie pozwalano mi podchodzić do jej łóżka, nawet zbliżać się do pokoju, w którym leżała. Nie widziałem również jej ciała w trumnie i nie pamiętam, abym brał udział w pogrzebie, choć potrafię przypomnieć sobie kamień nagrobny z jej imieniem wyrytym ozdobnym pismem. Gdy minęły lata, doceniłem fakt, iż rodzice zaoszczędzili mi traumy oglądania babki w trumnie. Dzięki temu mogłem zachować w pamięci jej obraz: uśmiechnięte, ogromne oczy koloru jesiennego nieba i gładko zaczesane, kasztanowe włosy. W mojej pamięci na zawsze pozostała piękna i tajemniczo uśmiechnięta.

Zropaczony Louis Marcat, nie mogąc egzystować w miejscu, w którym wszystko przypominało mu ukochaną zmarłą żonę, przepadł we Francji, zostawiając mnie z porywczym ojcem i dziwnym imieniem, skulonego pod fortepianem matki: zamyślanej, młodej jeszcze dziewczyny, zafascynowanej siłą i krzepkością swego męża, amerykańskiego plantatora. Dopiero wiele lat później miałem się przekonać, jak zręcznie Maria Louisa odgrywała wielką miłość

do swojego prostolinijnego, skupionego na pracy fizycznej małżonka.

Był rok 1850.

Matka żyła we własnym świecie, próbując idealizować Williama i będąc mu wdzięczną, że nie znalazł sobie jakiejś kolorowej kochanki, gdy raz po raz podejmowała nieudane próby powicia syna. Wielu plantatorów utrzymywało w miastach całe rodziny, Maria jednakże odpychała od siebie myśl, że jej mąż mógłby być zdolny do prowadzenia podwójnego życia. Jeśli William faktycznie miał gdzieś kochankę czy bękarty, nigdy się o tym nie dowiedzieliśmy. Swoje zniknięcia, nieraz kilkudniowe, tłumaczył interesami, a matka chciała mu wierzyć.

Idealy, które wpoila jej babka, gasły powoli w starciu z rzeczywistością Południa i Maria szybko się przekonała, że nigdy nie wyjedzie do Europy, o której tyle słyszała, nigdy nie zobaczy przepięknych winnic, za sprawą których przyszła na świat. Cztery cięższe, prawie jedna po drugiej, poważnie nadważyły jej zdrowie i William nie chciał nawet słyszeć o jej wyjeździe do francuskiego majątku ojca – ani teraz, gdy miała doglądać naszego wychowania, ani wspólnie ze mną w przyszłości, gdy zgodnie z wolą babki miałem się udać w takową podróż. Im bardziej zbliżał się moment mojego wyjazdu, tym więcej chłodu i zazdrości było w spojrzeniu matki, w jej smutnych, zimnych oczach, które gasły z dnia na dzień. Pożegnaliśmy się chłodno, a obraz jej szczupłej sylwetki na nabrzeżu, chusteczki powiewającej w uniesionej dłoni, który niejednokrotnie przywoływałem w pamięci podczas długiego i niebezpiecznego rejsu, był tylko wyobrażeniem.

W roku 1860, mając piętnaście lat, wiedziałem już, że wyjadę z zatęchłego Południa, zbliżającego się do nieuchronnego konfliktu zbrojnego z Północą. Chociaż głowy młodzieńców wokół były gorące, ja nie czułem się patriotą, chciałem uciec, zanim ktokolwiek pomyślałby o tym, żeby wysłać mnie na wojnę.

Byłem podobny do Blanche Avoy – nie tylko fizycznie. Jej postać fascynowała mnie, choćby dlatego że w opowieściach matki zawsze była piękną, wykształconą kobietą, niezależną dziewczyną, podróżującą samodzielnie po Europie i chłonącą rozkosze życia wśród artystów i sztuki. Jak bardzo była wyemancypowana, wiedziała tylko ona sama i tę tajemnicę zabrała do grobu. Matka skrycie ją podziwiała, wiedziała jednak, że nigdy jej nie dorówna i nie będzie prowadzić podobnego życia. Chciała, żebym choć ja go zakosztował, zanim na dobre wrosnę w podmokłą glebę plantacji, choć jednocześnie skrycie mi zazdrościła.

Na co dzień otaczało mnie niewiele kobiet takich jak Blanche. Mogłem chodzić w konkury jedynie do utrefionych prostaczek, ostrzających sobie ząbki na mój majątek. Nie bardzo miałem na to ochotę, szczególnie w obliczu rychłego wyjazdu. Upodobałem sobie za to inne rozrywki, mając w pamięci obietnicę złożoną przez rodziców Blanche: skupiłem się na zgłębianiu tajników muzyki, która otaczała mnie od małego. Nieraz zasypiałem na szezlongu, słuchając smutnych melodii wygrywanych przez moją matkę na rzeźbionym, sprowadzonym z Północy fortepianie, które wraz z upływem lat stawały się coraz bardziej smętne.

Od małego naśladowałem ją, stukając, początkowo bezładnie, w klawisze. Szybko odkryto u mnie talent. Maria Louisa najpierw uczyła mnie sama, a później wynajmowała najlepszych nauczycieli. Miałem również smykałkę do języków i gdy byłem jeszcze podrostkiem, rozmawiałem z matką po włosku i hiszpańsku, doprowadzając tym do szału ojca, który bezskutecznie usiłował zainteresować mnie uprawami i niewolnikami. Czarnych bałem się jak ognia i unikałem ich, jak tylko mogłem, a oni, wyczuwając mój lęk, pozwalali sobie na zdecydowanie zbyt wiele – w końcu byłem synem ich pana. Nigdy jednak nie miałem w sobie dość odwagi, by donieść na któregoś z zuchwałych parobków.

William powoli tracił do mnie cierpliwość, lecz matka zawsze stawała po mojej stronie, przypominając mu o woli Blanche. Miałem zostać światowym dżentelmenem, a nie farmerem wymachującym batem nad głowami niewolników. Dorastając, coraz częściej słyszałem, jak Maria w gniewie nazywa ojca pod nosem „prostakiem z batem”. Wiele lat później uświadomiłem sobie, że lojalność wobec męża była jedynie pozą, tarczą, za którą matka skrywała głęboką niechęć, rosnącą z każdą chwilą. W pewnym momencie nie mogła już ignorować faktu, że tak bardzo się różnili. W owych czasach byłem jednakże zajęty snuciem fantazji o podróży do Francji, które kompletnie zawładnęły moją wyobraźnią. Nie zwracałem sobie głowy relacją łączącą moich rodziców.

Marcat oczekiwał mnie w swoich winnicach. Ciągle jeszcze cieszył się dość dobrym zdrowiem, więc miałem go odwiedzić i przekazać mu najnowsze wieści o rodzinie. Następnie zaplanowano podróż do Londynu, gdzie, zakwaterowany u dalekich krewnych czy znajomych, miałem odebrać odpowiednie ekonomiczne wykształcenie, a potem udać się na powrót do francuskiego majątku dziadka, aby sprawdzić wiedzę w praktyce i przez dwa lata prowadzić rodzinne winnice. W końcu miałem wrócić do Ameryki i jako plantator ekonomista pomnażać majątek.

Wyjechałem więc, będąc jeszcze chłopcem, pod opieką wynajętych

nauczycieli.

Nigdy jednak nie wróciłem. Nie dlatego że taki był mój pierwotny tajny plan, a dlatego że nie było do czego wracać.

W Ameryce wybuchła wojna, ja tymczasem dotarłem do Francji i czekałem na wieści z domu, które docierały do nas z dużym opóźnieniem. Chciałem przeczekać perturbacje w rodzinnym kraju. Wszyscy wierzyliśmy, że wojna potrwa chwilę i sytuacja wróci do normy, rozlokowałem się więc w posiadłości dziadka i – jako że nie miał fortepianu i okropnie się nudziłem – rozpocząłem naukę praktyczną. Szybko opanowałem zarządzanie winnicami, zacząłem też reprezentować Marcata podczas sprzedaży naszych win.

Wojna się przeciągała, a my przez lata żyliśmy w ciągłym strachu. Majątek topniał w zastraszającym tempie, gdyż dziadek wysyłał za ocean bająnskie sumy, usiłując ratować to, co pozostało z plantacji Jardineux. Moi nauczyciele znikali jeden po drugim. Działania zbrojne stopniowo pustoszyły Południe, a dziadek stracił wszystko, próbując pomóc moim rodzicom podźwignąć się po klęsce konfederatów. W krótkim czasie nie było już francuskich winnic, którymi mógłbym zarządzać, ani amerykańskich plantacji, które mógłbym odziedziczyć. Louis Marcat natomiast, nie potrafiąc znieść życia bankruta, zniknął razem z majątkiem. Odnaleziono go w stuporze, pochylonego nad księgami rachunkowymi z czasów prosperity.

Nie mogłem patrzeć na jego zniszczone ciało, w którym tliła się zaledwie isierka życia. Byłem zbyt młody, by brać na barki nasz marny los. Zgodnie z pierwotnym planem, choć z dużym opóźnieniem, wyjechałem do Londynu, nie miałem jednak za co studiować. Zamieszkałem u jedynej żyjącej krewnej, którą udało mi się odnaleźć, nie wiedziałem nawet, czyją krewną była, a ona sama, zbyt stara i zdziwaczała, nie paliła się do wyjaśnień. Wciąż brała mnie za od lat nieżyjącego męża, pijaka i hulakę, z którym tylko się kłóciła.

Rodzice nie potrafili się przystosować do odmienionej powojennej rzeczywistości. Porzucili dom, w którym przez jakiś czas rezydowały jankeskie wojska, i osiedlili się w odbudowywanej z gruzów Atlantcie. Za ostatnie pieniądze otrzymane od Marcata wynajęli mieszkanie i próbowali rozkręcić jakiś interes, ale bez powodzenia. Miałem wrażenie, że wojna sięgnęła swoimi mackami również za ocean i zdusiła całą naszą rodzinę.

Matka więdła w oczach. Zmarła w Atlantcie w roku 1868, na krótko po tym, gdy latem skończyłem dwadzieścia trzy lata. Po jej śmierci ojciec zupełnie się załamał i rozchorował podczas podróży morskiej do Anglii. Chciał osobiście przekazać mi tę smutną wieść, lecz nie zdążył zejść na ląd. Jego ciało pochłonał

ocean, gdyż rejs trwał zbyt długo, by zdołano dotransportować je do portu. Na pamiątkę po mojej niegdyś prosperującej amerykańskiej rodzinie zostało mi pudło papierów, przekazane przez kapitana.

Późną jesienią roku 1868 byłem zubożałym sierotą o domniemanych arystokratycznych korzeniach, młodym mężczyzną, który oprócz umiejętności władania czterema językami, gry na fortepianie i zaawansowanej wiedzy ekonomicznej, której nie zdążył wykorzystać do ratowania rodzinnej fortuny, nie miał nic.

II

Gdybym wówczas nie spotkał pewnego młodego skrzypka, którego ojciec miał więcej ambicji niż rozumu, moje życie z pewnością potoczyłoby się zupełnie inaczej.

W dobie Liszta niewielu skrzypków miało szanse na międzynarodową karierę, po prostu przestali być modni, mogli jednak zaistnieć jako chałturnicy, grywający w domach londyńskich miłośników sztuki. Takim właśnie chałturnikiem był Lothar Mintze, syn pruskiego muzykanta, zafascynowanego Paganinim, pragnącego, by jego potomek, urodzony dokładnie dziesięć lat po śmierci wirtuoza, zrobił równie szybką i błyskotliwą karierę. Zapędy ojca sprawiły, że dorastający chłopak uciekł z domu, gdy tylko zorientował się, jakie życie czeka go pod okiem apodyktycznego rodzica. Ojciec nie zamierzał odstąpić od realizacji szalonego planu, choć jego potomek najpewniej nie był geniuszem ani tym bardziej typem wirtuoza, a do tego szczerze nienawidził gry na skrzypcach. Była to jednak jedyna rzecz, jaką Lothar umiał robić na tyle dobrze, by się z niej utrzymać. Uciekał przed ojcem po całej Europie, zarabiając grą na podróże, aż w końcu osiadł w Londynie. Dopiero tu mógł odetchnąć i przestał oglądać się przez ramię.

W poszukiwaniu partnera do chałturnicznych występów młodziutki skrzypek wstąpił do baru, w którym brzdąkałem na pianinie smętne utwory, nie mogąc się pogodzić z nagłym osieroceniem i pijąc za ostatnie grosze znienawidzony winiak ocalały z piwnic mojego dziadka, jakbym chciał podkreślić groteskowość i tragizm swej sytuacji.

– Czy mogę panu postawić coś do picia? – usłyszałem za plecami, gdy odstawiałem pustą szklankę na pianino.

– Nie – odparłem bez zastanowienia, ocierając usta wierzchem dłoni. – Nie cierpię alkoholu.

– Doprawdy? – Zabrzmiało to dość sarkastycznie, ponieważ szklanka, którą odstawiłem, była czwartą pustą szklanką. Jakoś nie zdałem sobie wcześniej sprawy z tego, że zdążyłem wypić aż tyle.

Odwróciłem się powoli, odczuwając skutki pochłoniętego trunku. Na pierwszy rzut oka dość mało precyzyjny mężczyzna wydał mi się bardzo stary, białe włosy opadały mu na ramiona, kontrastując z czarnymi jak węgle

oczami. Potrząsnąłem głową, ale tylko mi się w niej zakręciło, jakość widzenia pozostała niezmienną.

– Mam już dość na dzisiaj... – mruknąłem, wstając, zatoczyłem się jednak i straciłem równowagę. – I na jutro też... – bąknąłem, próbując uchwycić się pianina. Wtedy poczułem ramię przytrzymujące mnie, abym nie upadł, i byłem na tyle przytomny, by uświadomić sobie, że tak silna ręka nie może należeć do starca. – Kim pan jest, jeśli mogę zapytać? – wybełkotałem i nagle zrobiło mi się wstyd z powodu mego żalostnego stanu. W tamtej chwili uosabiałem wszystko, czym jeszcze niedawno tak szczerze gardziłem.

– Pytanie powinno raczej brzmieć: kim pan jest? – odrzekł nieznajomy, pomagając mi usiąść przy stoliku. – Jestem pod wrażeniem pańskiej gry. I faktu, że w ogóle potrafi pan grać w takim stanie.

– Chce pan rozmawiać o moich umiejętnościach? Czy może raczej mnie obrazić?

Nie widziałem wyraźnie, ale chyba wykonał gest w stronę baru. Po chwili, która mogła trwać minutę albo i godzinę, młodzianka kelnerka, na którą zwróciłem uwagę, zanim haniebnie się upiłem, postawiła przede mną filiżankę czarnej kawy. Ciepły, intensywny aromat otrzeźwił mnie na tyle, że mogłem się przyjrzeć rozmówcy. W istocie był młodziankiem chłopakiem o nietypowej, delikatnej urodzie: bardzo jasnych włosach i czarnych oczach, wychwytyjących w półmroku blask płomyków gazowych lamp, oświetlających ponure wnętrze lokalu.

– Właśnie o tym chciałbym porozmawiać. – Gestem zachęcił mnie do wypicia łyka kawy, która była wyjątkowo mocna i wysokiej jakości, jak na tak podrzędny lokal. Nawet filiżanka była czysta. Zaczynałem zauważać takie detale, co znaczyło, że trzeźwiałem szybciej, niżbym sobie tego życzył.

– O moim wykształceniu muzycznym? – zapytałem, jakbym go nie dosłyszał.

– Nie obchodzi mnie pańskie wykształcenie. Obchodzi mnie pańska umiejętność nadzwyczajnej interpretacji utworów Liszta. Czy musi pan się upić, aby tak grać, czy na trzeźwo idzie panu równie dobrze?

– Jest pan bezczelny i niegrzeczny! – zauważyłem mało błyskotliwie.

– Może i jestem, ale to ja płacę za kawę i chyba choćby z tego tytułu mam prawo zadać panu jedno proste pytanie, jakże istotne dla sedna naszej rozmowy.

– Sedna rozmowy? – dukałem jak wiejski głupek. Nie mogłem już siebie słuchać. Upiłem kolejny łyk kawy, była jak płynny ogień.

Chłopak wyglądał na rozbawionego przebiegiem naszej konwersacji. Mimo

impertynencji miał w sobie coś intrygującego, chociażby odwagę do konfrontacji z barowym pijakiem, jakim byłem w tamtej chwili. Mój strój sugerował coś innego, ale on nie mógł wiedzieć, że to ostatnie przyzwoite ubranie, jakie miałem.

– Szukam partnera do duetu instrumentalnego – wyjaśnił, opierając łokcie na stoliku. – Pianiści są dziś w cenie, podczas gdy my, skrzypkowie, odchodzimy w cień. Paganini jest już niemodny. Londyńczycy uważają, że nie ma sensu słuchać skrzypków, którzy nigdy mu nie dorównają. Niektórzy jeszcze go pamiętają i póki nie zapomną, niewiele jest dla nas miejsca na rynku muzycznym, jeśli mogę tak się wyrazić.

– I pan jest właśnie skrzypkiem, który nigdy nie dorówna Paganiniemu? – Poczulem, że na chwilę triumfuję, choć nie wiem, dlaczego ta rozmowa wydawała mi się rywalizacją. – Niech więc pan zmieni, jak pan to powiedział, rynek muzyczny, na inną branżę.

Chłopak się nie oburzył, tak jak ja bym zrobił, tylko uśmiechnął nieznacznie.

– Tak właśnie jest – odparł, unosząc głowę. – I nie mogę zmienić rynku, gdyż poza grą na skrzypcach nie potrafię nic innego, co mogłoby mi zagwarantować utrzymanie. Pewne osoby mają o mnie wyższe mniemanie niż ja sam – dokończył, patrząc mi prosto w oczy.

– Wyższe?

– Uważają, że mogę dorównać Paganiniemu, co oczywiście jest kompletnym absurdem. Dlatego właśnie potrzebuję pana. – Wycelował w moją stronę długi biały palec. – Chociaż nigdy nie dorówna pan Lisztowi, gra pan na tyle ciekawie, aby wzbudzić zachwyt gawiedzi, gotowej słono płacić za to, że posłucha choćby średnio udanej imitacji.

Przez moment miałem ochotę przechylić się przez stół i wymierzyć mu policzek lub zrobić coś równie niedorzecznego, miał jednak absolutną rację i musiałem gorzko się roześmiać. Prawda była taka, że – jakkolwiek wydumane było wówczas moje mniemanie o własnym talencie – musiałem znaleźć sobie jakieś intratne zajęcie, nawet jeśli miałyby to oznaczać schowanie dumy do kieszeni i granie na herbatkach u bogatych podstarzałych dam, marzących o ostatnich w życiu uniesieniach. Lepsze to, niż pozostawanie na utrzymaniu ciotecznej babki, która poszła na dno razem z resztą naszej rodziny.

– I wróży pan nam, dwóm ostatniej jakości muzykom, karierę na tutejszym rynku muzycznym? – Na moich ustach igrał ironiczny uśmiešek.

– Zdziwiłby się pan, jak mało wymagająca jest tutejsza publiczność – odrzekł, opierając się na krześle i krzyżując ręce na piersi.

- Sugeruje pan, że będziemy aż tak kiepscy?
- Wręcz przeciwnie, dlatego tym łatwiejsze będą to pieniądze! – Zauważyłem isierki w jego czarnych oczach, jakby już widział naszą błyskotliwą karierę.

Wpatrywałem się w niego bez słowa. Był młody i pełen energii, zupełnie jak ja do niedawna. Przez moment miałem wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku dni bardzo się postarzałem, straciwszy w jednej chwili wszystko, co było dla mnie równie oczywiste jak codzienny wschód słońca. Brak pomysłu na dalsze życie zaprowadził mnie na dno, a ja, zamiast się od niego odbić, uparcie tarzałem się w mule. Jedynym, co przyszło mi do głowy, był powrót do Francji, do posiadłości dziadka, która miała być wkrótce zlicytowana. Podejrzewałem jednak, że życie u boku zdziwaczałego starca bankruta byłoby równie beznadziejne jak egzystencja przy prawie ślepej ciotce, której jedyną rozrywkę stanowiło pokrzykiwanie na mnie i wygrzewanie przy kominku powykęcanych artretyzmem stóp. Patrząc na nią, cieszyłem się, że moja babka i matka nie dożyły tak podeszłego wieku. Bankructwo i ubóstwo byłyby dla nich nie do zniesienia.

I oto perspektywa odbicia się od dna siedziała przede mną w osobie eterycznego, bezczelnego chłopaka o białych włosach i czarnych oczach.

Oferował mi nowy początek – życie, które utraciłem, zanim zdążyło się na dobre zacząć.

III

Spotkaliśmy się następnego dnia w południe.

W powietrzu czuć już było pierwszy powiew zimy. Opatuliłem się płaszczem i wcisnąłem kapelusz głębiej na czoło, opierając się podmuchom mroźnego wiatru i kaskadom liści gnających mi prosto w twarz. Gryzący, wilgotny dym z kominów zdawał się osiadać na ogołoconych gałęziach niby pokryte sadzą pajęczyny, mokre od napływającej znad rzeki mgły. Ulica była prawie pusta, nie minąłem żadnego kabrioletu, zresztą i tak nie miałbym czym zapłacić za kurs.

Mieszkanie Lothara znajdowało się na drugim piętrze odnowionej kamienicy, jego okna wychodziły na bulwar spacerowy nad rzeką. Klatka schodowa z kutego żelaza i witraże w oknach zapowiadały przyjemne lokum z wysokimi sufitami i ogniem tańczącym w kominku.

Gospodarz czekał już na mnie z imbrykiem gorącej herbaty. Dobrej, angielskiej herbaty zaprawionej rumem, którą uwielbiałem i którą z żalem musiałem niedawno pożegnać. Szczerze mówiąc, byłem mile zaskoczony obszernością i wystrojem mieszkania. Wspomnienia dawnego przepychu mojego domu wróciły w krótkim bolesnym przebłysku.

– Nigdy nie mówiłem, że mieszkam skromnie. – Lothar jakby odgadł moje myśli. – Ani że bez pana nie zarobiłem żadnych pieniędzy – dodał, nalewając herbatę do filiżanek z cienkiej porcelany.

W salonie było przyjemnie ciepło, ogień faktycznie trząskał w kominku, a na środku pokoju pysznił się przepiękny, czarny fortepian, na widok którego z moich ust wyrwało się ciche westchnienie. Był to wspaniały, koncertowy Bösendorfer, niemal rozsadzający pokój swoimi rozmiarami. Mimo całego bogactwa ziemi, nigdy nie mieliśmy równie imponującego instrumentu. Rzeźbione nogi zdawały się zbyt filigranowe, by dźwigać potężne, lśniące cielsko, które dyskretnie chłonałem wzrokiem.

– Myślę, że to instrument godny pańskiego talentu – usłyszałem, gdy zdejmowałem płaszcz. Odebrał go ode mnie lokaj, który wyrósł jak spod ziemi. Nie spodobało mi się to.

– Wystarczy! – Nieproszony, usiadłem na krześle i założyłem nogę na nogę. – Do czego tak naprawdę jestem panu potrzebny?

Lothar uśmiechnął się, wręczając mi filiżankę.

– Młody arystokrata, który niedawno stracił wszystko, jeszcze wczoraj pełen ideałów i z wizją swej świetlanej przyszłości, nagle został z niczym... – rzekł cicho, patrząc na mnie.

Poczułem dreszcz przebiegający po plecach. Nie mówiłem mu o tym poprzedniego wieczoru, a przynajmniej nie pamiętałem, abym mówił, ale nie pamiętałem też, jak się znalazłem w domu. Dlatego w milczeniu wziąłem od niego filiżankę i upiłem łyk.

– Jakże inaczej mogłem pana skusić, jeśli nie wizją nowej, lepszej przyszłości? – kontynuował Lothar. W jego taksującym spojrzeniu było coś niepokojąco drapieżnego. Powoli osunął się na obitą wzorzystym adamaszkiem sofę; jego ruchy przywodziły mi na myśl gigantycznego kota, może tygrysa?

Przez długą chwilę siedzieliśmy w ciszy, aż miałem już dość podejrzeń i niedomówień. Najwidoczniej coś w mojej osobie zaintrygowało Lothara do tego stopnia, że odgrywał przede mną całe to przedstawienie, naigrawając się z moich słabości i wykorzystując beznadziejną sytuację, w której się znalazłem. Wiedziałem, że nie mam nic do stracenia, więc cierpliwie czekałem na rozwój sytuacji.

– Więc? – odezwałem się w końcu. – Będziemy tak siedzieć i przyglądać się sobie? Może wyjaśni mi pan wreszcie, o co tak naprawdę chodzi?

Lothar spuścił wzrok i uśmiechnął się nieznacznie.

– Chciałem pana przygotować na spotkanie z moim, a wkrótce również pańskim, mecenasem – odrzekł, popijając herbatę. – Jest to... – zawiesił głos, jakby się zastanawiał nad doborem odpowiednich słów – ...człowiek o specyficznym usposobieniu i spotkanie z nim mogłoby być dla pana pewnym szokiem.

– Szokiem? – Uniosłem brwi. – Co pan ma na myśli? Czy ten mecenas jest aż tak szokujący, że powinienem się obawiać?

Spodziewałem się zobaczyć uśmiech, Lothar jednak nagle spoważniał. Wstał i powoli podszedł do okna; jego obcasy miarowo zastukały o nagi parkiet z jasnych desek, gdy zszedł z perskiego dywanu. Miał na sobie buty do konnej jazdy, choć w taką pogodę chyba nikomu rozsądnemu nie przyszłoby do głowy dosiadać konia.

– Nie jest to łatwe do wytłumaczenia, proszę mi wierzyć. Mecenas ma w sobie coś, co może wzbudzać lęk, a już niewątpliwie wymusza szacunek. Znając pański temperament, wolałem o tym uprzedzić, aby nie wywoływać niepotrzebnych napięć podczas naszego spotkania.

– Sugeruje pan, że nie potrafię się zachować w obecności wpływowej osoby? Że jestem niewychowanym gburem ze wsi i nie odnajdę się przy jakimś napuszonym, starym idiocie, któremu się wydaje, że może rozporządzać losami innych, tylko dlatego że ma pieniądze? – Staralem się zachować spokój, ale w środku aż się gotowałem. Dopiero jednak gdy wypowiedziałem te słowa, zdałem sobie sprawę z tego, że Lothar ma rację. Ostatnie dni zmieniły mnie w nieokrzesanego prostaka, jakbym wraz z majątkiem stracił ogłade, wykształcenie i resztki dobrego wychowania. – Przepraszam... – powiedziałem cicho. – Ma pan rację, nie jestem chyba gotowy na spotkanie z kimkolwiek poza barmanem. Ostatnie dni były dla mnie bardzo ciężkie i sprawiły, że zmieniłem się w kogoś, kogo sam nie poznaję. Szanuję pańską dobrą wolę, a także wolę pańskiego mecenasa. – Mówiłem to wszystko, ale miałem wrażenie, że ktoś inny wypowiada te słowa, jakby jakiś niewidzialny sufler siedział mi na ramieniu i szeptał wprost do mojego ucha.

– Chciałbym posłuchać, jak pan gra. – Lothar spojrział na mnie ciepłej. – Czy zechce pan wypróbować mój nowy instrument? Dostałem go kilka dni temu i nie miałem okazji dokładnie mu się przyjrzeć.

– Nikt jeszcze nie grał na tym fortepianie?

– Za wyjątkiem stroiciela – nikt. O ile brzdąkanie stroiciela można w ogóle nazwać muzyką!

Wstałem i podszedłem do instrumentu. Był imponujący, nie zdarzyło mi się widzieć dotychczas równie wspaniałego. Na misternie rzeźbionej podpórce nie stały jeszcze żadne arkusze nutowe, pokrywa klawiszy była zamknięta. Zacząłem się zastanawiać, jak zdołano umieścić tego kolosa w pokoju, z pewnością użyto jakiegoś dźwigu... Podziwiałem instrument, zalękniony, jakby miał za sekundę zbudzić się ze snu i mnie pożreć.

– Proszę usiąść. – Lothar wskazał szeroką, pokrytą polerowaną skórą ławkę.

Usiadłem i zdałem sobie sprawę z tego, że jestem zdenerwowany jak przed pierwszym występem dla rodziny, gdy miałem zaledwie kilka lat. Czułem, że od tego, jak zagram, będzie zależało zbyt wiele. Wnętrze było kameralne, a ja czułem się jak w potężnej sali koncertowej po brzegi wypełnionej ludźmi.

Lothar wycofał się i usiadł w fotelu, w zasadzie zniknął w objęciach ogromnego mebla, jakby nie chciał wchodzić pomiędzy mnie i moją muzykę.

Uniosłem klawisz i dotknąłem lśniących klawiszy, nie wydobywając jednak żadnego dźwięku. Ich powierzchnia była chłodna i gładka, przywiodła mi na myśl wszystkie te chwile, kiedy grałem i byłem zupełnie sam – tylko ja i muzyka w powietrzu przesyconym przenikliwą pieśnią cykad, a za oknami

naszego domu zapadał lepki zmierzch Luizjany...

Zagrałem.

Gdybym miał teraz podać tytuł utworu, nie mógłbym go sobie przypomnieć. Liszt, Chopin, jakieś urywki nokturnów czy preludiów, utwory pod moimi palcami zaczęły się stapiać w leniwą improwizację, rozchodzić pod wysokim sufitem jak śpiew niewolnic wśród pól bawełny – majestatyczny, pełen nostalgii i tęsknoty za wolnością, która pozostawała jedynie pojęciem. Dźwięki stawały się coraz bardziej przejmujące, aż w końcu zacząłem tracić nad nimi kontrolę, przestałem je słyszeć, zatraciłem się w kakofonii odgłosów dzieciństwa, które nagle eksplodowały w mojej głowie, przeplatając się z obrazami dawno niewidzianych miejsc. Poczułem, jakby ktoś powoli wysącał z mojego umysłu całe dotychczasowe życie, oglądał je, kartkował i delektował się nim jak dobrym trunkiem. Tym właśnie stała się ta muzyka – całym moim życiem, które zapowiadało się tak cudownie i w jednej chwili zmieniło się w jakąś farsę, obserwowaną przeze mnie z zewnątrz. Miałem wrażenie, że stoję obok i patrzę na siebie, jak pochylony smętnie kiwam się nad klawiaturą, pozwalając, by muzyka, jakiej nigdy wcześniej nie grałem, zawładnęła mną i sprawiła, że czas na chwilę stanął w miejscu, gdy za pomocą dźwięków opowiedziałem całe swoje życie, nie wiedząc nawet, że jestem do tego zdolny.

Mogło to trwać chwilę lub całą wieczność.

W pewnym momencie zdałem sobie sprawę z tego, że już nie gram, a moje dłonie spoczywają bez ruchu na klawiaturze. Słyszałem tylko własny przyspieszony oddech, czułem wilgoć nad górną wargą i na czole, a pod przymknięte powieki wdzierало się szare światło jesiennego popołudnia.

Otworzyłem oczy i wyprostowałem się; całe ciało bolało mnie, tak jakbym nie grał, a dźwigał fortepian na plecach. Wstałem, ława skrzypnęła cicho, a ja odwróciłem się w stronę fotela, na którym siedział Lothar. Patrzył na mnie w milczeniu, pocierając palcem podbródek, jakby się zastanawiał, w jakie słowa ubrać coś, czego nie chciał powiedzieć, a musiał. Po chwili podniósł się i podszedł do kominka. Gdy zaczynałem się irytować jego milczeniem, zapatrzony w ogień, odezwał się cicho:

– Ktoś popełnił kiedyś wielki błąd, zakładając, że powinien pan zostać plantatorem... – Uniósł dłonie, jakby chciał je ogrzać nad płomieniami, choć w pokoju było ciepło. – Dlatego też pańskie nieszczęście jednak wyjdzie panu na dobre – dokończył, odwracając się i przyglądając mi, jakby widział mnie po raz pierwszy.

– Nie rozumiem...

– Zrozumie pan. Gdyby pański majątek nie przepadł, do końca życia wpisywałby pan kolumny liczb w księgach i doglądał winorośli, bawełny, indygo czy co tam uprawialiście. Być może kogoś innego takie życie satysfakcjonowałyby, ale nie pana. W ciągu kilku lat zmieniłby się pan w zgorzkniałego kupca, opanowanego żądzą zysku, myślącego tylko o pieniądzach i niemogącego zmrużyć oka przy niesprzyjającej jego uprawom pogodzie. Teraz, gdy nie ma już czego doglądać, gdy nie ma pan nic do stracenia, może pan spojrzeć w głąb siebie i zagrać to, co dyktuje panu serce. Ponieważ jest pan wolny.

Wolny.

To było właśnie to słowo, które w tamtej chwili stało się ciałem.

Nagle uświadomiłem sobie, że choć miałem tak niewiele, to odzyskałem siebie. Już nigdy nikt nie będzie mi narzucał swojej woli, mówił, kim mam być i jak mam żyć. Jeszcze niedawno całe moje życie było z góry zaplanowane, tyle że nie przeze mnie, i nagle ten plan przestał istnieć, zupełnie stracił znaczenie. Istniały tylko obecna chwila i moja wola. Stałem się panem własnego, choć marnego, losu.

– W pańskiej muzyce drzemie prawda, zdolna poruszyć ludzkie serca. – Lothar wciąż przyglądał mi się uważnie. – Jest w niej tęsknota za życiem, którego pan pragnął, a jednocześnie nienawidził, zanim nawet pan je poznał. Teraz nie ma pan nic, a jednak ma wszystko. Odzyskał pan wolność, choć nie wiedział pan, że był niewolnikiem, niewiele różniącym się od tych, którzy pracowali na waszych polach. Różniło was jedynie to, że pan nie sprzeciwiał się tej niewoli i poddał jej, nie mogąc nic zmienić. Ale to los zdecydował za pana. I teraz, dopiero teraz, uwolniony od wszystkich dóbr materialnych, może pan zdobyć wszystko to, co duchowe. Może pan zdobyć rząd dusz.

Nie w pełni pojmowałem sens jego słów. Czy w ogóle wspomniałem mu, skąd pochodzę i jakie spotkały mnie nieszczęścia? Takie słowa wydawały mi się nie na miejscu w ustach człowieka otoczonego całym tym przepychem, ubranego w aksamit i pijącego wyborną herbatę z filiżanki z cienkiej porcelany. I oto on mówił mi, że zdobędę rząd dusz, że bogactwa materialne tak naprawdę są bez znaczenia i liczy się tylko...

– Władza, proszę pana. Władza jest jak narkotyk... – Lothar wrócił do stołu i dolał sobie herbaty. – Jest jak absynt i morfina, ale nie powoduje tylu nieprzyjemnych skutków ubocznych. Ma pan w sobie niewątpliwy talent i szczerłość, które pozwolą nam sięgnąć wyżej, niż początkowo przypuszczałem. Pozwolą nam kontrolować dusze tych, którzy będą słuchać pańskiej muzyki.

A mając władzę nawet nad jednym człowiekiem, może pan zdobyć cały świat.

Poczułem ukłucie niepokoju. Nie wiedziałem, jak rozumieć to, co powiedział. Przez chwilę wydał mi się istotą nie z tego świata, diabłem, podsuwającym mi do podpisania cyrograf. Czekałem, aż wyciągnie zza pleców narzędzie, którym utoczy mi krwi do podpisu. Wizja wydała się tak realna, że przez moment, gdy na mnie spojrzał, a jego czarne oczy odbiły blask płomieni, poczułem prawdziwy strach.

Za oknem zapadał późnojesienny zmierzch. Miałem wrażenie, że czas przecieka mi przez palce i płynie zbyt szybko.

– Proszę pana, wydaje mi się, że nie... – Właściwie nie wiedziałem, co chcę powiedzieć.

– Czy zostanie pan na obiedzie? – Lothar uśmiechnął się nieznacznie. Demoniczność gdzieś zniknęła, a on znów był młodym mężczyzną, który zaczepił mnie w tawernie.

– Z chęcią – odparłem, bowiem od dwóch dni nie jadłem porządnego posiłku.

IV

Lord wkrótce do nas dołączy. – Lothar powoli odkrajał kęsy, jadł niespiesznie i elegancko. Z trudem powstrzymywałem wilczy apetyt, w duchu śmiejąc się z siebie. Byłem przecież wykształconym człowiekiem, a dwa dni diety zrobiły ze mnie dzikusa.

Lord Edgar Francis Huntington.

Wyobraziłem sobie starego zarozumialca, któremu wydaje się, że może dysponować ludźmi, że może ich kupować i sprzedawać jak przedmioty. Lothar stał się w moich oczach jedną z zabawek, które umilały tamtemu chwile starości. Ja miałem się stać kolejną.

Skąd było we mnie tyle cynizmu, podejrzliwości, nieufności? Nie zastanawiałem się nad tym. Przez cały czas myślałem tylko o nazwisku Huntington, o tym, że gdzieś już je słyszałem, nie, widziałem je zapisane, ale gdzie?

– Bardzo pan zamyślony... – Lothar uniósł do ust kolejny malutki kęs. – Chyba się pan aż tak nie denerwuje?

Milczałem. I denerwowałem się, choć nie wiedziałem dlaczego.

Rozglądałem się po jadalni, urządzonej wystawnie i dostatnio. Meble z egzotycznego drewna, zastawa o złoconych rantach, najlepsze kryształ, dyskretne przejawy bogactwa, z którym nie chciano się obnosić. Na ścianie wisiały olejne obrazy przedstawiające ruiny i krajobrazy skąpane w świetle księżyca, każdy szczegół oddany wyraźnie jak na dagerotypie. Była w nich jakaś melancholia, nie pasowały do jadalni, a jednak wyeksponowano je właśnie tutaj, jakby specjalnie miały przypominać o tym, że życie nie polega jedynie na doczesnych przyjemnościach.

– Przepiękne, prawda? – Lothar zawiesił wzrok na jednym z obrazów, powoli sącząc czerwone wino. – To prezenty od przyjaciela lorda. Maluje przepiękne obrazy, szczególnie portrety. Być może będzie miał pan szansę obejrzeć je w posiadłości lorda.

Były piękne i niepokojące zarazem, zdawało mi się, że wyczuwałem smutek artysty, który je namalował, jak gdyby...

– Arapaggio ucieszyłby się z pańskiego podziwu – usłyszałem za sobą cichy głos, niemal szept, pobrzmiwający jakby ze studni. Wzdrygnąłem się

i odruchowo wstałem, odsuwając krzesło z nieeleganckim zgrzytem.

Lothar również się podniósł, po czym skłonił głęboko, spuszcżając wzrok.

– Lordzie Huntington, to jest pan Armagnac Jardineux – wskazał na mnie, obchodząc stół.

– Cudowne dziecko o imieniu wina... – Mężczyzna zlustrował mnie przenikliwym wzrokiem zmrużonych oczu, jasnych i błyszczących. Mogłem dostrzec ich głęboki szmaragdowy kolor. – Równie aromatyczne, słodkie i uderzające do głowy...

Nie wiedziałem, co bardziej mnie onieśmieliło: jego słowa czy usta, które je wypowiadały.

Lord Edgar Francis Huntington zdawał się najmłodszy z nas trzech. Niewysoki, smukły, odziany w czerń, jego twarz okalały jasne włosy zdające się żyć własnym życiem, poruszające się przy każdym kroku jak włosy topielca pod wodą. Uniósł dłoń okrytą białą rękawiczką do twarzy niemal równie bladej, jakby pokrytej warstwą matowego pudru. Odnosiło się wrażenie, że patrzy się na niego przez zaparowaną szybę. To musiał być bardzo staranny makijaż.

– Lothar bardzo pochlebnie wypowiada się o panu – lord wskazał gestem, żebyśmy usiedli, i sam zajął miejsce u szczytu stołu. Służący dyskretnie postawił przed nim talerz i napełnił kieliszek, lecz mężczyzna nie zwrócił na to uwagi. Ja także zapomniałem o jedzeniu, słuchając jego głosu, w którym czaił się pomruk, jakby siedziała w nim jakaś bestia próbująca przemówić. Przeszedł mnie dreszcz, drżałem jak uczeń przed groźnym profesorem, nie, raczej jak bezbronny człowiek w obliczu drapieżnika.

– Jak pan zapewne wie, jestem mecenasem młodych artystów. Wielu muzyków zrobiło spektakularne kariery, zaczynając pod moimi skrzydłami.

„Kiedy ich wspierałeś? – pomyślałem. – Z kołyski?”

Lord uśmiechnął się, a moje serce zmiękło, jakby tym uśmiechem rzucił na mnie urok. Patrzył mi prosto w oczy i w jego spojrzeniu była jakaś zakamuflowana lubieżność, rozchylił nawet usta, jakby przyglądał się nagiej kochance, a ja poczułem, że się rumienię jak dziewczica pod wpływem tego wzroku. Zdawał się zaglądać wprost do mojego umysłu.

– Zbyt łatwo ulega pan pozorom, panie Jardineux – ten głos był jak narkotyk, czułem zawroty głowy, jakbym wypił za dużo, a przecież ledwie dotknąłem ustami kieliszka. – Patrzy pan na moją twarz i widzi chłopca, proszę mi jednak wierzyć, przeżyłem o wiele więcej, niż jest pan sobie w stanie wyobrazić. Spotkałem na swojej drodze wielu przyjaciół i wrogów, zjeździłem Europę i Nowy Świat, wyrabiając sobie o nim pojęcie, które – z całym

szacunkiem – panu jest obce. Moja intuicja nigdy mnie nie zawiodła. Potrafię wyczuć talent i sprawia mi niesamowitą radość patrzeć, jak się rozwija. Pan, mój drogi Armagnac – zdawało mi się, że celowo zatrzymał się, przedłużając krótkim warknięciem moje imię – jest samorodnym talentem, któremu nie pozwolę się zmarnować, który musi zostać zapamiętany na wieki, który musi trwać...

– Nie słyszał pan jeszcze, jak gram – przerwałem mu w końcu, czując, że stracę przytomność, jeśli natychmiast nie przestanie mówić.

– Więc proszę mi coś zagrać i udowodnić, że się nie pomyliłem – wskazał sąsiedni pokój, w którym stał fortepian.

Wspomniał, że zwiedził Nowy Świat... Kiedy? W czasie wojny nikt tam nie podróżował, a przed wojną był zapewne jeszcze dzieckiem. Ile on miał lat?

Chwiejnym krokiem dobiegłem do instrumentu i usiadłem, unosząc pokrywę znad klawiatury. Świat wirował, a przez mają głowę przebiegały nedorzeczne podejrzenia, że być może dodano do wina narkotyku.

Zacząłem grać. Melodia była chwiejna i niepokojąca, tak jak moje myśli. Struny drgały w dysonansach, które odbijały się od sufitu i wracały do mnie, sprawiając, że grałem jeszcze dziwniejsze i nieskoordynowane dźwięki, nie słysząc nawet, czy układały się w melodię. Miałem wrażenie, że palce odmawiają mi posłuszeństwa, ale jednocześnie wygrywają właśnie to, co w tamtej chwili czułem. Zamknąłem oczy i pozwoliłem ponieść się tej niepokojącej muzyce, pozwoliłem jej prowadzić moje ręce, tak jakby to ona sterowała mną, a nie odwrotnie.

Nie wiem, jak długo grałem. Bałem się otworzyć oczy, aby nie napotkać spojrzenia lorda, czułem, jak mnie obserwuje, czułem ogień w jego oczach i zimny wzrok Lothara, który stał pod ścianą w cieniu.

Gdy wreszcie uniosłem głowę, obaj na mnie patrzyli. Huntington stał tuż przy instrumencie.

– Instynkt nigdy mnie nie zawodzi – rzekł cicho, pomruk bestii był ledwie słyszalny za fasadą nienagannej angielszczyzny. Mój wyczulony muzycznie słuch przez cały wieczór doszukiwał się w jego głosie francuszczyzny, włoskiego, wychwyciłem nawet archaiczną twardość łaciny. Z pewnością władał wszystkimi tymi językami i jeszcze kilkoma innymi, których nigdy nawet nie słyszałem. Skąd jednak przyszło mi to do głowy, dlaczego byłem o tym nagle przekonany – nie wiedziałem. Chciałem, by mówił jeszcze, by nie przestawał mówić, choć jednocześnie bałem się znów zatracić w jego głosie. Cała moja wcześniejsza niechęć zgasła, uprzedzenia zniknęły, pragnąłem tylko poddać

mu się, spełniać jego wolę, sprawić, by był zadowolony ze mnie i mojej gry, chciałem mu służyć.

Chciałem mu służyć?!

Zerwałem się z ławki, odwróciłem wzrok od tych płonących w półmroku oczu, przez chwilę nie pamiętałem, gdzie byłem i co działo się przez ostatnie godziny. Poczulem panikę, jakby nagle w pokoju zaczęło brakować powietrza, jakby pomieszczenie wypełniło się dymem. Na widok przyczajonego w kącie Lothara niemal krzyknąłem.

– Muszę... muszę już iść... – wymamrotałem, wychodząc pośpiesznie z pokoju, przez korytarz, zerwałem z wieszaka płaszcz. Gdy zbiegłem ze schodów i uderzyło mnie mroźne, zapierające dech powietrze, zdałem sobie sprawę z tego, że zapomniałem kapelusza, ale myśl o wróceniu po niego wydała mi się niedorzeczna. Wiatr szarpał moje włosy, które wymknęły się ze wstążki, gdy grałem. Nie przejąłem się tym, postawiłem kołnierz i rozejrzałem się za kolosą, ulica jednak była pusta. I tak nie miałbym czym zapłacić za kurs, ruszyłem więc pieszo w ciemność, klnąc pod nosem, gdy w mdłym świetle gazowych latarni zatańczyły pierwsze płatki śniegu.

Zmierałem śpiesznie w stronę domu, byle dalej od głosu Edgara Francisa Huntingtona, do podłej kamienicy przy podłej uliczce, która co piątek zmieniała się w podły rynek pełen podłej jakości towarów, smrodu ryb, kóz i wrzeszczących wniebogłosy przekupek. Resztki nieuprzątniętych śmieci i zwierzęce ekskrementy pokrywały się cienką warstwą śniegu. Poczulem, jakby ktoś siłą wyrwał mnie z przytulnego, pełnego dyskretnej elegancji mieszkania Lothara i cisnął wprost w ten cuchnący zaułek, a przecież sam uciekłem, sam się stamtąd wyrwałem, nie wiedząc nawet dlaczego.

Kim on był? Młodzik o płonących oczach i diabelskim głosie, który twierdził, że zwiedził świat i od lat wspierał muzyków, co było oczywistą niemożliwością. Kiedy, na miłość boską, miałby to robić? W ramionach mamki? Zza pleców guwernantki? Jego twarz wyglądała tak delikatnie, jakby nie zaznała jeszcze brzytwy. A jednak mu wierzyłem, miał w sobie dostojeństwo i powagę właściwe starcom, jakiś osobliwy majestat, coś, co sprawiało, że czułem się mały i niewiele znaczący, podległy mu całkowicie.

Co za bzdury!

Ze złością otworzyłem drzwi na ostatnim piętrze, ale na tyle cicho, by nie zbudzić starej ciotki, która noc myliła z dniem i wyrwana nagle ze snu, potrafiła snuć się po mieszkaniu, na ile pozwoliły jej powykręcane artretyzmem kończyny. Pokrzykiwała wówczas na mnie, biorąc mnie za swego zeszłego

przed dekadami męża, a to była ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowałem. Okryłem ostrożnie pledem staruszkę drzemiącą w fotelu przy dogasającym kominku. W mieszkaniu było zimno i cuchnęło wilgocią, przeciągi wdzierały się przez nieszczelne okna. Wiedziałem, że w takich warunkach ciotka nie przeżyje zimy. Miała już chyba ze sto lat i trzymała się przy życiu jedynie siłą woli.

Mój mały pokoik zdał mi się odrażającą, brudną norą w porównaniu z pełnymi dyskretnego uroku i wyszukanej elegancji pokojami Lothara. A przecież do niedawna sam mieszkalem wśród luksusów. Nagle wydało mi się to zupełnie nierealne, jakbym spędził w tym maleńkim pokoju ostatnie kilkanaście lat, a nie kilkanaście dni.

Zachciało mi się śmiać i płakać jednocześnie. W głowie rozkosznie pulsowało wyborne wino, a pełen żołądek sprawił, że stałem się ociężały i senny. Nie mogłem odpędzić od siebie wspomnień wieczoru, szarpały mną sprzeczne uczucia.

Kim byli ci mężczyźni? Czy perturbacje w moim życiu sprawiły, że zaczynałem tracić zmysły i kontrolę nad sobą? Nigdy nie byłem tchórzem czy asekurantem, na niedorzecznych amerykańskich balach jeszcze jako młodzik brylowałem i byłem duszą towarzystwa. Tamten chłopak jednak zginął wraz z rodzinną fortuną. Co działo się teraz, że traciłem głowę w obliczu dwóch kulturalnych chłopców?

Nazajutrz musiałem wrócić po swój kapelusz, bo nie było mnie stać na nowy. Nie było mnie stać na nic... I nagle powróciły do mnie zapalczywe słowa Lothara o sławie, pieniądzach i... jak on to ujął? O rządzie dusz.

Co to mogło, do diabła, znaczyć?

V

Spałem spokojnie jak dziecko.

Gdy otworzyłem oczy, za oknem majaczył niewyraźny zimowy poranek.

W pokoju było zimno, a za szybą śnieg pokrywał dachy i ulice. Wrony pokrakiwały natarczywie, bijąc się o resztki zagrzebane w śniegu na targowisku, a skoro ich jeszcze nie uprzątnięto, jak co tydzień przed mszą, musiała być sobota. Ostatnie wypełnione pijaństwem dni zlały się w powracającą falę euforii i kaca. A ten poranek z pewnością nie był wypełniony euforią.

Przez długą chwilę wsłuchiwałem się w ciszę mieszkania. Brakowało mi szurania stóp ciotki, jej pomrukiwania, hałaśliwego przestawiania zakurzonych bibelotów, siorbania herbaty, zwykłych odgłosów poranka, do których zdążyłem już przywyknąć.

Ostrożnie uchyliłem drzwi i spojrzałem na fotel, w którym ciotka spoczywała dokładnie w tej samej pozycji, w której zastałem ją wieczorem. Nie musiałem nawet dotykać posiniałej twarzy, by przekonać się, że staruszka nie żyła. Poczulem nagłe ukłucie żalu, ale i ulgę, że nie będę musiał opiekować się nią przez zimę. Skąd wzięło się we mnie takie okrucieństwo, że śmierć ostatniej krewnej wywołała we mnie uczucie podobne do radości? Nie wiedziałem, co robić dalej, skąd wziąć pieniądze na pogrzeb, jak w ogóle się do tego zabrać. Było mi zimno, znów byłem głodny i nie miałem nawet cholernego kapelusza, w którym mógłbym udać się do grabarza, sprawiając chociaż pozory kulturalnego dżentelmena. Pospiesznie ubrałem się i wyszedłem na rześkie powietrze. Na szczęście nie było jeszcze aż tak zimno, jak się spodziewałem.

Nie spodziewałem się również spotkać Lothara przed bramą kamienicy. Miał na sobie cylinder i szary płaszcz obszyty srebrnym futrem lisów, wyglądał dostojnie i elegancko.

– Dzień dobry, panie Jardineux – rzekł cicho, unosząc dłoń do głowy. Każdy jego gest zdawał się dokładnie przemyślany.

– Bynajmniej – odrzekłem, podchodząc do niego. – Skąd pan wiedział, gdzie mnie znaleźć?

– Opowiadał pan wczoraj przy kolacji, gdzie mieszka – odparł bez mrugnięcia okiem. – Opowiadał pan o sobie wiele ciekawych rzeczy.

Nie przypominałem sobie, abym wyjawiał im jakiegokolwiek szczegóły

ze swojego życia. Czyżbym był aż tak pijany?

– Przepraszam, ale nie mam teraz czasu na pogawędki, muszę się udać do zakładu pogrzebowego. Moja ciotka zmarła w nocy.

– Szczerze współczuję – Lothar rozejrzał się i skinął laską na stojącą nieopodal kolasę. – Proszę pozwolić, że pana podwiozę.

– Nie wiem, jak się do tego zabrać, dotychczas takie sprawy mnie omijały...
– wsiałem do powozu, chociaż wszystko mówiło mi, że powinienem odmówić.

– Zajmę się wszystkim, bez obaw – Lothar udzielił woźnicy wskazówek. Koń szarpnął, a ja nagle poczułem się dziwnie senny.

– Nie mam pieniędzy na pogrzeb, muszę chyba oddać lichwiarzowi wszystko, co miało jakąkolwiek wartość... – poczułem, że łzy napływają mi do oczu.

– Panie Jardineux, jak już obiecałem, zaopiekujemy się panem. Doprawdy, proszę się o nic nie martwić. Odwiozę pana do siebie i zajmę się pogrzebem. Ostatnie dni nie były dla pana łaskawe, musi pan odpocząć, dojść do siebie, a przede wszystkim musi pan zacząć grać...

Jego słowa docierały do mnie jak ze studni. Patrzyłem na szare ulice przez małe zaparowane okienko i nagle wydało mi się, że cała moja przeszłość jest tylko takim mglistym, niewyraźnym obrazem. Musiałem podjąć jakieś decyzje, musiałem...

Musiałem tylko zacząć grać, a wszystko inne ułoży się samo.

Ta myśl pojawiła się w mojej głowie nagle i bardzo szybko zaczęła kiełkować. To było przecież takie proste, takie łatwe i przyjemne, tylko ja, fortepian, Lothar i jego skrzypce, a wokół nas tłum zachwyconej arystokracji, dziesiątki zauroczonych twarzy, setki zaczarowanych nasza grą uszu i serc... Być może faktycznie wszystko, co powiedzieli mi ci dwaj tajemniczy mężczyźni, było prawdą, może rzeczywiście było to aż takie proste?

Nigdy wcześniej nie myślałem o sobie jako o muzyku, nie zakładałem, że mógłbym się utrzymywać, grając na fortepianie, ponieważ ktoś inny zdecydował za mnie, że zostanę plantatorem. Kochałem jednak muzykę, nieprawdaż? Od najmłodszych lat uwielbiałem słuchać, jak grywała moja matka, byłem pilnym i pojętym uczniem, zadziwiającym swoich nauczycieli. Wszystkie wspomnienia związane z muzyką wróciły do mnie nagle w cudownym, różnobarwnym przeblasku, jakby tylko ten aspekt mojego życia miał jakiegokolwiek znaczenie.

– Chcę sprzedać mieszkanie ciotki – powiedziałem w przestrzeń bardziej do siebie niż do mojego towarzysza. – Chcę sprzedać wszystko, co się w nim

znajduje. Gdyby to tylko było możliwe, wolałbym nigdy tam nie wracać...

– Proszę pozwolić mi zająć się i tą sprawą. Lord Huntington ma szerokie znajomości w mieście, więc żaden lichwiarz nie odważy się pana oszukać.

I chociaż nie byłem typem, który łatwo przyznaje się do słabości, w tamtym momencie poczułem, jakby ktoś zdjął mi z piersi wielki ciężar.

– Dziękuję... – powiedziałem bardzo cicho, licząc na to, że Lothar mnie nie usłyszy.

VI

Wróciłem do mieszkania ciotki tylko po to, by zabrać kilka swoich rzeczy. Walizka ubrań, niewielka olejna miniatura przedstawiająca nasz amerykański dom, dagerotyp, na którym moi rodzice stali sztywno i uśmiechali się nienaturalnie, a moja twarz była rozmazana, gdyż nie potrafiłem usiedzieć spokojnie na kolanie matki, stos nut, jakieś poźółkłe libretta i zawiniątka listów babki oraz jej notatnik – książeczka oprawna w błyszczącą, jasną, tłoczoną skórę, do której chyba nigdy wcześniej nie zajrzałem.

Paczka z papierami dotarła do mnie wraz z wiadomością o śmierci rodziców, ojciec tylko to miał przy sobie podczas feralnej podróży morskiej do Londynu. Podejrzewałem, że nigdy nie przeczytał owych zapisków, gdyż w większości były po włosku i hiszpańsku. Mimo swoich europejskich korzeni William był rodowitym Amerykaninem, nietracącym czasu na naukę języków. Plantacja była całym jego życiem.

A tymczasem moje życie dało się teraz zamknąć w jednej walizie.

Wychodząc, zabrałem ze sobą w nagłym przypiływie sentymentu modlitewnik ciotki. Wiedziałem, że nigdy nie zobaczę już ani tego mieszkania, ani żadnej rzeczy, która się w nim znajdowała.

Ciało ciotki wystawiono w salonie pogrzebowym, choć nie wiem, czy oprócz mnie i Lothara ktoś jeszcze tam zajrzał. Czułem się nieswojo, widząc naręcza wspaniałych kwiatów, woskowe świece i drogą suknię, w którą ubrano nieboszczkę.

Przez kilka dni żyłem jak we śnie.

Pamiętam trumnę, którą grabarze niezgrabnie opuszczali do dołu, i syk Lothara, który próbował dyskretnie im przypomnieć, że zapłacił wystarczająco dużo, aby pochówek odbył się porządnie. Ja patrzyłem tylko bezmyślnie na polakierowaną na ciemno skrzynię. Ciotka była tak naprawdę obcą mi osobą, nie miałem okazji poznać jej wcześniej, zawitałem pod jej dach, gdy była już zdziecinniałą staruszką. Mieszkaliśmy razem krótko, nie wchodziliśmy sobie w drogę, żyliśmy obok siebie jak obcy ludzie. I teraz żegnałem ją jak kogoś zupełnie obcego. Mimo że oprócz mnie, Lothara, księdza i dwóch ministrantów w pochówku nikt inny nie uczestniczył, trumna tonęła w kwiatach i wydało mi się to nieco groteskowe. Wcześniej był jeszcze dom pogrzebowy i ten

niepasujący do samotnej kobiety przepych: wieńce i dziesiątki świec. Zdawać by się mogło, że chowano jakąś hrabinę, a nie zubożałą, owdowiałą staruszkę.

Pamiętam jeszcze to, że przez cały ten czas Lothar był bardzo blisko mnie, tak blisko, że chwilami czułem się nieswojo. Szeptał słowa pociechy i snuł wizje świetlanej przyszłości, a ja powoli zaczynałem mu wierzyć. Po kilku dniach przyłapałem się na tym, że czekam na te jego obietnice, na dyskretne gesty pocieszenia, na uspokajające słowa. W niedługim czasie uczucie dyskomfortu przerodziło się w tęsknotę, do której sam przed sobą się nie przyznawałem.

Byłem już wówczas wygodnie rozlokowany w obszernym studio w kamienicy oddalonej o kilka przecznic od domu Lothara, w pokojach, które nie wiedzieć kiedy zapełniły się drogimi meblami, kosztowną zastawą, olejnymi obrazami wyglądającymi na bardzo stare. Rozpoznałem w nich rękę tego samego malarza, o którym Lothar wspominał pierwszego wieczora w swojej jadalni. Niepokojące nocne pejzaże, skąpane w blasku księżyca ruiny, które niezmiennie unosiły włosy na moim karku, gdy tylko na nie spojrzałem. Ten malarz miał takie dźwięczne imię, włosko brzmiące, niby wskazówka na partyturze, coś jak „arpeggio”.

– Arapaggio – Lothar zaczął przy kolacji, gdy wypłem już zdecydowanie za dużo wina, co zdarzało mi się co wieczór. Nawet nie zauważyłem, kiedy stałem się pijakiem. – Arapaggio wiele podróżował w swoim życiu, uwiecznił na płótnach spory kawał globu, zarówno Europy, jak i Nowego Świata. Lord ma w swoich zbiorach pokazną kolekcję jego obrazów. Pomyśleliśmy, że dodadzą nieco wytworności twoim pokojom. Mają taki mroczny klimat, prawda?

Patrzyłem na czerniejące za jego głową płótno i nie bardzo wiedziałem, co mógłbym mu odpowiedzieć. Nigdy nie interesowałem się malarstwem do tego stopnia, aby dyskutować o sztuce na przyzwoitym poziomie.

– Jego obrazy wyglądają na bardzo stare. Czy on w ogóle jeszcze żyje? – zapytałem znad kieliszka, na co mój towarzysz zaśmiał się dźwięcznie.

– Oj żyje, i to jak! – śmiał się już niekontrolowanie, a ja nie wiedziałem z czego. – Na takie życie chętnie bym się z nim zamienił! – i nagle spowaźniał, jakby powiedział coś niestosownego. – A te obrazy... to tylko sztuczka mająca podnieść ich wartość. Stare płótna zawsze są w cenie. Niewykluczone, że będziecie sobie przedstawieni, lord chętnie chwali się nowymi... – chrząknął w zwiniętą pięść. – Lord jest niezwykle dumny ze swoich podopiecznych i chętnie przedstawia ich swym przyjaciołom.

– A czy pan poznał już tego Arapaggia? – spytałem cicho. Poczulem jakies

irracjonalne ukłucie lęku.

Lothar sposepniał, zadumał się, po czym powoli uniósł do ust kieliszek z winem.

– Owszem, poznałem... – szepnął. – Zarówno jego, jak i...

– Oto i moi utalentowani młodzieńcy – usłyszałem za plecami głos Huntingtona i wzdrygnąłem się, wstając. Nie odwiedzał nas od czasu pierwszego spotkania. – Konwersujący o sztuce w tę piękną zimową noc – dodał, kładąc mi dłoń na ramieniu i sadzając mnie z powrotem na krześle. – Nie ma potrzeby, byś wstawał w mojej obecności, drogi chłopcze. – Lord usiadł po prawej stronie Lothara, który przerwał posiłek i spoglądał na niego z niepokojem.

– Lordzie Huntington... – zaczęła niepewnie – rozmawialiśmy właśnie o obrazach...

– Wiem doskonale, o czym rozmawialiście i o czym jeszcze zamierzałem powiedzieć – Huntington uśmiechnął się krzywo. – Chętnie dołączę do tej jakże ciekawej rozmowy i odpowiem na wszelkie pytania młodego Armagnaca. A ty, mój drogi... – zwrócił się do Lothara, a ten gwałtownie pobladł – skoncentruj się na wyznaczonych zadaniach, a nie na towarzyskich plotkach, hm?

– Panowie wybaczą – Lothar drżącą dłonią odłożył widelec i wstał. – Przygotuję instrumenty.

Atmosfera nieprzyjemnie zgęstniała, choć nie bardzo wiedziałem dlaczego. Chciałem zacząć rozmowę czy może kontynuować ją, podziękować za sfinansowanie pogrzebu ciotki, za znalezienie mi godziwego dachu nad głową, za cały ten przepych, który jakby sam nagle pojawił się wokół mnie, nie wiedziałem jednak, jakich użyć słów.

– Niedługo będzie miał pan okazję spłacić swój dług – Huntington rozparł się na krześle. – Moi podopieczni opływają w luksusy, muszą jednak na nie zapracować. Na tym właśnie polega mecenat, czyż nie? Za kilka dni będzie pan mógł udowodnić swoją wartość, pokazać mnie i zgromadzonym gościom, że nie pomyliłem się co do pana i pańskiego talentu.

Patrzyłem na niego nieprzytomnie. Miałem grać? Od czasu pamiętnego wieczoru w domu Lothara nie uniosłem nawet pokrywy klawiatury. Czego się jednak spodziewałem? Że lord zapłaci za to wszystko, a ja po prostu będę leżał i sączył drogie wino, upijając się nim co wieczór do nieprzytomności? Ile dni trwałem w tym półprzytomnym cugu? Lothar pojawiał się co rano z nowymi pakunkami, ubraniami, meblami, a ja miałem wrażenie, że nie wstaję z szezlonga, tylko piję od rana do wieczora, przyglądając się, jak on mości moje nowe gniazdko. No i oczywiście od dnia śmierci ciotki nie zagrałem ani jednego

dźwięku, choć fortepian jakimś cudem przeniesiono do mojego apartamentu. Gdzie byłem, gdy taszczono go na drugie piętro? A może użyto dźwigu? Byłem doprawdy idiotą.

– W następnym czwartek córka mojego starego przyjaciela zostanie oficjalnie przedstawiona swojemu przysłemu mężowi. Uroczysta kolacja odbędzie się w domu jej ojca, w kameralnej... warowni za miastem. Dziewczyna jest młodziutka i piękna, a jej przyszły mąż stary, brzydki i nieprzyzwoicie bogaty. Sytuacja, jakich wiele, którą uświetni wasz występ. Kilka wirtuozerskich utworów, poprawiających humor panience. Humor, jak się zapewne domyślasz, ma kiepski, gdyż oblubieniec jest nieco starszy od jej ojca – Huntington uśmiechnął się, jakby było to zabawne. Mnie zrobiło się szkoda dziewczyny, chociaż przecież wcale jej nie znałem.

– Nie przejmuj się tak bardzo, dziewczę ma doprawdy podły charakter. W pełni sobie zasługuje na taki prezent od losu. Zresztą, znając ją, omota staruszka wokół palca, wydusi z niego pieniądze, a na boku znajdzie młodego kochanka. Tak to się chyba odbywa tymi czasy.

Nie wiedziałem, jak to się odbywa, nie wiedziałem, jak odbywa się cokolwiek. Byłem jak dziecko we mgle, ledwie rozpocząłem samodzielne dorosłe życie, a cały mój poukładany świat zawalił się jak domek z kart. Teraz istniał tylko mroźny, zimowy Londyn i moi dwaj tajemniczy towarzysze, trzymający mnie jak kanarka w złotej klatce. Musiałem tylko usiąść do instrumentu i zagrać, choć w tamtej chwili wydało mi się to niemożliwe.

Przyszła pora, aby wytrzeźwieć. Nie pamiętałem już, dlaczego tak dużo piłem. Chyba starałem się zapomnieć o piorunującym wrażeniu, jakie Huntington na mnie wywarł, albo utopić rozwijającą się fascynację Lotharem, który tak troskliwie się mną opiekował.

– Lordzie Huntington, możemy zacząć – Lothar wrócił do jadalni, dzierżąc w dłoni skrzypce. W pijanym widzie zdały mi się podobne martwemu kurakowi w rękach kucharki, choć wiedziałem przecież, że jest to wspaniały włoski instrument. Coś dziwnego działo się ze mną w obecności Huntingtona, zaburzał moje postrzeganie świata i zniekształcał rzeczywistość, a ja nie potrafiłem się przed tym bronić.

– Zaczynamy więc, moi złoci – lord nagle znalazł się tuż obok mnie, choć nie zauważyłem, żeby wstawał od stołu. – Udany występ u MacLowleya będzie przepustką do świetlanej przyszłości. Te stare szkockie rody niezbyt sobie cenią wyrefinowaną muzykę, jednak wśród zaproszonych będzie wielu takich, którzy nie znieśliby rzepolenia wiejskich grajków, w jakich gustuje MacLowley.

Poprosił mnie więc o zorganizowanie rozrywki odpowiedniej dla wysublimowanych uszu jego gości. Zafundujemy im koncert na poziomie, aby stary mógł sprzedać swoją małą Maggie za odpowiednio wysoką cenę.

Po chwili siedziałem już przy fortepianie, a Lothar stroił skrzypce. Był to piękny instrument Amatiego, o bursztynowym, lśniąco lakierze. Lothar obchodził się z nim delikatnie jak z kryształowym kieliszkiem. Z przyjemnością patrzyłem na jego pieśczośliwe ruchy i poczułem, że właśnie za tym tęskniłem najbardziej, że muzyka jest tym, co przywróci mnie do życia, co pomoże mi iść do przodu i osiągnąć... osiągnąć rząd dusz, jak określił to Lothar podczas naszego pierwszego spotkania. Kiedy to było...?

Nie patrząc na niego, zacząłem grać, z początku nieśmiało, ale wkrótce muzyka jak zwykle mnie poniosła. Myślałem o szkockich równinach, których nigdy nie widziałem, o wiejskich zabawach, w których nigdy nie uczestniczyłem. Obrazy pojawiały się w mojej głowie, jakby ktoś malował mi je przed oczyma, a ja, nie wiedząc jak, zmieniałem je w muzykę.

Po chwili w moją szaleńczą galopadę po klawiaturze wplótł się rozkosznie wysoki i czysty głos skrzypiec. Kątem oka obserwowałem wyprostowaną sylwetkę Lothara, lekko kiwającego się w takt muzyki, jego długie palce śmigały po gryfie, a smyczek w zawrotnym tempie piłował struny. Pomyślałem, że chciał być po prostu skromny, twierdząc, że nie dorastał do pięt Paganiniemu. Jego gra była kunsztowna, lekka, nigdy nie słyszałem, żeby ktoś grał w taki sposób, i zdałem sobie sprawę z tego, że ja sam również grałem inaczej niż zwykle, jakby ktoś za mnie prowadził ręce, podpowiadał mi, co mam robić. Po chwili nie widziałem już Lothara, powróciły wizje zielonych pastwisk, a na łące leżała naga dziewczyna, jej rude loki rozrzucone w trawie płonęły w słońcu jak ogień.

Przerwałem w połowie taktu i uniosłem dłonie nad klawiaturę. Dziewczyna i łąka zniknęły. Lothar opuścił skrzypce, a Huntington uśmiechał się, patrząc na nas spod przymkniętych powiek.

– Słyszę, że nie będziecie musieli poświęcać dużo czasu na próby – mruknął, a mnie zjeżyły się włosy na karku. Tak bardzo chciałem uwolnić się spod jego uroku, ale jednocześnie wcale tego nie chciałem. – MacLowley i jego goście będą zachwyceni!

VII

Kolejne dni upłynęły mi na mało skutecznym powstrzymywaniu się od picia i próbach z Lotharem. Szybko się zgraliśmy i nasza muzyka stała się naprawdę interesująca, choć nie przypominała niczego, co do tej pory słyszałem. Huntington twierdził, że oryginalność jest naszym atutem. Chwilami czułem się niemal kompozytorem, a moje ego puchło w niekontrolowany sposób.

Ciągła obecność Lothara przynosiła spokój i ukojenie. Nie wiedzieć kiedy poczułem do niego wielką sympatię, która powoli przeradzała się w jakieś głębsze uczucie, nie przyznawałem się jednak do tego nawet przed sobą. Za każdym razem gdy Huntington słuchał naszej wspólnej gry, miałem wrażenie, że wie o moim afekcie.

Na kilka godzin przed koncertem stałem się bardzo podenerwowany. Lothar bez przerwy coś do mnie mówił, nie mogłem jednak skupić się na jego słowach. Stał przed lustrem, odziany w nowy frak, i poprawiał kunsztownie zawiązany krawat. Ja miałem wrażenie, że w podobnym uniformie za moment się uduszę.

Powóz odebrał nas spod kwatery Lothara po południu. Czekala nas przeprawa przez zaśnieżone drogi do posiadłości MacLowleyów za miastem. Mój towarzysz przez całą drogę mówił, wtulony w podbity futrem płaszcz, a ja mogłem myśleć tylko o tym, że srebrne futro lisów pięknie komponuje się z jego białymi włosami. I o tym, że zaraz umrę ze zdenerwowania.

Posiadłość MacLowleya rzeczywiście była jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej warownym zamkiem. Zniesmaczona jej surowością małżonka bogacza stwierdziła, że ich jedynaczka zasługuje na lokum bardziej odpowiednie dla delikatnego dziewczęcia. Kobieta zmarła jednak w trakcie przemeblowywania zamku, a MacLowley, szukając odpowiedniej partii i odpowiedniego domu dla pogrążonej w żałobie pólsieroty, bliżej przyjrzał się pałacypowi w centrum miasta, należącemu od trzech pokoleń do bogatej, francuskiej rodziny. Postanowił, zgodnie z wolą zmarłej małżonki, ulokować w nim Maggie, ich ukochaną córkę. Niestety, z pałacypkiem łączył się podstarzały hrabia Rochefourt, bezdietny wdowiec, który na stare lata postanowił się znów ożenić i zostać ojcem. MacLowleyówna liczyła w głębi duszy na to, że był on niezdolny do płodzenia potomstwa i takie też krążyły o nim plotki, jednak rodowa fortuna hrabiego uciszała wszystkich spekulantów.

Niedługo miałem przekonać się, że pieniądze potrafią zamknąć każde usta i otworzyć każde drzwi, małżeństwa zaś były jedynie kontraktami, mającymi bardzo wiele ukrytych klauzul.

Tego wieczora nie obchodziły mnie jednak koneksje, plotki, mariaże i romanse socjety. Myślałem tylko o sobie i o muzyce, o tym, że od tego koncertu zależy cała moja przyszłość. Jeśli nie wykazałbym się, Huntington z pewnością wyrzuci mnie z mieszkania, w którym zdążyłem się na dobre zadomowić. Przywykłem na nowo do luksusu i musiałem o niego zawalczyć. Tamtego wieczora chodziło mi jedynie o to, ale wkrótce stawka miała gwałtownie wzrosnąć.

Gdy przybyliśmy, zamek był pełen. Powozy i sanie zajeżdżały przed główne wejście, w środku płonęły setki świec. Mimo że budynek był wiekowy, nie brakowało w nim luksusów, gdyż urządzony został niedawno na francuską modłę. Dziwacznie wśród filigranowych białych mebli głównego salonu wyglądał wysoki i postawny Ian MacLowley, z burzą siwych włosów, mrużący basem do swojej jedynej córki.

Gdy Margaret MacLowley odwróciła się w naszą stronę i podeszła, by nas powitać, serce stanęło mi w gardle. To była naga dziewczyna z łąki, rudowłosa, delikatna piękność z mojej wizji, teraz odziana w śnieżnobiałą suknię. W kunsztownie upiętych włosach miała świeże kwiaty gardenii, chociaż był środek zimy. Patrzyła na mnie szarozielonymi oczyma i uśmiechała się nieznacznie. Po chwili zorientowałem się, że nie uśmiecha się do mnie, tylko do Lothara i Huntingtona, który nie wiadomo skąd pojawił się tuż obok.

Coś mówiono, ktoś podawał nam dłonie, częstował winem, oprowadzał po pokojach, ja jednak prawie leciałem przez ręce. Przez chwilę pomyślałem, że być może wino było zatrute, kto jednakże chciałby otruć muzyka, który jeszcze nawet nie zasiadł do fortepianu? Odstawiłem prawie nietknięty kieliszek i udałem się do saloniku muzycznego, gdzie Lothar już rozkładał skrzypce. Fortepian był nieduży i biały, miał jednak bardzo przyjemny dźwięk. Zamknąłem drzwi i opadłem na ławkę.

– To jakieś szaleństwo... – szepnąłem bardziej do siebie niż do niego. – Nie dam rady nawet unieść rąk...

– Spokojnie – skrzypek zaczął strojenie. – Pamiętaj, co powtarzam ci od początku: to jest pierwszy wieczór twojej zawrotnej kariery, wystarczy, że wsłuchasz się w siebie. Teraz już nic nas nie powstrzyma.

– Lothar, ta dziewczyna...

– Która?

– Maggie MacLowley. Czy myśmy gdzieś już jej nie widzieli?

– Niby gdzie? Stary trzymał ją pod kluczem. Znam ją tylko z opowiadań lorda – chłopak podsunął krzesło i usiadł obok fortepianu. – Posłuchaj, wszystko się uda. Zagramy kilka utworów, jak na próbach, a potem przyjdzie czas na przyjemności. Wierz mi, to będzie tak samo nasz wieczór, jak jej.

– Co masz na myśli? – spytałem cicho.

Nie odpowiedział mi jednak, gdyż drzwi do saloniku otworzyły się i pierwsi słuchacze zaczęli zajmować miejsca. Rzędy krzeseł szybko się zapełniły, w pokoju zrobiło się gęsto od perfum, dymu cygar, piór i falbaniastych sukien. Konwersowano o tym, że oprócz Maggie tego wieczora przedstawiano jeszcze dwie dziewice. Rozejrzałem się za Huntingtonem i dostrzegłem go ukrytego w cieniu za ostatnim rzędem krzeseł. Uniósł w pozdrowieniu kieliszek czerwonego wina, jednak nie wypił ani łyka.

Poczułem, że serce podchodzi mi do gardła, gdy córka gospodarza usiadła w pierwszym rzędzie w towarzystwie niskiego, zasuszonego starca, swojego przyszłego męża. Mimo podeszłego wieku Rochefourt odziany był wedle najnowszej paryskiej mody, a prążkowane spodnie i gigantyczny krawat sprawiały, że wydawał się jeszcze niższy i bardziej groteskowy. Jego oblubienica w dziewiczej białej sukni miała talię tak ciasno ściśniętą gorsetem, iż miałem ochotę wstać od fortepianu i opleść ją dłońmi, by sprawdzić, czy moje palce zamkną się wokół niej.

MacLowley jeszcze raz dyskretnie powitał nas skinieniem głowy, po czym dość zręcznie zapowiedział i zanim się spostrzegłem, Lothar zaintonował pierwszy utwór.

Znowu działo się ze mną coś dziwnego, jakby niewidzialne dłonie spoczęły na moich i prowadziły palce. Oddychałem głęboko i spokojnie, pozwoliłem ponieść się temu niesamowitemu uczuciu, jakby ktoś wniknął w moje myśli, wyprzedzał moje ruchy, czytał w moim sercu o tym, co przeżyłem i co dopiero miałem przeżyć. Cały świat stał się zupełnie bez znaczenia, zniknął salon, fortepian, zamek. Zniknęły pośród zielonych łąk, na których na trawie leżała naga Maggie MacLowley i gestem przywoływała mnie do siebie, jednocześnie powoli rozsuwając długie i szczupłe nogi. Nie przestawałem jednak grać, nie uciekłem jak poprzednio, pozwoliłem jej opleść się ramionami. Czułem, że mój oddech przyspiesza, wiedziałem, że nie mogę tam z nią być, że jestem przecież w salonie i gram duet z Lotharem, który zatopiony w muzyce, zdawał się nie zauważać mojej obecności. A przecież graliśmy razem i nasze instrumenty współbrzmiały pięknie, a goście patrzyli na nas z podziwem i niedowierzaniem.

Gdy pierwszy utwór dobiegł końca, zaległa cisza, po czym rozległ się huczny aplauz. Kobiety kryły spłonione twarze za wachlarzami, mężczyźni pochrząkiwali z uznaniem i kiwali głowami, a my znowu zaczęliśmy grać i tym razem nie było już żadnych wizji. Mój towarzysz i ja wspinaliśmy się na wyżyny naszych wirtuozerskich umiejętności, chwytając dźwiękami za serca i dusze wszystkich zgromadzonych. To było właśnie to, o czym mówili Lothar i Huntington: publika padła nam do stóp i mieliśmy ją całkowicie w swojej mocy.

Gdy koncert dobiegł końca, MacLowley tubalnym głosem wyraził swoje podziękowania, ścisnął raz po raz dłonie nasze i Huntingtona, który brylował wśród gości, po czym zaprosił wszystkich do sali balowej, gdzie suto zastawione stoły aż się uginały.

Byłem jak w transie i nie mogłem odzyskać dawnej pewności siebie. Lothar natomiast był w swoim żywiole, czarował kobiety i rozbawiał mężczyzn. Triumfowaliśmy i słodki smak zwycięstwa uderzał mi do głowy mocniej niż wina z piwnicy gospodarza.

Kilka godzin później zamek powoli pustoszał, a ja wróciłem do cichego salonu muzycznego i zacząłem brzdąkać jakąś smętną melodię. Byłem zmęczony i pijany. Świece w kandelabrach dogasały, służący uprząтали ostatnie porozstawiane na parapetach i gzymsach kominków kieliszki i po chwili miałem wrażenie, że zostałem tu zupełnie sam.

– To był wasz wieczór – Huntington mruknął tuż przy moim uchu i serce jak zwykle skoczyło mi do gardła na dźwięk jego głosu. – Mój złoty chłopcze, grałeś dzisiaj piękniej niż kiedykolwiek. Były w tej muzyce pasja, dzikość i żądza... – poczułem, że się rumienię. – A będziecie jeszcze wspanialsii, to dopiero początek.

– Lordzie, ja...

– Nic nie mów, wieczór jeszcze się nie skończył.

Po chwili prowadził mnie schodami na piętro, do pokoju na końcu ciemnego korytarza. Spod zamkniętych drzwi sączyło się mdłe światło. Cała posiadłość zdawała się wymarła. Byliśmy daleko za miastem, więc mroku za oknami nie rozświetlały gazowe latarnie.

– To wasza nagroda za wspaniały występ, naciesz się nią bez wyrzutów sumienia – Huntington uchylił drzwi i wepchnął mnie do środka.

W półmroku rozświetlonym kilkoma rozrzuconymi po dużej sypialni świecami dostrzegłem zarys masywnego łoża z baldachimem. Kotary były rozsunięte, a w kłębowisku pościeli wiły się dwa nagie ciała. W pierwszym

odruchu cofnąłem się i oparłem o zamknięte drzwi, ale mimowolnie postąpiłem krok do przodu, gdy rozpoznałem kochanków. Kobieta klęczącą na czworaka była Maggie MacLowley, mogłem dostrzec jej wykrzywioną w ekstazie twarz. Mężczyzna, który trzymał jej głowę za resztki misternej fryzury, miał długie białe włosy.

Lothar dojrzał mnie i zatrzymał się, dysząc ciężko. Popchnął dziewczynę na łóżko, a ta odwróciła się na plecy, głowę zsuwając z krawędzi. Spojrzałem na nią, Maggie uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę w moją stronę.

– Armagnac... – szepnęła, a głos miała niski i chrapliwy. – Dołącz do nas...

Lothar wciąż patrzył na mnie, a w jego czarnych oczach płonął ogień. Włosy wysunęły mu się ze wstążki na karku. Wyglądał strasznie i podniecająco zarazem.

Chciałem uciec, czułem jednak, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Zbliżałem się do łóżka, nie mogąc oderwać wzroku od ich nagich ciał. Maggie pierwsza podniosła się z pościeli i niecierpliwymi ruchami zaczęła zdejmować ze mnie ubrania. Oplotłem dłońmi jej wąską kibić. Ten mały gest sprawił, że puściły wszystkie hamulce, a moje ciało, mimo wypitego wina, zareagowało gwałtownie na jej nagość. Rzuciłem się do jej bujnych piegowatych piersi i całowałem je tak, jakbym chciał ją pożreć. W ciągu chwili byłem nagi, a Maggie leżała pode mną, Lothar tymczasem ułożył się obok i zabawiał jej potarganymi włosami, ja zaś wdarłem się między białe, spływające sokami uda, zaciskając zęby. Zanim zdałem sobie sprawę, że bezczęściliśmy córkę gospodarza, przed chwilą jeszcze dziewicę, mającą wkrótce zostać żoną innego mężczyzny, wiliśmy się wszyscy troje w najróżniejszych pozycjach, prześcigając się w sposobach zadawania sobie wzajemnie rozkoszy. Stałem się napędzaną żądzą bestią, chciałem wchłonąć w siebie ich oboje, całowałem to dziewczynę, to Lothara i dotarło do mnie, że i jego pragnąłem od pierwszego spojrzenia.

Gdy nie mieliśmy już sił na erotyczne zapasy, padliśmy na pościel. Zmęczenie i wino sprawiły, że niemal nic nie widziałem, pokój wirował wokół mnie i przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem i co się przed chwilą wydarzyło. Przez moment zdawało mi się, że w ciemności połyskuje gdzieś w kącie biała twarz Huntingtona, ale musiało to być tylko złudzenie.

Dziewczyna zasnęła z głową na mojej piersi, jej gęste włosy niemal zakrywały mi twarz. Lothar leżał obok, wpatrując się w haftowany baldachim, ręce skrzyżował pod głową, a na jego twarzy malował się wyraz rozkosznego zmęczenia.

– Lothar... – zacząłem cicho. – Nie wiem, co się ze mną stało... Ja nigdy wcześniej nie...

– Ciiii... – chłopak przymknął oczy. – Ciesz się smakiem zakazanego owocu.

– Ale co my teraz zrobimy? – nagle poczułem wyrzuty sumienia i absurd naszego położenia. – Jeśli ktokolwiek nas tu zastanie...

– Niczego się nie obawiaj, wszystko jest załatwione.

– Załatwione? Co to znaczy? – delikatnie wyplątałem się spod ciała Maggie i zacząłem szukać porzrzucanych po podłodze ubrań. Nie było to łatwe, gdyż paliła się już tylko jedna świeca, a ja ciągle jeszcze byłem pijany.

– Czy naprawdę wydaje ci się, że wszystkie te piękne dziewczęta wychodzą za mąż za bogatych starców nienaruszone? Rochefourt przyjąłby ją z wdzięcznością nawet z bękartem w brzuchu.

– O Boże, Lothar, a jeśli ona faktycznie...

Lothar zaśmiał się i usiadł na łóżku. Był szczupły i miał szerokie barki, czego nie było widać, gdy był ubrany.

– Nie tknąłbym jej, wiedząc, że mogę zostać dzisiejszej nocy ojcem jej bękarta.

– Ale przecież tego nie można...

– Można. Spójrz na siebie – skinął głową w moją stronę i parsknął śmiechem. – Ja zresztą nie wyglądam lepiej...

Dotknąłem swoich ust i wzdrygnąłem się. Całe łóżko, a także my obaj, pokryci byliśmy smugami krwi. Poczułem atak paniki, zrobiło mi się niedobrze, a Lothar począł się dziko śmiać.

– Są takie dni, w których dziewczyna nie może zająć w ciążę – wstał i zaczął się ubierać. – To całkiem naturalne, wystarczy się przełamać. Ubieraj się, doprowadzimy się do porządku w domu.

Znowu poczułem mdłości, tym razem od ciągłego schylania się po poszczególne części garderoby. Urywane wspomnienia tej nocy wracały do mnie w niewyraźnych przeblyskach, wydały mi się obrzydliwe, nienaturalne i grzeszne. A przecież jeszcze kilka chwil temu byłem niemal z rozkoszy w objęciach tych dwojga, białowłosego mężczyzny i śpiącej w zbrukanej pościeli rudowłosej nimfy. Jej uda oblepione były zaschniętą krwią. Poczułem kwaśny smak w ustach i wiedziałem, że jeśli natychmiast stamtąd nie ucieknę, z pewnością zwymiotuję. To był jakiś koszmar.

– Jeśli ktoś by tu teraz wszedł, pomyślałby, że ją zabiliśmy... – szepnąłem, na co mój kochanek ponownie parsknął śmiechem.

– Mój drogi przyjacielu, Maggie MacLowley nigdy wcześniej nie czuła się bardziej żywa! – odrzekł, rzucając we mnie koszulą.

VIII

Powóz czekał na nas na tyłach posiadłości. Na dziedzińcu było pusto i zupełnie ciemno, ale w kilku oknach sutereny zaczęły rozbłyskiwać światła, służba szykowała się do porannych obowiązków.

Z trudem wdrapałem się do powozu i opadłem na skórzane siedzenia. Otuliłem się szczelnie płaszczem, a cylinder wcisnąłem głęboko na czoło. Miałem ochotę zapaść się pod ziemię, wieczorne uczucie triumfu przeobraziło się we wstyd i upokorzenie. Nie miałem odwagi spojrzeć Lotharowi w oczy, on jednak nosił się ze zwykłym sobie spokojem i dostojeństwem. Znów był nieskazitelnie uczesany i ubrany, spokojnie ścierał krew z twarzy muślinową chusteczką, jakby nie było w tym niczego dziwnego. Zdałem sobie sprawę z tego, że nie widziałem, aby przez całą noc wypił choć łyk wina. Kiedy był sobą? Teraz czy parę godzin temu, gdy brał Maggie MacLowley?

Gdy wjeżdżaliśmy na przedmieścia, zaczynało świtać i gaszono latarnie. Mróz zelżał, na drogach leżało pośniegowe błoto. Cały świat wydawał mi się odrażający, brudny i smutny.

Wchodziliśmy po schodach bez słowa, miałem wrażenie, że nigdy się nie skończą. Lothar w jednej ręce dzierżył skrzypce w masywnym podróżnym futerale, w drugiej laskę z kryształową gałką. Pogwizdywał cicho, otwierając drzwi.

– Teraz weźmiesz kąpiel i porządnie się wyśpisz, a potem porozmawiamy – rzekł cicho, wieszając płaszcz i odkładając cylinder na komodę.

– Wolałbym udać się do siebie... – odbąknąłem, patrząc w podłogę.

– Nonsens, zresztą odprawiłem już powóz – odstawił skrzypce i spojrzał na mnie, jego twarz wykrzywił ironiczny uśmiech. – Kąpiel i to jak najszybciej – pociągnął za szarfę zwisającą przy drzwiach do salonu i po chwili z wnętrza mieszkania wyłonił się lokaj. Zapomniałem o nim, zapomniałem, że do apartamentu Lothara przylegała służbówka. Jęknąłem bezradnie, gdy Jameson zlustrował mnie od góry do dołu taksującym spojrzeniem.

– Kąpiel dla panicza, migiem – Lothar oddał mu laskę i pozwolił ściągnąć z siebie frak. Usiadł na rzeźbionym stołku, aby służący pomógł mu zdjąć wysokie buty do konnej jazdy. – I dużo mocnej kawy, dziś nie będziemy pić herbaty. Śniadanie za godzinę.

Jameson uklonił się i zniknął bez słowa, zabierając ze sobą ubłocone buty.

– Będziesz tak stał? – spojrzał na mnie, unosząc brwi. – Czy mam wezwać Jamesona, żeby pomógł ci się rozebrać? Myślałem, że nie cierpisz asysty.

Nie cierpiałem. Zresztą myśl o tym, że ktokolwiek mógłby mnie teraz dotknąć, wydała mi się przerażająca. Kręciło mi się w głowie i wiedziałem, że nie doszedłbym do swojego mieszkania. Z pewnością upadłbym na śliskim chodniku i zabił się, uderzając głową o krawężnik. Przez chwilę taki rozwój wypadków wydał mi się niezwykle kuszący. Wyrzuty sumienia związały mi gardło w supeł, nie mogłem wydusić z siebie słowa. Niezgrabnie zdjąłem płaszcz i wszedłem do salonu, rzucając się na szezlong, który ubłociłem butami. Lothar nie zareagował.

– Kąpiel gotowa – lokaj wyłonił się jak duch z półmroku. W mieszkaniu było rozkosznie ciepło, ogień trzaskał w kominku, a aromat kawy wypełnił wnętrze. Niemal zasnąłem.

– Zabierzmy go do łazienki – usłyszałem głos Lothara i poczułem, że unoszą mnie we dwóch. Byłem półprzytomny ze zmęczenia, wino szalało w moich żyłach. Chciałem umrzeć.

– Poradzimy sobie – trzaśnięcie drzwiami wyrwało mnie z odrętwienia.

Łazienka była wielka, wyłożona jasnym marmurem, a gigantyczną wannę na złotych lwich łapach wypełniono parującą, pachnącą wodą. Zdawało mi się, że śnię. Czy to było mieszkanie Lothara? Pożałowałem tego, że przez ostatnie tygodnie piłem bez umiaru, nie pamiętałem, co się działo, gdzie przebywałem, o czym rozmawialiśmy przez cały ten czas. Ostatnim wyraźnym wspomnieniem było zimne ciało ciotki, które odkryłem w fotelu... kiedy? Miesiąc temu? Rok temu?

– Mógłbyś choć trochę współpracować... – spojrzałem w dół, Lothar rozbierał mnie, klęcząc na podłodze. Spróbowałem się wyrwać, ale tylko zachwialiśmy się bezwładnie, więc mój towarzysz przytrzymał mnie mocniej, nie przestając rozpinać mojego rozporoka.

– Zostaw! Nie dotykaj mnie! – próbowałem chwycić go za rękę, ale nie zdołałem.

– Kilka godzin temu mówiłeś coś zupełnie innego – parsknął nerwowo. – Nie wygłupiaj się, jesteś zbyt pijany, utopisz się bez nadzoru!

Jęknąłem, gdy opuścił mi spodnie, wiedziałem, że się czerwienię, bo odczułem pierwszy skurcz podniecenia między nogami, gdy jego dłonie zrywały ze mnie zniszczoną bieliznę. Moje ciało wyglądało tak, jakbym przez pół nocy nago pomagał rzeźnikowi.

– Zostaw mnie, proszę... – uchwyciłem się krawędzi wanny. – Poradzę sobie – skłamałem, ledwie trzymałem się na nogach.

– Mam wrażenie, że w nocy poszło nam to o wiele sprawniej... – Lothar przytrzymał mnie i pomógł wejść do wanny. Woda była rozkosznie ciepła, a ja natychmiast zwiotczałem w niej i wiedziałem, że za moment stracę przytomność.

– No pięknie... – usłyszałem jeszcze i po chwili poczułem nogi Lothara splatające się z moimi. Wszedł do wanny i przytrzymał mnie przy swoim ciele, ale wówczas było mi już wszystko jedno.

Odpłynąłem w niebyt.

Gdy otworzyłem oczy, Lothar stał nade mną, odziany w czarno-złoty szlafrok, a woda niemal ostygła. Poczułem zażenowanie. Byłem już umyty i wolałem nie myśleć, jak to się odbyło, bojąc się kolejnego niekontrolowanego przyływu żądy. Nieco już otrzeźwiałem i zdołałem sam wygramolić się z wanny. Gospodarz podał mi ogrzane prześcieradło.

– Czekam w salonie – rzucił na odchodne i byłem mu niewypowiedzialnie wdzięczny, że oszczędził mi dalszych upokorzeń.

Wytarłem się i odziałem w przygotowany szlafrok. Stopniowo odzyskiwałem przytomność umysłu i wiedziałem, że nie uniknę nieprzyjemnej konfrontacji. Wolałem, żeby ta noc nigdy się nie wydarzyła, ale nie było już odwrotu.

Za oknem wstawał szary zimowy dzień.

Lothar siedział przy stole i popijał kawę z niedużej filiżanki. Usiadłem na krześle naprzeciwko niego i nalałem sobie czarnego jak smoła, parującego napoju. Potrzebowałem kawy jak powietrza. Jameson pojawił się zniemacka i postawił na stole tacę ze śniadaniem.

– Nienawidzę, jak to robi... – mruknąłem znad filiżanki, gdy oddalił się równie nagle, jak przybył.

– Żartujesz chyba, jest świetny! Chwilami zapominam, że w ogóle tutaj jest – Lothar upił łyk i uniósł pokrywę tacy. Bałem się, że zapach jedzenia mnie zemdli, zamiast tego poczułem wilczy apetyt.

– Właśnie o to chodzi – odrzekłem. – Mam wrażenie, że czai się w cieniu za kotarą, obserwując każdy nasz ruch.

– To najlepsza cecha służby, odczytywać nasze pragnienia, zanim wyrazimy życzenia – chłopak rozparł się na krześle. Jego głos nabrał twardego, niemieckiego akcentu. – Jakie ma pan przemyślenia po swoim pierwszym recitalu, panie Jardineux? – uśmiechnął się; nie wiedziałem, czy złośliwie, czy

lubieżnie.

– Wolałbym nie rozmawiać o tym, co się stało... – miałem ochotę wskoczyć do filiżanki. Czułem się wmanewrowany w gierki Huntingtona i jego protegowanego, wykorzystany i po raz setny upokorzony.

– Dlaczego? Ja uważam, że był to bardzo udany wieczór. I noc – dodał po chwili, po czym pochylił się i spojrzął mi prosto w oczy. – Będę jednak miał przez jakiś czas kłopoty z siedzeniem...

W pierwszej chwili nie bardzo zrozumiałem, co miał na myśli. Gdy zorientowałem się, o czym mówił, zbladłem i z brzękiem odstawiłem filiżankę na spodek, a kawa rozlała się wokół. Czyżbym stał się sodomitą i nawet tego nie pamiętał? Serce zaczęło walić mi jak oszalałe. To nie mogła być prawda!

Lothar tymczasem z wymownym grymasem poprawił się na krześle i bez cienia zażenowania kontynuował:

– Nie zrozum mnie źle, to było bardzo intensywne i... stymulujące przeżycie, zresztą już mi nieobce... Być może moglibyśmy je kiedyś powtórzyć...

Zerwałem się z krzesła, odsuwając je ze zgrzytem.

– Przestań, to nie jest zabawne! – wykrzyknąłem. Nie mogłem dłużej tego słuchać, chciałem uciec stamtąd jak najszybciej i rzucić się pod pierwszy przejeżdżający powóz choćby dlatego, że poczułem znów przypływ pożądania. Miałem ochotę obalić Lothara na podłogę, zerwać z niego szlafrok i zrobić to, o czym mi opowiadał, i tym razem zapamiętać każdą sekundę gwałtu.

– Uspokój się – chłopak uniósł filiżankę do ust. Był wyraźnie rozbawiony całą tą sytuacją. – Nie rozumiem, czym się tak denerwujesz. Czyżby to był twój pierwszy raz?

Poczułem przypływ wściekłości, zacisnąłem zęby i faktycznie rzuciłem się na niego, ale przewidując mój ruch, zerwał się i uniknął napaści, ja zaś upadłem na podłogę.

– Armagnac, w tej chwili się uspokój, bo zrobisz sobie krzywdę! – chwycił mnie za ramię, ale wyrwałem się. – Nie rób scen, nic złego się przecież nie stało – pochylił się nade mną. – Przepraszam, nie chciałem być niedelikatny, ale nie uważasz, że cała ta sytuacja jest bardzo zabawna?

Nie, nie uważałem tak.

– W nocy poczynałeś sobie naprawdę zręcznie, zarówno z małą Maggie, jak i ze mną, nie przypuszczałem, że...

– Zamknij się wreszcie! – zamachnąłem się i tym razem trafiłem go prosto w szczękę. Nie przewidziałem jednak, że zaboli mnie to równie mocno, co jego.

Chwyciłem się za dłoń, ból zupełnie mnie otrzeźwił. Zachowywałem się jak histeryk. Wróciłem na swoje krzesło i opadłem na nie zdyszany. Lothar rozcierał szczękę, dolną wargę miał zakrwawioną, potargałem mu włosy. Znowu wyglądał tak jak w nocy, strasznie i ponętnie.

– Przepraszam – szepnąłem, patrząc mu w oczy. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło. To wszystko wydarzyło się tak szybko, a ja byłem tak pijany, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Do tego ta dziewczyna, ja... – zawahałem się. – Gdy graliśmy, wyobrażałem sobie, że leżę z nią w wysokiej trawie, że oddaje mi się. I gdy zobaczyłem, jak wy... jak ty... Nie mogłem się powstrzymać, zaślepiła mnie żądza. Przepraszam...

Lothar nic nie mówił, usiadł na krześle obok mnie i położył rękę na mojej złożonej na stole dłoni. Knykcie poczerwieniały mi od uderzenia, delikatnie gładził je palcami, a ja nagle straciłem chęć, aby mu się opierać, aby walczyć z narastającym pożądaniem.

– Mówiłem, że zrobisz sobie krzywdę... – szepnął, unosząc moją dłoń do swoich pokaleczonych ust. – I nie musisz mnie za nic przepraszać.

– Tak, to był mój pierwszy raz... – szepnąłem tak cicho, że nie byłem pewien, czy mnie usłyszał. – Z mężczyzną. I nawet nie pamiętam, że to się stało. Jest mi strasznie wstyd... – pieszczota jego ust zaczynała mieszać mi w głowie.

– Wstyd? A co to takiego wstyd? – Lothar przysunął się bliżej mnie, nasze uda się zetknęły. Przeszedł mnie dreszcz. – Od kiedy pamiętam, pozwalałem prowadzić się ciału i zaspokajałem jego pragnienia. Jestem agnostykiem i empirystą, uważam, że to, czego doświadczymy na ziemi, podczas naszego życia, to wszystko, na co możemy liczyć – zamknął moją dłoń w swoich. – A po śmierci nie ma już nic. To samo powiedział mi lord Huntington, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Huntington.

Na chwilę o nim zapomniałem, a teraz powrócił do mnie jak zjawą, jego głos zabrzmiał gdzieś w mojej głowie, sprawiając, że dotyk Lothara stał się jeszcze bardziej przejmujący.

– Jesteś artystą, a artyści to ludzie o otwartych duszach i sercach – rzekł, odgarniając mi pieszczotliwie kosmyk włosów za ucho. – Nie pozwól sobie na myślenie, że cokolwiek, co sprawia ci przyjemność, jest grzeszne. Nikt nie ma prawa cię oceniać, dopóki postępujesz zgodnie ze swoim sumieniem. Jesteśmy dorosłymi, światłymi ludźmi, możemy robić wszystko, na co tylko przyjdzie nam ochota...

– A co z córką MacLowleya? Huntington mówił, że poślubi starucha

i znajdzie sobie młodego kochanka...

– Czy aby już go nie znalazła? A nawet dwóch? – Lothar odsunął moją dłoń od ust. „Nie przestawaj...” – pomyślałem natychmiast, ale zaraz w głębi duszy skarciłem się za to. Nie chciałem mu ulec. Czy na pewno...?

– Jeśli Rochefourt zorientuje się, że nie jest już dziewicą...

– Ten stary cap? – Lothar zaśmiał się szczekliwie. – Nie zorientowałby się nawet, gdyby ktoś podłożył mu zamiast niej jakąś zwiędłą przekupę. Stroi się jak fircyk, ale uwiad dopadł go już wiele lat temu!

Byłem zniesmaczony. Gdzie podział się Lothar, którego poznałem kilka tygodni temu, elokwentny, czarujący i wyrafinowany? Chwilami miałem wrażenie, że jest dwiema różnymi osobami, że za fasadą dżentelmena ukrywał się ironiczny, wulgarny, bezpośredni prostak.

– A zresztą mała Maggie nie była wcale dziewicą – dodał, wracając na swoje miejsce i dolewając sobie kawy. Podniósł pokrywę tacy i nałożył na talerz okazałą porcję stygnących specjałów. Miał znakomitą kucharkę, o tym zdążyłem się już przekonać.

Zaniemówiłem, a przy tym poczułem w żołądku skurcz głodu.

– Nie była dziewicą? – przyglądałem się, jak żarłocznie zaczął pochłaniać jedzenie. Do tej pory jadł niespiesznie i powoli, teraz jakby przestał się hamować, jakby nie musiał już niczego przede mną udawać.

– Oczywiście, że nie. Czy myślisz, że dziewica pozwalałaby sobie na takie harce podczas swojego pierwszego razu? Ile dziewczyc miałeś? Ja miałem kilka i wierz mi, w ich przypadku wszystko musiało odbywać się pod kołdrą, przy zgaszonym świetle, a po fakcie chlipały w poduszkę i wymagały pocieszenia, jakbym zrobił im nie wiadomo jaką krzywdę. A przecież żadnej nie brałem siłą – wpakował sobie do ust kolejny kęs. – Napiłbym się czegoś... – wybełkotał z pełnymi ustami, wstał i zadzwonił na Jamesona, który zjawił się z karafką białego wina tak szybko, jakby tylko czekał na wezwanie. Nie spojrzał nawet na mnie i oddalił się bez słowa.

– Widzisz? On zna mnie już na tyle, że wie, na co mam ochotę. Poza tym sam nie jest święty. Widziałeś moją kucharkę? Apetyczna dziewczucha... Parzą się jak króliki, kiedy tylko mają okazję.

Zakrztusiłem się, na co Lothar parsknął śmiechem.

– A ty parzyłeś się ze swoją kucharką? – wypaliłem zirytowany, czułem jednak, że schodzi ze mnie napięcie.

– Nie żartuj, mam być arystokratą, tak? Ale nie rozpuszczonym smarkaczem z dobrego domu, który ugania się za służbą.

– A kim jesteś naprawdę? – spytałem.

Lothar zatrzymał widelec w połowie drogi do ust.

– Jestem tym, kim Huntington chce, abym był – rzekł cicho, odkładając sztućce i odsuwając talerz. – I tym, kim nigdy nie zostałem bez jego pieniędzy.

Patrzyliśmy na siebie bez słowa, w końcu chłopak podjął wątek:

– To Huntington wydaje polecenia, ale ja nie jestem bezwolny. Nie zgodziłem się na całą tę maskaradę z tobą, gdybym nie miał na to ochoty. Ale to Huntington wszystko zaaranżował. To on usłyszał cię wtedy w barze i wysłał mnie, abym... abym cię zwabił. To on zapłacił za pogrzeb twojej ciotki, to jego koneksje pozwoliły sprzedać jej mieszkanie po zawyżonej cenie. To on położył małą Maggie do łóżka, abyśmy mogli używać jej do woli. I on przekonał Rochefourta, że dziewczyna ma dalej wysoką wartość, podczas gdy my będziemy spijać nektar z jej ust... Teraz też przejadamy jego pieniądze, na srebrach opłaconych z jego kiesy... Wszystko, co mam, dostałem od niego. W zamian jestem jego posłańcem, towarzyszem, jego... pupilkiem.

Patrzyłem bez słowa, jak stawał się coraz bardziej pośępnny.

– Nie męczy cię ta zależność? – spytałem w końcu.

– A ciebie nie męczy? Od tygodni gnuśniejesz wśród bogactwa, jakim cię otoczył. I dokąd cię to doprowadziło? Byłeś gotów mnie pobić, byle tylko nie przyznać się przed sobą samym do słabości do mnie, czyż nie mam racji?

Poczułem ukłucie niepokoju. Miał rację, jak zwykle zresztą.

– Pijany czy nie, nie wszedłbyś w nocy z nami do łóżka, gdybyś sam tego nie chciał – dokończył, patrząc mi w oczy. Był naprawdę pięknym mężczyzną. Czy to otulony futrzanym kołnierzem, czy nagi i rozczochrany, czy siedzący teraz przede mną w bogato zdobionym szlafroku i fularze. I miał rację, pragnąłem go bardziej niż kogokolwiek przedtem. Wszedłbym do tamtego łóżka bez względu na to, czy Maggie byłaby w nim, czy nie. Zresztą, o niej zdążyłem już prawie zapomnieć.

– Teraz, gdy już... przypieczętowaliśmy nasz pakt, mogę chyba przestać przed tobą udawać, prawda? – Lothar sięgnął do pobliskiego stolika i wydobył z szuflady cienkie cygara. Podsunął mi papierośnicę, ale pokręciłem głową. Nie mogłem oderwać wzroku od jego szczupłych, długich, wypielęgowanych palców. Włożył cygaro do ust, uważając, by nie podrażnić rozciętej wargi, i podpalił je, głęboko zaciągając się dymem. Kiedy zdążył się ogolić? Zrobił to sam czy z pomocą Jamesona? Wizja brzytwy przesuwającej się po jego gardle zdała mi się bardzo niepokojąca.

– Jeśli jednak wolisz tego nonszalanckiego, czarującego dandysa... –

uśmiechnął się znanym mi już, tajemniczym uśmiechem.

– To nie przystoi... – odparłem cicho – Jesteś w końcu mężczyzną i ja też. To chyba karalne...

Lothar nie wytrzymał, wybuchł śmiechem i wstał.

– Martwisz się tym, że ktoś mógłby wsadzić cię do więzienia za...? Armagnac, czego oni nakładli ci do głowy w tej Ameryce? Ale czemu ja się dziwię, w końcu to purytanie założyli wasz kraj! – śmiał się i palił jednocześnie, aż i ja zacząłem się śmiać. Po chwili zdusił cygaro w srebrnej popielniczce i przyklęknął na podłodze tuż przy mnie.

– Jesteś młody, utalentowany, piękny i wolny. Dziś od rana cała londyńska śmietanka towarzyska plotkuje o naszym wczorajszym koncercie. A takich koncertów będzie więcej. Podobała ci się mała Maggie? Jeśli zechcesz, będziesz ją mieć co noc, a jak ci się znudzi, kolejka pięknych kobiet będzie już stała koło twojego łóżka. A jeśli chodzi o ciebie i o mnie... – położył dłonie na moich kolanach. – Nie dotknę cię więcej, jeśli mnie o to nie poprosisz, przysięgam. Mówiłem szczerze, że nie chciałem cię urazić. A miniona noc... masz rację, być może nieco się pospieszyliśmy, może można było rozegrać to subtelniej. Musiałem jednak jakoś cię obudzić, wyrwać ze szponów pijaństwa. Udało mi się, mam nadzieję?

– Udało ci się – odpowiedziałem i nakryłem jego dłonie swoimi. – Przepraszam, że cię uderzyłem – dodałem, dotykając jego twarzy.

– Nie takie razy przyjmowałem, zagoi się. Idę teraz spać, a ty się rozgość – Lothar powoli wstał. – Przebierz się, szafa jest pełna. Możesz jechać do domu, Jameson sprowadzi ci kolację. Możesz też zostać. Cokolwiek zrobisz, uszanuję twoją decyzję – odwrócił się i zniknął w sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Przez długą chwilę wpatrywałem się w nie. Byłem syty, a zmęczenie zniknęło. Nalałem sobie kieliszek wina, było chłodne i bardzo wytrawne. Podeszedłem do szafy i otworzyłem ją. Okazała się tak obszerna, że mogłem do niej wejść. Po chwili wahania wybrałem koszulę z delikatnego muślinu i bryczesy. W ciepłe buchającym z kominka moje włosy niemal wyschły. Udałem się do łazienki, wanna była już opróżniona, a pomieszczenie uprzątnięto i osuszono. Kiedy Jameson zdążył to zrobić? Był zaiste jak duch. Splotłem włosy w warkocz, wróciłem do salonu i zasiadłem w fotelu, wpatrując się w drzwi sypialni. Wrony za oknem krakały donośnie i miasto budziło się do życia. Nawet chmury jakby się przeredziły i zaczynało wyglądać pomiędzy nich blade, zimowe słońce.

Co robił Lothar? Spał? Czemu o tym myślałem? Chciałem wyjść,

a jednocześnie chciałem zostać, wejść do sypialni i położyć się przy nim. Chodziłem pod drzwiami w tę i z powrotem, aż w końcu powoli uchyliłem je z cichym skrzypnięciem.

Sypialnia nie była duża, okna częściowo przysłaniały mięsiste zasłony w kolorze starego złota, a w obszernym łóżu, jakże podobnym do tego, w którym nocą w zamku MacLowleya wspólnie zaznawaliśmy rozkoszy, spał Lothar.

Zadrzałem z podniecenia, patrząc na jego wystającą spod białej pościeli nogę, na jego masywne plecy, odcinające się na tle kołdry, na jasne włosy rozrzucone niedbale po poduszkach. Wspomnienia wspólnie spędzonej nocy nagle wróciły, przypomniałem sobie odważne pieszczoty jego zręcznych palców, jego głębokie, brutalne pocałunki i westchnąłem cicho. Jakże inne były od wszystkich cielesnych rozkoszy, których do tej pory zaznałem...

Przysiadłem na brzegu łóża.

– Śpisz? – spytałem cicho, a gdy nie odpowiedział, ostrożnie położyłem się obok, czując przez kołdrę twardość jego ciała. Próbowałem przypomnieć sobie, kiedy i jak zrodziła się ta zakazana namiętność, którą on traktował tak naturalnie. Czy już pierwszego wieczora, gdy czarował mnie w barze obietnicami świetlanej przyszłości? Czy podczas naszej pierwszej wspólnej próby, gdy dźwięki naszych instrumentów zlały się w kunsztowną, niepokojącą melodię? Czy dopiero zeszłej nocy, gdy półprzytomny pozwoliłem prowadzić się na szczyty rozkoszy, z których spadłem w bagno upokorzenia? On wyciągnął mnie z tego bagna kilkoma jakże prostymi i prawdziwymi zdaniami. Byłem młody, wolny, świat należał do mnie, a on był częścią tego świata i oddawał mi siebie, a mnie przed przyjęciem tego daru wstrzymywała jakaś cudza moralność, wszczepiona mi w dzieciństwie na zacofanym południu Ameryki, gdzie jeszcze do niedawna nie można było cudzołożyć, ale można było bezkarnie skatować niewolnika na śmierć.

Lothar mruknął coś przez sen, przekręcił się w moją stronę i oplótł mnie ramieniem.

– Śpijmy już... – wyszeptał w półśnie, wzdychając głęboko. Miał w tamtej chwili twarz chłopca, gładko ogoloną i spokojną. Starając się go nie obudzić, zsunąłem bryczesy i wślizgnąłem się pod kołdrę. Łóże było rozgrzane od jego ciała i po chwili zapadłem w głęboki sen, czując na piersi ciężar jego ramienia.

IX

Obudziło mnie bicie zegara w salonie. Słońce zachodziło, a łóżko było puste. Sypialnia ostygła, wzdrygnąłem się, usiadłem na krawędzi łoża i rozejrzałem się, nie bardzo pamiętając, gdzie byłem. To była sypialnia Lothara i jego łóżko. Znów poczułem w gardle węzeł wstydu, ale jednocześnie chłonałem z pościeli jego zapach, jakieś drogie, orientalne perfumy z nutą drzewa sandałowego i piżma. Wciągnąłem spodnie najciszej, jak potrafiłem, nie wiedząc, kto mógłby mnie tu zastać.

Drzwi były uchylone i słyszałem, że w sąsiednim pomieszczeniu ktoś pije herbatę. Wstałem i podkradłem się do futryny, po czym ostrożnie wyjrzałem do salonu. Lothar siedział tyłem do mnie, odziany w ten sam, co rano, szlafrok, popijał herbatę i czytał gazetę. Palił cygaro, unosząc leniwie rękę do ust, gestem nieświadomie zmysłowym. Takiego lubiłem go najbardziej.

– Dobry wieczór... – rzekłem cicho, rozcierając zmarznięte ramiona. Za oknem robiło się ciemno i zbierały się chmury, zanosiło się na zamieć.

– Dobry wieczór – rzucił przed siebie. – Chodź no tu do mnie, popatrz, piszą o nas w rubryce towarzyskiej – podał mi gazetę, gdy usiadłem naprzeciwko niego. – I to bardzo dobrze piszą. To świetna wiadomość, Huntington będzie z nas bardzo zadowolony.

Huntington, znowu on... Pojawiał się między nami, choćby tylko w rozmowach, zawsze wtedy, gdy w ciszy zaczynałem celebrować naszą nową, skomplikowaną relację. Poczułem, że ktoś kładzie mi pled na ramionach. Jameson... Po raz pierwszy doceniłem jego obecność. Czy nie zastanowiło go, dlaczego wyłoniłem się z sypialni Lothara?

– Dorzuc do ognia tutaj i w sypialni – mój kochanek skinął na służącego. – Wydaj dyspozycje kucharce, niech przygotuje na kolację coś lekkiego, może rybę? Przynieś najlepszego szampana i zagotuj wodę na kąpiel. A potem weź wolne do jutra rana.

Jameson skłonił się nisko i umknął z salonu, po drodze dorzucając kilka polan do kominka. Lothar nie odzywał się i palił niespiesznie, ja tymczasem przeczytałem obszerną notkę, opisującą przyjęcie zaręczynowe dziedziczki rodu MacLowleyów, okraszone krótkim koncertem młodych i obiecujących muzyków, protegowanych lorda Edgara Francisa Huntingtona, którzy

zachwycili gości nie mniej niż uroda przyszłej panny młodej.

W końcu usłyszeliśmy trzask drzwi wejściowych.

Dopiero teraz Lothar spojrział na mnie.

– Cieszę się, że zostałeś – rzekł cicho, przyglądając mi się z uśmiechem. – Co to oznacza?

– Nie wiem – odrzekłem, patrząc na swoje bose stopy. Podwinąłem je pod siebie i szczelniej okryłem się pledem. – Nie bardzo wiem, co mógłbym ci powiedzieć, to dla mnie nowa i niepokojąca sytuacja. Wiem tylko tyle, że chcę... że chcę być blisko ciebie.

– Nic więc nie mów – Lothar wstał i podszedł do mnie. – Zimno ci?

– Trochę – wyszeptalem.

– Chodź do łóżka, rozgrzejemy się – wyciągnął do mnie dłoń, a gdy się zawahałem, dodał szybko: – Nie obawiaj się. Tak jak mówiłem, nie dotknę cię, dopóki nie poprosisz.

Ująłem jego dłoń i to wystarczyło, żebym podjął decyzję. Podążyłem za nim do sypialni, postanowiwszy, że zostawię za sobą przeszłość, a w przyszłość podążę z nim.

Patrzyłem, jak zdejmuje szlafrok i kładzie się do łóżka, zasuwając kotary. Było już prawie ciemno i tylko ogień w kominku ogrzewał i rozświetlał pokój. Choć dłonie drżały mi ze zdenerwowania, także się rozebrałem i wsunąłem pomiędzy zasłony.

W całkowitych ciemnościach poczułem ręce Lothara ciągnące mnie w dół i kołdrę, która szczelnie mnie opatuliła. Wpadłem w splot jego rąk i nóg. Jakże dziwnie było opaść nie na miękkie ciało kobiety, a na twarde, stawiające opór ciało mężczyzny... Byłem przerażony i podniecony jednocześnie, Lothar jednak odsunął się, robiąc mi miejsce.

– Ciepłej? – spytał cicho, czułem jego oddech gdzieś na szyi.

– Ciepłej, ale chciałbym, żeby było gorąco... – odrzekłem, nie bardzo dowierzając, że to powiedziałem.

– Czy to prośba?

Głos uwiązał mi w gardle.

– Tak, to prośba – odrzekłem po chwili. – Przypomnij mi, co robiliśmy zeszłej nocy...

– Tak w ciemności i pod kołdrą? – sarknął, dotykając moich włosów, i zręcznymi palcami rozplótł mój warkocz.

– Nie – wziąłem głęboki oddech. – Rozsuńmy kotary. Chcę cię widzieć i czuć ciepło ognia.

Czy to naprawdę ja mówiłem?

Rozsunęliśmy zasłony i poczułem na nagim ciele rozkoszny żar płomieni, które trzaskały w kominku. Czułem w sobie podobny żar i szaleństwo, gdy patrzyłem na połyskujące w ciepłym blasku ciało Lothara. Wyglądał zjawiskowo i patrzył na mnie tym dzikim wzrokiem, który sprawiał, że przestawałem troszczyć się o cokolwiek, tylko on się liczył. Gdy dojrzałem przed kominkiem skórę potężnego tygrysa, wyciągnąłem do Lothara rękę, a gdy chwycił moją dłoń, pociągnąłem go na podłogę.

– Tutaj – ukląknę, on zrobił to samo. – Zróbmy... zróbmy to tutaj.

– Na moim tygrysie? – Lothar zaśmiał się i ujął moją twarz w dłonie. – Zabiłem go, wiesz?

Nie uwierzyłem mu, ale nie obchodziło mnie, czy kłamał.

Pocałował mnie, przyciągając blisko do siebie. Twardość jego ciała sprawiła, że instynktownie chciałem się cofnąć, bronić, coś we mnie chciało uciekać i walczyć jednocześnie.

– Nie ma już odwrotu... – szepnął w moje usta. – Nie ma ucieczki, przestań się przede mną bronić... – zamknął mnie w ciasnym uścisku, aż zaparło mi dech. Miał niezwykle silne ramiona i choć byłem od niego wyższy, nie wyrwałbym mu się, nawet gdybym naprawdę tego chciał.

Nie chciałem jednak. Zacząłem odwzajemniać jego brutalne, duszące pocałunki, wiedziałem, że była to próba sił. Przepychaliśmy się przez chwilę, próbując nawzajem obalić na skórę tygrysa, czułem jednak, że Lothar bawi się ze mną. W końcu położył się twarzą na miękkim futrze, a ja, mimo szalejącego podniecenia, znów poczułem chęć ucieczki. Leżałem na nim i jędrność jego pośladków doprowadzała mnie do granic wytrzymałości, bałem się, że za moment będzie po wszystkim, zanim jeszcze na dobre rozpoczniemy. Uniosłem się na rękach.

– No dalej – burknął Lothar w futro tygrysa. – Na co czekasz?

Wstałem do klęczek, a wówczas chłopak odwrócił się zwinnie na plecy i widząc moje wahanie, wymierzył mi siarczasty policzek. Coś we mnie pękło, ból i wściekłość sprawiły, że przestałem myśleć, chciałem już tylko jednego.

– *Komm hier! ... Scheisse!* – syknął, chwytając mnie za włosy i pociągając na siebie. Wbił się ustami w moje usta i oplótł mnie nogami. Zanim zorientowałem się, co wyczyniał, byłem już w środku i aż straciłem oddech z rozkoszy.

Tego nie dało się porównać do miłości z kobietą. To było intensywniejsze, niemal bolesne, a jak on to odczuwał – wołałem nawet nie myśleć. Lothar syczał

przez zaciśnięte zęby, widziałem w blasku ognia jego wykrzywioną twarz, grymasem jakże podobnym do tego, który wczoraj dostrzegłem na twarzy Maggie. A więc z nią także kochał się w ten sposób, szukając mężczyzny w kobiecie?

– Nie musisz być delikatny, nie jestem dziewicą! – wychrypiał, wbijając się palcami w moje plecy. – Ból dodaje pikanterii... Aaach! *Verflucht Schwanz!* – wykrzyknął, gdy zastosowałem się do jego sugestii i nabrałem rozpędu. Widok jego zaciśniętych zębów i wykrzywionej bólem twarzy, potok niemieckich przekleństw, wszystko to znowu wyzwoliło we mnie zwierzę, które wcześniej pożerało Maggie MacLowley. Zawyłem, szczytując wewnątrz jego ciała.

Upadłem na niego i poczułem, że wstrząsa mną szloch, na co Lothar zaśmiał się pod nosem i pogłodził mnie po głowie.

– No już, już... – szepnął, scałowując łzy z moich policzków. – Uspokój się i pamiętaj, że jestem bardzo skuteczny w pocieszaniu roztrzęsionych dziewic.

– Lothar, to było... to było... – przestałem płakać i uniosłem się na rękach, spoglądając w jego spoconą twarz. Oddychał szybko, na jego obliczu malował się triumf, mimo że to przecież ja miałem go w swojej mocy.

– To było coś, prawda? Żadna kobieta ci tego nie da, żadna nie będzie tak walczyć, z żadną nie będzie tak intensywnie.

Stoczyłem się na skórę tuż przy nogach łóżka i wtedy zobaczyłem coś, co zjeżyło mi włosy na karku.

But.

But na stopie Huntingtona, który siedział na łóżku, skryty za kotarą, obserwując nas. W blasku ognia jego biała twarz wyglądała jak upiorna maska. Na głowie miał cylinder.

– To było coś... – mruknął, unosząc się bezgłośnie i stając nad nami.

– O mój Boże... – wstałem, potykając się o łeb tygrysa. Gdyby mnie nie przytrzymał, upadłbym nagi na rozgrzaną kratę osłaniającą palenisko. Lord przyciągnął mnie do siebie, choć spanikowany próbowałem się wyrwać, ale równie dobrze mógłbym walczyć z posągiem. Błyskawicznym ruchem zdjął z ramion pelerynę i okrył mnie. Lothar tymczasem niespiesznie wstał z podłogi, przeciągnął się jak kocur i wyszedł do łazienki, mamrocząc coś po niemiecku.

– Moi złoci chłopcy, nie sądziłem, że tak szybko się... zgracie – Huntington usiadł w fotelu przy kominku, a ja stałem jak uczeń na środku pokoju, dukając pod nosem jakieś przeprosiny, wytłumaczenia, bełkotałem bez ładu i składu, gapiąc się na jego buty. Były nieskazitelnie czyste, a przecież mieliśmy środek zimy. Za oknami szalała zamieć, a na nim nie było ani płątka śniegu. Od kiedy

siedział w tym pokoju?

Słyszałem, jak Lothar dokonuje ablucji. Huntington wskazał na moje ubrania, leżące na oparciu jedyne w pokoju krzesła. Chwyciłem je i wybiegłem do salonu, dysząc ze zdenerwowania.

Jak długo był w sypialni? Czy przez cały czas na nas patrzył? Czy widział moją ekstazę i moje łzy? Musiał to wszystko widzieć, przecież nie wślizgnął się niezauważony w trakcie, nasze nogi leżały niemal na progu! I kluczowe pytanie: czy Lothar wiedział o jego obecności?

Ubierałem się pospiesznie, bryczesy nagle wydały mi się za małe, nie mogłem trafić rękoma w rękawy koszuli. Co tu się, do cholery, działo? Dostrzegłem moje oczyszczone buty stojące przy kominku, pewnie Jameson doprowadził je do porządku, gdy spaliśmy. Na stole w jadalni stała nietknięta kolacja i szampan w kubelku pełnym na wpół stopionego śniegu.

Nie chciałem zostać tu ani chwili dłużej.

Drzwi od łazienki otworzyły się i Lothar, odziany tylko w koszulę i spodnie, wyłonił się wśród kłębow pary, zmierzając do sypialni. Chwyciłem go za ramię i brutalnie przyciągnąłem do siebie.

– Wiedziałeś, że on tu jest? – syknąłem. – Co tu się dzieje? Co on tutaj robi, do cholery?!

Mój kochanek uśmiechnął się nieznacznie, wyswobodził rękę z mojego uchwytu.

– Patrzy. Lord lubi patrzeć.

– Patrzy?! Jak to, patrzy? Na nas, jak... na ciebie i na mnie?

– Na moje kobiety i moich mężczyzn. Lord zawsze patrzy – Lothar wzruszył ramionami. – Nigdy jednak do tej pory nikomu się nie ujawnił, nie wiem, dlaczego dziś to zrobił.

– Co to znaczy, że lord zawsze patrzy?! – wrzasnąłem. – Co jest z wami nie tak? Jesteście obaj nienormalni!

– Nie tak ostro, chłopcze! – Huntington ukazał się w progu sypialni. – Uspokój się.

Kipiałem z bezradnej wściekłości. Czułem, że odarli mnie z resztek godności i prywatności, czułem się zdradzony przez Lothara i upokorzony tym, że Huntington widział mnie w tak intymnej sytuacji. I do tego z mężczyzną! Z mężczyzną, któremu zacząłem ufać, którego pożądałem całym sobą, którego... którego niemal pokochałem.

A więc Huntington był również zeszłej nocy w sypialni Maggie MacLowley, to nie był pijacki zwid!

– Mam dosyć tego, że ciągle mnie uspokajacie, obaj! Nie jestem waszą zabawką, a tak się czuję! Czy nie mam prawa do odrobiny godności i prywatności??

– Nie użalaj się nad sobą – Lothar wyglądał na poirytowanego, gdy tak stał przy kominku, ręce miał splecione na piersi. – Naucz się cieszyć życiem.

– Cieszyć życiem? A z czego mam się cieszyć? Że w najintymniejszych chwilach mojego życia podgląda mnie jakiś... jakiś dewiant?! – natychmiast pożałowałem tych słów.

Lothar pobladł gwałtownie.

Huntington zmaterializował się przede mną i zamknął moją twarz w stalowym uścisku zimnych jak lód palców.

– Ty niewdzięczny szczeniaku... – syknął, a ja poczułem, jak serce we mnie zamiera. A przecież był tylko chłopcem, niższym i drobniejszym ode mnie, czyż nie tak...? – Dałem ci dom, dałem ci nowe życie, dałem ci przyszłość, a ty tak mi odpłacasz? Gdzie byłbyś teraz, gdyby nie ja i moje pieniądze, co!? – warknął, a w jego głosie czaiło się coś bardzo, bardzo groźnego.

– Lordzie Huntington... – widziałem kątem oka, jak Lothar, blady jak ściana, podszedł do nas i niepewnie uniośł dłoń, jakby chciał powstrzymać go jakimś gestem. – Lordzie Huntington... – powtórzył ledwie słyszalnym, drżącym głosem.

– Dałem ci to wszystko, a w zamian dyskretnie obserwowałem, jak uprawiasz miłość ze swoim nowym kochankiem, który zresztą też jest prezentem ode mnie. To chyba niewysoka cena, nieprawdaż? – Huntington poluzował uścisk, ale nie puścił mnie. Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w jego zielone oczy, płonące w półmroku i tańczące wokół twarzy włosy, uwolnione spod cylindra. Czułem, że nie mogę się poruszyć, choćbym nie wiem jak bardzo chciał to zrobić. – Ale ty musisz pokazywać pazury, musisz kąsać dłoń, która cię karmi! Więc teraz, jak niewychowany szczeniaku, zostaniesz ukarany przez swojego pana. Dostaniesz lekcję pokory, która nauczy cię, że mnie nie wolno się sprzeciwiać, a moją wolę wypełnia się bez szemrania! – dokończył, prowadząc mnie z stronę łóżka. – Lothar, do mnie! – zakomenderował, a ten jak bezwolna lalka podszedł i stanął za mną.

– Przepraszam, Armagnac... – szepnął, choć wiedział, że Huntington słyszy go doskonale.

Lord tymczasem usiadł na łóżku, zakładając nogę na nogę.

– Na kolana... – głos wydobywał się z niego jak z głębi studni, a ja po prostu czułem, że muszę wykonać jego polecenie. – A teraz na czworaka! –

posłusznie przyjąłem żadaną pozycję, a łzy napłynęły mi do oczu, gdy ustami dotknąłem jego nieskazitelnie czystego buta. – Spójrz na mnie... – mruknął, a ja uniosłem wzrok. Dlaczego tak bardzo bałem się tej anielsko pięknej twarzy?

Czułem, że Lothar rozpina mi spodnie i zsuwa je, zaczęły drżeć pode mną nogi i ręce, nie mogłem jednak oderwać wzroku od twarzy Huntingtona.

– Zapamiętaj raz na zawsze, mój drogi chłopcze, że gdy ty uprawiasz miłość, ja patrzę – rzekł spokojnym głosem i skinął na Lothara, który szykował się do ataku za moimi plecami. Poczułem jego dłonie na obnażonym ciele i wybuchła we mnie przedziwna mieszanka uczuć, bałem się, ale byłem niezwykle pobudzony, a gdy Huntington pochylił się i ujął mnie pod brodę, żeby móc lepiej widzieć moją twarz, poczułem usta Lothara tam, gdzie nigdy nikt mnie nie całował, a w chwilę po nich pierwsze, niespieszne pchnięcie.

Pokój zawirował, wszystko, za wyjątkiem oczu lorda, zniknęło, a ja czułem, że za moment umrę, szarpany bólem i rozkoszą jednocześnie. Świadomość, że Huntington trzyma w swoich zimnych dłoniach moją głowę, że widzi to wszystko, zdała mi się nagle niezwykle podniecająca. Czy to na pewno była kara? Intensywność doznań była niemal nie do zniesienia, czułem na ramieniu gorącą dłoń Lothara, drugą ręką oplatał mnie w pasie, a rdzeń jego pożądania wbijał się bezlitośnie raz za razem, zdawać by się mogło, wprost do mojej duszy. Tak właśnie się czułem, jakby gwałcił moją duszę. Huntington tymczasem zbliżał twarz coraz bardziej do mojej, dyszałem wprost na niego i gdy poczułem, że nie zniosę tej rozkosznej tortury ani chwili dłużej, pocałował mnie. Zawyłem w jego usta, czując, jak Lothar dochodzi wewnątrz mnie, a ja plamię dywan pod sobą. Gdyby obaj jednocześnie mnie nie przytrzymali, upadłbym jak długi, ręce i nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Szarpały mną spazmy rozkoszy.

– Przepraszam, lordzie Huntington...! – jęczałem, nie poznając własnego głosu. Właśnie tak, musiałem go przeprosić, musiałem błagać go o wybaczenie. – Przepraszam, przepraszam... – szeptałem, czując, jak ich ręce przenoszą mnie na łóżko.

Potem była już tylko ciemność, jakby ktoś nagle zgasił ogień.

X

Obudziłem się w środku nocy zlany potem. Brakowało mi tchu, śniłem chyba, że tonę. Zerwałem się i rozsunąłem kotary łoża, w pokoju rozjaśniło się nieco od światła gazowych latarni za oknem i różowawego poblasku śniegowych chmur.

Usiadłem na łóżku i po omacku szukałem świecy i zapalek. Dlaczego w mieszkaniu Lothara nie było porządných lamp? Gdy w końcu podpaliłem knot, przekonałem się, że jestem sam.

Przeszedłem do salonu i zapaliłem świece w kilku kandelabrach. W mieszkaniu nie było poza mną nikogo. Moje ubrania, koszula i frak, leżały wyprane i wysuszone na stole. Jak kartka z napisem „Wynoś się”...

Ubrałem się, zgasilem wszystkie świece i wyszedłem w noc.

Było mroźnie i rzeško, ulice wypełniali wieczorni spacerowicze. Chciałem zatrzymać kolasę, ale po chwili zdecydowałem, że i ja się przejdę.

Przez całą drogę nie mogłem opędzić się od myśli o Lotharze i Huntingtonie. Prawda była taka, że stałem się zabawką w rękach lorda, tak jak Lothar, który sam to przyznał. Ale czy tak bardzo uwłaczała mi ta rola? Miałem wszystko, o czym tylko mógłbym zamarzyć, wspaniały apartament wyścielony orientalnymi dywanami, wylegiwałem się na najwygodniejszych meblach wśród ścian pokrytych najpiękniejszymi tapetami, nosiłem najmodniejsze, szyte na miarę ubrania, popijałem najdroższe wina i zajadałem się bażantami. Gdybym zechciał, mógłbym mieć służbę gotową spełniać wszystkie moje zachcianki. W zamian miałem robić tylko to, co sprawiało mi największą przyjemność, czyli grać na fortepianie i uprawiać miłość. Czy gotów byłem stracić to wszystko tylko dlatego, że stałem się nagle wstydlivy?

Gdy tak przemierzałem opustoszałe ulice, zaczynałem śmiać się z siebie i swoich skrupułów. Nie byłem przecież tracącą na wartości dziewicą ani panienką mogącą zostać porzuconą z bękartem. Jak nic zbyt intensywne pijaństwo odebrało mi rozsądek! Żyliśmy przecież w końcu XIX wieku, podobne układy były na porządku dziennym i nocnym tym bardziej, pary kochanków wynajmowały sobie miłosne gniazdko pod nosami małżonków, troszcząc się jedynie o to, by nie wywołać zbyt wielkiego skandalu, a najwyżej taki, którego inni będą zazdrościć. Lothar miał rację, zbyt wiele czasu spędziłem

na półdzikim amerykańskim Południu, żeby zdążyć wyrobić sobie jakiegokolwiek realistyczne pojęcie o współczesnym świecie.

Stałem przed kamienicą, w której mieszkałem.

Był to imponujący, trzypiętrowy budynek, a ja miałem w nim najlepszy apartament z widokiem na Tamizę. Wokół znajdowało się wiele teatrów, restauracji, kabaretów, niedawno otwarto metro, którym zachwycała się cała Europa. Londyn był centrum świata, a ja gotów byłem porzucić to wszystko, aby zachować resztki cnoty?

Portier otworzył mi drzwi. Nie wsiadłem do windy. Na każdym stopniu schodów czułem, jakby ktoś zdejmował mi z ramion wielki ciężar. W końcu sam przecież pragnąłem zostać kochankiem Lothara, a że Huntington będzie od czasu do czasu zerkał na nas z jakiegoś kąta...?

Huntington...

Przekręciłem klucz w zamku, wszedłem do środka i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Nie zdziwiłem się, widząc, że świece i lampy się palą, a Lothar siedzi w moim ulubionym fotelu. Teraz wstał, aby mnie powitać. Uśmiechnął się nieznacznie, ale moja twarz pozostała niewzruszona.

– Armagnac, ja... – zaczął, gdy odwiesiłem płaszcz i wszedłem do salonu.

– Dajmy sobie z tym spokój – uniosłem dłoń, żeby go uciszyć. – Jesteś sam?

– Tak, Huntington wyjechał w interesach, wróci za kilka dni.

– Ciekaw jestem, co to za interesy. Nowi podopieczni, nowe marionetki? Nowe, tresowane szczeniaki? – rzuciłem, ale nie było w tym złości. – Zaczynam dowiadywać się o nim coraz ciekawszych rzeczy. Podróże, mecenat, voyeueryzm... Nasz młody mecenas zdaje mi się coraz bardziej interesujący...

– On nie jest taki, na jakiego wygląda... – Lothar po raz pierwszy chyba szukał właściwych słów. – Nie daj się zwieść jego młodej twarzy.

– A co? Czyżby jego też przedwcześnie dopadł uwiąd i teraz musi uciekać się do takich praktyk?

– Armagnac, na miłość boską!

– Podobno jesteś agnostykiem – podszedłem do stołu i nalałem sobie whisky z kryształowej karafki, prezentu od Lothara, który dał mi tuż przed koncertem.

– Nie pij. Alkohol miesza ci w głowie.

– Wy dwaj mieszacie mi w głowie... – upiłem łyk, patrząc mu wyzywająco w oczy. – Czy nie możemy w końcu porozmawiać szczerze? Nie wiem już, kiedy jesteś sobą, a kiedy grasz narzuconą przez Huntingtona rolę!

Lothar milczał, spróbował dotknąć mojej twarzy, ale odtrąciłem jego rękę.

– Od początku mnie okłamywałeś... Byłeś jedyną osobą, której odważyłem

się zaufać po tym, co mnie spotkało. A to wszystko okazało się kłamstwem!

– Rozejrzyj się wokół siebie – Lothar powoli wyjął szklankę z mojej dłoni i odstawił ją na marmurowy blat stolika. – Czy to wszystko nie jest prawdziwe? Czy to są kłamstwa? Nie kłamałem, mówiąc, że pozwoliłem wciągnąć się w gierki Huntingtona, bo... bo zapragnąłem cię od momentu, kiedy cię zobaczyłem.

Tego było już za wiele. Prychnąłem, odwracając się od niego.

– A ilu takich było przede mną? Ilu uwiodłeś, a potem brałeś na jego oczach, co?

Milczał, spuściwszy wzrok.

– Tak właśnie myślałem... – uniosłem szklankę ze stolika i duszkiem wychyliłem jej zawartość.

– Teraz będzie inaczej – Lothar ponownie spróbował dotknąć mojej twarzy, a ja tym razem nie odtrąciłem jego dłoni. – Do tej pory nie było nikogo takiego jak ty. Owszem, uwodziłem pod jego dyktando tylko po to, by mógł dowoli napatrzeć się na mnie i moje ofiary. Bo tym właśnie dla mnie byli wszyscy ci rośli młodzieńcy i spłonione panienki, ofiarami... – wymówił ostatnie słowo z naciskiem, a jego oczy pociemniały. – Posiadałem ich ciała, a później... później znikali z mojego życia. Ale odkąd pojawiłeś się ty, wszystko się zmieniło – zamilkł na chwilę, po czym dodał ciszej: – Uwiodłem Maggie tylko po to, byś ty mógł ją osiąść, nie rozumiesz tego? Uwiodłem ją dla ciebie...!

To było absurdalne!

– Dlaczego nie pozwoliliście, żebym sam ją uwiodł?! – dolałem whisky do szklanki, ale odstawiłem ją nietkniętą.

– A zrobiłbyś to? – Lothar uniósł brwi.

Nie. Oczywiście, że nie zrobiłbym tego.

– Armagnac, ty wszystko przekręcasz. Mówisz o moim... o naszym układzie z Huntingtonem tak, jakby to była kara. Wiesz, ilu jest takich, którzy chętnie by się z tobą zamienili? Do tego nie rozumiesz, kogo chciał ukarać przed kilkoma godzinami... To, że musiałem wziąć cię na jego oczach, było upokarzające bardziej dla mnie niż dla ciebie. On zna mnie aż za dobrze, wie, jak uderzyć, żeby najbardziej zabolalo. Wie, że mogłem robić to z przypadkowymi, nic nieznaczącymi osobami i nie obchodziło mnie, czy na nas patrzył. Ale z tobą... jest inaczej. Nie chcę, żeby więcej nas oglądał, rozumiesz? Nie chcę! Jestem jego zabawką od lat i czasem pragnę mieć coś... kogoś tylko dla siebie. On jednak mi na to nie pozwala. To była lekcja dla mnie, a nie dla ciebie.

– Nie dla mnie? – zmarszczyłem brwi. – Nie wiesz, jak podle się czułem!

– Podle? Powiedz, że nie było ci przyjemnie, powiedz to, patrząc mi w oczy! Nie powiedziałem.

– Poza tym wiem doskonale, jak się czułeś, gdyż dwa lata temu byłem na twoim miejscu...

– Jak to, na moim miejscu...?

– Myślisz, że jestem jego pierwszym protegowanym? – Lothar wrócił na fotel i zapadł się w nim, nagle wydał mi się zagubiony i słaby. – W bardzo trudnym okresie mojego życia zaczął mnie pewien piękny młodzieniec. Nazywał się Robert Collins i był obiecującym tenorem – głos Lothara stał się ledwie słyszalny. – Zabierał mnie do opery, wynajął przyjemny pokój na poddaszu. Szybko zastaliśmy kochankami, choć w zasadzie byłem wówczas jeszcze dzieckiem. Trwało to kilka miesięcy, aż pewnej nocy, podczas naszych miłosnych igraszek, dostrzegłem w pokoju kogoś jeszcze. To był Huntington i postąpił ze mną tak samo, jak dzisiaj z tobą. Nie potrafiłem mu się przeciwstawić, a Robert karnie wykonywał wszystkie jego polecenia, tak samo jak ja... – chłopak wpatrywał się w karafkę. Gdy nie podjął monologu, nalałem mu whisky i usiadłem w fotelu naprzeciwko, patrząc, jak jednym haustem wychyla zawartość szklanki.

– Kilka tygodni później odnaleziono Roberta martwego, a ja zająłem jego miejsce. Dostałem jego stanowisko... – Lothar spojrzał na mnie, a jego oczy były niewymownie smutne. – Co byś zrobił, gdyby za kilka tygodni i mnie znaleziono nieżywego? – wzdrygnąłem się – Jak myślisz, kto i dlaczego zabił Roberta Collinsa?

Przeszedł mnie lodowaty dreszcz i poczułem, że krew odpływa mi z twarzy.

– Sugerujesz, że Huntington... że to on go zabił? – sięgnąłem po karafkę i dolałem sobie whisky.

– Nie wiem, ale tak mi się wydaje. Może nie on osobiście, może zlecił to komuś. Ciało Collinsa wyłowiono z rzeki. Miał przy sobie pieniądze i zegarek, niczego nie skradziono. Poderżnięto mu gardło... – Lothar przełknął ślinę. – To było ponad dwa lata temu, a sprawcy do tej pory nie ujęto.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, słychać było tylko tykanie zegara na kominku. Dochodziła piąta rano.

– Dwa lata temu? Więc to, że przybyłeś do Londynu niedawno, to też kłamstwo? – upiłem kolejny łyk, przyjemne ciepło rozeszło się po mojej piersi.

– Nie ma żadnego ojca, który zmuszał mnie do gry na skrzypcach – Lothar podsunął mi pustą szklankę, a ja bezwiednie ją napełniłem. – Nigdy nie było

żadnego ojca. Nie znałem go. Jestem nędznym sierotą. Przez lata tłukłem się po przytułkach, a potem po ulicach, aż Collins wyciągnął mnie z rynsztoka.

– A skrzypce? Kiedy nauczyłeś się grać?

– Przez pewien czas byłem chłopcem na posyłki w bogatym mieszczańskim domu. To tam pobierałem pierwsze lekcje, nigdy jednak nie odebrałem gruntownego wykształcenia. Tak jak ci wcześniej mówiłem, jestem nikim. Jestem tylko tym, czym Huntington chce, abym był...

Nie wiedziałem, co mógłbym mu odpowiedzieć. Czy miałem go pocieszać? Nie wiedziałem, czego oczekiwał, nigdy nie byłem zbyt empatyczny.

– Lothar, grasz przecież wspaniale, mógłbyś rywalizować z najlepszymi! – powiedziałem w końcu, a w moim głosie zaczynały pobrzmiwać skutki wypitego alkoholu.

– Huntington poruszył niebo i ziemię, żebym grał właśnie tak. Zabrał mnie nawet do Rosji, gdzie przez jakiś czas uczyłem się u Wieniawskiego, wyobrażasz to sobie? Lord naprawdę może wszystko. Zawdzięczam mu najwspanialsze chwile swojego życia.

– Ile on ma lat? – spytałem, popijając ze szklanki. Chciałem się upić i to szybko.

– Nie wiem. Gdy go poznałem, wyglądał dokładnie tak samo jak teraz. Często mam wrażenie, że on w ogóle nie odczuwa upływu czasu... Nie wiem, jak to wytłumaczyć.

Przez długą chwilę siedzieliśmy bez słowa, popijając. Po jakimś czasie byliśmy kompletnie pijani.

– Armagnac, jeśli Huntington zrobi ze mną to samo, co z Collinsem... – Lothar wstał i chwiejąc się, pochylił nade mną. – Nie pozwól mu, żeby cię omotał. Nie pozwól mu zrobić z tobą tego, co zrobił ze mną... – kochanek położył rękę na moim ramieniu. – Jesteś ode mnie lepszy, rozumiesz? Sam możesz osiągnąć to, co ja osiągnąłem tylko dzięki niemu.

– Nie wygaduj bzdur – spróbowałem wstać, a wówczas padliśmy sobie w ramiona, nie mogąc ustać na nogach. Świtało, więc piliśmy pewnie ze dwie godziny. – Jesteś cholernym kłamcą, wiesz o tym? – pociągnąłem go za sobą do sypialni. – Jesteś diabłem! – dokończyłem, rzucając się w ubraniu na łóżko.

– Nie ja – Lothar spróbował ściągnąć but, ale tylko zachwiał się i upadł na podłogę, na co parsknąłem śmiechem. – Huntington jest diabłem! – wstał chwiejnie, ale nie utrzymał się na nogach i padł na łóżko obok mnie. Ledwie się razem mieściliśmy, było o wiele mniejsze niż jego. Wciąż się śmiałem, a Lothar wykrzykiwał coś po niemiecku. – *Er ist ein Teufel!* – wrzasnął – Jest diabłem,

a my podpisaliśmy cyrograf! Do końca życia będziemy pieprzyć się na jego oczach! Gdyby wychowujące mnie zakonnice dowiedziały się, jak skończyłem...

Skręcałem się ze śmiechu. Za oknami wstawał zimowy dzień, a my śmialiśmy się tak długo, aż zasnęliśmy ze zmęczenia.

XI

Gdy obudziliśmy się, za oknem świeciło słońce, a nasza niedawna rozmowa wydała mi się nierealna.

Zdecydowaliśmy się zjeść na mieście i nacieszyć piękną pogodą. Gdy wychodziliśmy z kamienicy, portier podał mi korespondencję.

– Od kogo? – Lothar zajrzał mi przez ramię, a ja bałem się otworzyć pierwszą z kopert.

– Od MacLowleya... – odpowiedziałem szeptem i poczułem strach. – Pewnie chce nas zastrzelić za to, co zrobiliśmy z jego córką...

– Otwórz – Lothar wyrwał mi list z rąk. – Dobrze strzelasz? – spytał, rozrywając kopertę.

– Jako dzieciak trafiałem uciekającego niewolnika ze stu kroków – wypaliłem, na co Lothar wybuchnął śmiechem.

– No niestety, będziesz musiał strzelać z mniejszej odległości i z innej broni – powiedział i podał mi list, napisany zamasztytym pismem – MacLowley pyta nas grzecznie, czy nie zechcielibyśmy udzielać lekcji muzyki jego córeczce! – zaśmiał się jeszcze głośniej. – Już ja ją nauczę śpiewać!

Z ulgą i zdumieniem patrzyłem na list. Faktycznie, stary pytał, czy Maggie nie mogłaby przyjechać nazajutrz na próbną lekcję gry na instrumentach. Kolejny list był w podobnym tonie, od lady Greenbourgh, z pytaniem o lekcje dla jej najmłodszej córki, Lenory. Na wspomnienie drobnej, pulchnej brunetki Lothar tylko zatarł ręce.

W ostatnim liście Huntington oznajmiał, że wyjeżdża na zimę na południe Włoch i zostawia nam do dyspozycji odpowiednią sumę u swojego bankiera. Przeczytałem ten list rozpędem, Lothar był tak podekscytowany wizją „uczenia muzyki”, że ja go otworzyłem, a nie znałem jeszcze charakteru pisma lorda i faktu, że zawsze używał karminowego atramentu.

– Lothar, Huntington zostawia nas samych do wiosny... – potrząsnąłem go za ramię. – Jesteśmy wolni, przynajmniej na jakiś czas!

Chłopak wyrwał mi z rąk kartkę.

– To prawda... – wpatrywał się w nią podejrzliwie. – To jego pismo. Ale dlaczego...?

Wyszliśmy na ulicę. Pogoda była piękna, słońce wisiało tuż nad horyzontem,

a nagie drzewa pokrywał szron.

– Nigdy dotychczas nie zostawiał mnie samego na dłużej niż kilka dni – Lothar wydawał się zagubiony.

– Przestań – objąłem go dyskretnie w pasie – bo pomyślę, że nie możesz zrobić nawet kroku bez jego nadzoru.

– Tak było – Lothar wskazał drzwi restauracji. – Dlatego bardzo mnie to dziwi.

– Czy to nie ty powiedziałeś mi, żebym zaczął cieszyć się życiem? – odparłem, podając płaszcz szatniarzowi. – Cieszymy się więc!

Nazajutrz w południe Maggie MacLowley przybyła do mojego apartamentu. Zachowywała się tak, jakby nigdy nic między nami nie zaszło. Nie miałem odwagi pierwszy nawiązać do naszej niefortunnej przygody, a i ona wydawała się nieco zażenowana tamtą sytuacją.

Gdy ćwiczyliśmy wstępujące pasażę, do salonu wślizgnął się Lothar.

– Panno Maggie MacLowley – szepnął, podchodząc do nas. – Mam wrażenie, że bolą panią już palce... – pochylił się, uniósł jej dłonie nad klawiatury i zamknął pokrywę. – Może dla odmiany pograłaby pani... na flecie? – wymruczał. Dziewczyna powoli wstała z ławki i zdawać by się mogło, że za moment go spoliczkuje.

– Już myślałam, że fatygowałam się do miasta nadaremnie – odrzekła zamiast tego swoim niskim, zmysłowym głosem. – A czy pan, panie Jardineux, również pojawi się w studio Lothara? – spytała, patrząc mi głęboko w oczy. Pokręciłem tylko przecząco głową.

– Ten instrument – wymruczała, kładąc dłoń na fortepianie – jest zbyt duży, aby go tam przenieść, ale proszę przygotować ten drugi, który zawsze nosi pan przy sobie... – włożyła ręce w rękawy płaszcza podanego przez chłopaka.

Nie mogłem nie uśmiechnąć się na takie zaproszenie. Skłoniłem się głęboko i zamknąłem za nimi drzwi.

Nie przestawałem jednak o nich myśleć. Mimo że wzdrygałem się na wspomnienie naszej wspólnej nocy, wizja utonięcia po raz kolejny w jej bujnym biuście, do tego w asyście Lothara, którego zaczynałem już boleśnie niemal pożądać, odbijała się mrowieniem między nogami. Zeszłego wieczoru w ramach świętowania naszej uzyskanej, choć tylko chwilowo, wolności, wypiliśmy takie ilości absyntu, że nie byliśmy zdolni do samodzielnego powrotu do domu, nie mówiąc już o łózkowych harcach. Barman znający Lothara od dawna posłał po Jamesona, który dotargał nas do domu. Lokaj zyskał więc w moich oczach po raz kolejny.

Nie minęło pół godziny, a stałem pod drzwiami mieszkania Lothara i nasłuchiwałem. Ze środka nie dobiegały żadne głosy, a już na pewno nie dźwięki skrzypiec. Nacisnąłem klamkę i drzwi puściły, więc cicho wślizgnąłem się do środka, przekradłem przez pusty salon i zajrzałem przez uchylone drzwi sypialni.

Maggie stała przy łóżku, opierając się o nie rękoma, a Lothar, w nienaruszonym stroju, stał tuż za nią i szeptał do jej ucha.

– Legato... Legato... to właśnie jest legato... – Dostrzegłem, że spódnice dziewczyny są wysoko podwinięte, a jego biodra poruszają się niespiesznie. – A teraz drugi sposób prowadzenia smyczka... *ssstaccato*...! – syknął i zaatakował ją serią krótkich, rytmicznych pchnięć, po których natychmiast zaczęła cicho pojękiwać. Z moich ust również wyrwało się westchnienie. Lothar gwałtownie odwrócił głowę, a na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech – Panno Maggie, oto i mój oczekiwany partner. Teraz poćwiczmy koncert na dwa smyczki...

XII

W ciągu następnych kilku tygodni byliśmy szczęśliwi jak psy rzeźnika.

Uczennice i uczniowie dobijali się do naszych drzwi, pieniądze zapełniały nasze konta bankowe tak szybko, że nie musieliśmy korzystać z funduszy pozostawionych przez Huntingtona. Nasze życie zamieniło się w nieprzerwaną orgię zmysłowych uciech.

„Lekcje muzyki” przybierały wymyślne kształty. Uwielbiałem na przykład grać, trzymając nagą Lenorę Greenbourgh na kolanach. Składała swoje małe, pulchne dłonie na moich i udawała, że gra razem ze mną. Musiała nauczyć się czegokolwiek, aby nasz romans nie wyszedł na jaw. Czasami bywało tak, że połowę czasu przeznaczonego na lekcję spędzaliśmy na faktycznej nauce, a drugą połowę na pospiesznych miłosnych zapasach. Uwielbiałem ją, była niska, krągła i słodka, podatna na wszelkiego rodzaju łózkowe manewry; obracałem ją w dłoniach jak rozkosznie ciepłą lalkę.

Lothar natomiast zapalał dziką namiętnością do syna bankiera, który także zaczął odwiedzać jego mieszkanie pod pozorem lekcji gry na skrzypcach. Często siedziałem w salonie i przysłuchiwałem się im, gdy za zamkniętymi drzwiami sypialni walczyli ze sobą. Odgłosy ich miłości przypominały odgłosy walki, Lothar zawsze później opowiadał mi, że młodzian lubił być bity i poniżany. A mój partner umiał bić tak, by nie zostawiać trwałych śladów. Nigdy nie dałem się namówić do dołączenia do nich ani do przyglądania się, byłem bowiem zazdrosny o ten romans. Nie trwał on jednak długo, gdyż chłopak zaczął naprawdę się zakochiwać i Lothar po kilku spotkaniach go odprawił. Przyjąłem to z niemałą ulgą, a jeszcze większą satysfakcję sprawiła mi wiadomość, że młody Gregory został wysłany do szkoły ekonomicznej w Wiedniu.

Rozmiękczeni przez delikatne kobiety, staliśmy się dla siebie szorstcy i niedelikatni, jakby po wszystkich tych cukierkowych pieszczotach potrzeba nam było odmiany. W łóżku coraz częściej dochodziło między nami do rękoczynów, Lothar wściekle szczeakał do mnie niemieckimi przekleństwami, co rozplamieniało mnie jeszcze bardziej. Odśpiewywałem mu każdym kreolskim wulgaryzmem, jakiego w dzieciństwie nauczyli mnie niewolnicy.

Co najmniej raz w tygodniu dawaliśmy kameralne koncerty w domach najznamienitszych obywateli miasta. Dwory i posiadłości najrozmaitszych

lordów, najbardziej wpływowych bankierów, kupców i polityków stały przed nami otworem. Gazety rozpisywały się o naszym talencie, a terminarz lekcji – dawaliśmy bowiem również prawdziwe lekcje muzyki – mieliśmy szczerze wypełniony. Ani się obejrzeliśmy, a staliśmy się rozpoznawalni i zaczęto pytać nas o możliwość zorganizowania koncertów dla szerszej publiczności. Lothar puszczał wodze wyobraźni, fantazując o koncercie w Albert Hall, której budowa szybko postępowała. A tymczasem koncerty plenerowe, mające rozpocząć się już wiosną...

Wiosna.

Nawet nie zauważyliśmy, że śniegi zaczynały topnieć, a słońce wschodziło coraz wcześniej. Nagle nasze uczennice zaczęły pojawiać się w progach bez mufek i futrzanych czap, aż pewnego dnia zauroczona mną Lenora przyniosła na nasze spotkanie bukietik przebiśniegów. Patrzyłem na kwiaty jak rażony piorunem. Zdążyłem już na dobre zapomnieć o Huntingtonie. Byliśmy niezależni, doskonale radziliśmy sobie bez niego.

W miarę jak dni stawały się cieplejsze, nam coraz bardziej drżały ręce przy odbiorze korespondencji. Przerzucałem nerwowo zaproszenia, gratulacje, pisane szyfrem miłosne liściki i w końcu nastał dzień, w którym ścisnąłem w trzęsącej się dłoni kopertę podpisaną karminowym atramentem trzema tylko literami: E. F. H.

Zaczekałem do wieczora, zanim powiedziałem Lotharowi o liście. Żegnał się czule przez całe popołudnie z Maggie, której ślub miał się odbyć za cztery tygodnie. Zajęta przygotowaniami panna nie mogła w tym czasie nas odwiedzać. Na szczęście gdzieś pomiędzy erotycznymi akrobacjami udało nam się przećwiczyć krótki liryczny duet, który mieliśmy odegrać na cztery ręce na jej przyjęciu weselnym.

Zapadał zmierzch, powietrze przesycone było zapachem rzeki, młodej trawy i śpiewem słowików, które od niedawna zaczęły odzywać się co wieczór gdzieś za naszymi oknami. Nerwowo chodziłem po salonie Lothara, co chwilę wpatrując się w zegar i oczekując na jego powrót.

– Diablica z niej, doprawdy! – krzyknął od progu, wchodząc tanecznym krokiem do salonu. Na widok koperty w mojej dłoni zastygł bez ruchu, a z jego twarzy zniknął uśmiech. – Widzę, że i nasz diabeł powraca...

– Nie wiem, jeszcze nie czytałem. Ty nie dostałeś takiego listu? – podałem mu papier.

– Przestałem odbierać pocztę, odkąd Gregory zaczął przysyłać swoje rzewne bzdury – Lothar obracał list w dłoniach, jakby bał się go otworzyć.

– Paniczu, wiadomość od lorda Huntingtona nadeszła dziś rano – Jameson wyrósł jak spod ziemi, na srebrnej tacy leżała identyczna koperta.

– Jameson, *zum Teufel!* – Lothar chwycił kopertę i zamachnął się, jakby chciał go uderzyć, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Zauważyłem, że mówił po niemiecku tylko w emocjach, jakby nad tym nie panował i w ogóle tego nie zauważał. – Wynoś się, dzisiaj nie będziesz już potrzebny. *Raus!*

Jameson skłonił się i oddalił.

– Czytaj, nie zniosę dłużej tego napięcia... – szepnąłem, podchodząc do niego.

Rozerwał kopertę i przebiegł oczyma po krótkiej notce, rzucił kartkę na podłogę, otworzył drugi list i zrobił to samo.

– Jutro wieczorem podjedzie po nas powóz, by zabrać nas na przyjęcie do rezydencji Huntingtona. Mamy być gotowi do koncertu. Listy są identyczne.

Poczułem strach, jak dziecko, które nabroiło pod nieobecność rodziców. Co powie Huntington, gdy dowie się, jak sobie poczynaliśmy?

– On już wszystko wie... – Lothar nalał whisky do szklanek. – On zawsze wie o wszystkim, co robię, wie nawet, o czym myślę – wychylił duszkiem zawartość jednej z nich. – Pamiętaj jednak, że to on wszystko zaczął.

– Co masz na myśli? – ja także się napiłem, ale nie tak szybko.

– Przyjęcie u MacLowleya to przecież jego robota.

– Jego robota? – nic nie rozumiałem.

– Potrafi namówić ludzi do wszystkiego. Ja rozumiem, że atrakcyjne narzeczone staruchów szukają sobie młodych kochanków, ale nie w noc swoich zaręczyn! Widziałem, jak rozmawiał z Maggie późną nocą, gdy wszyscy goście już wyszli, a jej ojciec i Rochefourt spali zalani w trupa. Widziałem, jak zmienia się jej twarz. Potem podeszła do mnie i bez słowa poprowadziła mnie do swojej sypialni. Resztę już znasz. Mam wrażenie, że Huntington spuścił nas ze smyczy, abyśmy się wyszumieli. I że jutro nałoży nam z powrotem nie tylko jarzmo, ale i kaganiec...

XIII

To była bardzo ciężka noc. W milczeniu szliśmy do mojego mieszkania, a śpiewający jak natchniony słowik zaczął mnie denerwować.

Chociaż próbowaliśmy nacieszyć się sobą ostatni raz bez nadzoru i wścibskiego spojrzenia Huntingtona, nic z tego nie wyszło i ostatecznie Lothar, rozgoryczony i wściekły, udał się do siebie.

Leżałem zażenowany i z obolałym sercem na łóżku, wsłuchując się w śpiew ptaka. Noc była na tyle ciepła, że otworzyłem okno na oścież. Od whisky rozboleła mnie głowa i nie mogłem zasnąć. Męczyłem się w pustym łóżku, aż w końcu po północy ubrałem się i wyszedłem na spacer.

Okna mieszkania Lothara były zupełnie ciemne. Spał? Albo nie było go w domu... Przeszedłem przez ulicę i zszedłem na trasę spacerową nad rzeką. W mojej głowie kipiały myśli, a obraz twarzy Huntingtona w chwili, gdy mnie poniżał, wrócił jak senny koszmar. Może nie byłbym tak pełen niepokoju z powodu jego powrotu, gdybyśmy rozstali się w inny sposób, gdyby wyjaśnił mi, po co i dlaczego to zrobił.

Nasze życie w ciągu ostatnich miesięcy było tak cudownie beztrioskie, zniknęło poczucie zależności, niepewność o dalszy los. Zarobiłem sporo i byłem na tyle znany, że mogłem przecież zerwać te więzy, mogłem stać się całkowicie niezależny, zarówno od Huntingtona, jak i od Lothara. Coś między nami zmieniło się w ciągu tych tygodni, uczucie, które przecież dopiero niedawno zatliło się we mnie, zdawało się już całkowicie wypalone. Chciałem uwolnić się od nich, ale jednocześnie czułem, że jestem im obu coś winien, że przecież bez nich nie byłbym teraz tym, kim byłem.

A kim byłem...?

Chwilami zdawało mi się, że nikim, że to, co robiliśmy, cała ta błazenada londyńskiej arystokracji, która skakała wokół nas i piała z zachwytem, że wszystko to nie miało żadnej wartości. Dziś byliśmy modni, jak paryskie suknie czy absynt, nie mogłem jednak przewidzieć, co stanie się jutro. Przekonanie, że jedno słowo Huntingtona mogłoby zatrzasnąć przed nami wszystkie drzwi, kłuło mnie w sercu jak cierń. A co, jeśli podczas swojej podróży znalazł kogoś na nasze miejsce? My tymczasem, zamiast wspólnie stawić temu czoła, oddaliliśmy się od siebie, przeszliśmy od czułości, poprzez brutalność,

do wzajemnej pogardy.

Być może sami byliśmy temu winni, beztrąsko padając w coraz to nowe ramiona. Nasza cielesna bliskość zdewaluowała się, coraz częściej zdarzało się, że po prostu nie mieliśmy już na nią siły i ochoty. Dzisiejszy wieczór był tego najlepszym przykładem. Rozstaliśmy się w złości, wzajemnie się upokarzając. A przecież za każdym razem, gdy obłapiałem Lenorę, zawsze, gdy Maggie przykrywała mnie swoim białym ciałem, myślałem tylko o Lotharze, o tym, że to, co działo się między mną a tymi kobietami, nie znaczyło zupełnie nic, że robiłem to tylko dlatego, iż miałem okazję, ponieważ same mnie o to błagały. Nie było w tym emocji łowów, starań, nie musiałem o nic zabiegać, wystarczyło, że pstryknąłem palcami, a ich nogi rozkładały się szeroko. To było zbyt łatwe i dlatego zaczynałem pogardzać nimi i sobą samym.

W ciszy wiosennej nocy wspominałem wieczór, kiedy po raz pierwszy spotkałem Lothara. Wydał mi się wtedy istotą z innego, lepszego świata, młodym dystyngowanym mężczyzną, usadowionym w samym środku życia, które powinno być moje, a zostało mi odebrane. A przecież zaczęliśmy dzielić to życie. Jednak gdy ja wrastałem w arystokratyczny świat, w którym się przecież urodziłem, Lothar coraz bardziej tracił w moich oczach. Spadały z niego kolejne woale tajemniczości, aż w końcu pozostał tylko prosty pruski emigrant, zręczny aktorzyzna o złotym języku i powabnej aparycji, za którą nie kryło się zupełnie nic. Moje rozczarowanie nim rosło z każdą chwilą, w której widziałem, jak je palcami, rozlewa wino na kołnierz czy rubasznie poklepuje kolejną niewymagającą kochankę. Lothar, którego poznałem, który wśród przepychu złoczonej zastawy, mrocznych obrazów, skąpany w ciepłej poświacie ognia trzaskającego na kominku, obiecywał mi nowe, wspaniałe życie, odszedł bezpowrotnie. I nawet gdy brylował w towarzystwie, kokietując damy i sypiąc wysublimowanymi żartami, nie mogłem pozbyć się myśli, że wszystko to tylko fasada, jak makijaż dziwki, pod którym ukrywały się szpetne ślady po syfilisie...

Jeszcze bardziej zasmucała mnie świadomość, że być może Lothar myślał to samo o mnie. Ze mną jednak sytuacja miała się zgoła odwrotnie, w końcu poznał mnie, gdy byłem na dnie, gdy piłem na umór i przeklinałem swój zły los. I dzięki niemu powstałem jak feniks z popiołów. Być może taka już była nasza zależność, że gdy jeden z nas osiągał wyżyny swoich możliwości, drugi szedł na dno...

Jedyne momenty, w których Lothar był prawdziwy, w których był naprawdę sobą, bez udawania czy folgowania swoim zachciankom, stanowiły chwile, kiedy grał, kiedy graliśmy razem. Nasza muzyka stała się klasą samą w sobie,

byliśmy mistrzami improwizacji, rozumieliśmy się bez słów, jakby melodie przepływały przez nas i łączyły nas w jedno ciało, grające jednocześnie na dwóch instrumentach. Słuchające nas kobiety mdlały w ekstazie, a mężczyźni odkrywali, że byli zdolni do wzruszeń, o których istnieniu nie mieli pojęcia. Nazywano nas „czarodziejami znad Tamizy” i „cudownymi chłopcami”, z czego zaśmiewaliśmy się, gdy brawa już umilkły i zostawiliśmy sami. Mieliśmy jednak w sobie jakąś wrażliwość, w końcu to my tworzyliśmy tę muzykę, to spod naszych palców wydobywały się te wszystkie eteryczne melodie, wyciskające łzy z oczu i chwytające za serca. Dlaczego nie umieliśmy pielęgnować w sobie tej wrażliwości, gdy muzyka już ucichła? Grając, czułem, że żyję intensywniej niż w ramionach kobiet, intensywniej nawet niż w ramionach Lothara. I coraz bardziej tęskniłem za nim, tęskniłem za tym mężczyzną, którego poznałem, wiedziałem jednak, że gdyby wciąż odgrywał go przede mną, pogardzałbym nim jeszcze bardziej.

Gdy tak szedłem nabrzeżem, szarpany wszystkimi tymi emocjami, dostrzegłem samotną postać siedzącą na ławce pod drzewem obsypanym młodymi listkami. Latarnia za nią sprawiała, że zgarbiona sylwetka i drzewo rzucały długi cień, sięgający niemal wody. Mężczyzna nie miał kapelusza i jego jasne włosy były żółtawe w pełgającym blasku.

Usiadłem obok niego bez słowa, ale chwilę trwało, zanim uniósł głowę i spojrzał na mnie czarnymi, zażawionymi oczyma.

– Armagnac, co się z nami stało...? – zapytał cicho zachrypniętym głosem.

Nie odpowiedziałem, zamiast tego wziąłem go za rękę. Miał takie piękne, smukłe dłonie... I był tak bardzo, bardzo młody, wydawał się skrzywdzonym dzieckiem. Zdałem sobie sprawę z tego, że nigdy nie powiedział mi, ile tak naprawdę ma lat.

– Huntington tworzy ludzi, a potem ich niszczy – westchnął, patrząc na rzekę. – Stworzył i zabił Roberta Collinsa, a teraz stworzył i niszczy nas, chociaż wydaje nam się, że jesteśmy panami swojego losu. Gdy go poznałem, byłem zagubionym chłopcem, zdawał mi się bratnią duszą. Bogactwo i rozkosze cielesne, którymi mnie otoczył, szybko zmałyły mi w głowie. Żyłem według jego ideałów i jego zasad, nawet tego nie czując. Po koszmarnym dzieciństwie widziałem w nim Anioła Stróża, który zstąpił z niebios, by unieść mnie do lepszego, bogatego świata, do pełniejszego życia. A potem poznałem ciebie... Nie mogliśmy już jednak żyć po swojemu, tkwiliśmy zbyt głęboko w zepsuciu, w które nas rzucił. I spójrz, co się z nami stało, nienawidzimy się, a przecież jeszcze wczoraj się kochaliśmy.

Kochaliśmy się...

To był pierwszy raz, kiedy którykolwiek z nas powiedział to głośno. Przeszedł mnie dreszcz i zrobiło mi się niewymownie smutno.

– Możemy jeszcze to uratować... – szepnąłem, ale czułem, że kłamię. A tak bardzo chciałem, aby było to prawdą...

– Naprawdę tak myślisz? – przeniósł na mnie zaszklone oczy. Nigdy wcześniej nie widziałem go tak zrozpaczonego i słabego.

Milczałem.

– Przez cały ten czas karmiłem cię banałami, które wpoił mi Huntington. Oddawałem się uciechom, bo on wmówił mi, że tylko w ten sposób będę żył pełnią życia. Okłamywałem i siebie, i ciebie. A teraz płaczę, bo wiem, że wszystko zepsułem. Próbuje obwiniać o to jego, jakbym ja sam był zupełnie bezwolny, jakby to, co nas łączy, nie zależało ode mnie – Lothar znowu zapatrzył się w czarną toń. – Chwilami wydaje mi się, że jakąś perwersyjną radość sprawia mu obserwowanie, jak szarpiemy się wśród przepychu, jak wmawiamy sobie, że nie mamy dość, że ciągle nam mało... A przecież mamy wolną wolę, mogliśmy... mogliśmy mu się przeciwstawić.

– Ale czy chcieliśmy? – spytałem, znów czując ukłucie niepokoju na wspomnienie przeszywającego wzroku Huntingtona. – Gdy byłem przy nim, miałem wrażenie, że muszę... – zawahałem się, nie chcąc mówić tego na głos – ...że muszę mu służyć – dokończyłem ciszej.

Lothar wyprostował się, stał się czujny.

– Myślałem, że tylko ja mam takie wrażenie – rzekł cicho. – Przed laty Robert także o tym wspomniał, teraz sobie przypominam, ale wtedy zupełnie to zbagatelizowałem.

– Gdybyśmy uwolnili się od Huntingtona – poczułem nagle, że odzyskuje jakąś wiarę, wiarę w nas. – Gdybyśmy mogli żyć już zupełnie na własną rękę, moglibyśmy zacząć wszystko od początku, moglibyśmy...

Nagle przerwałem, jakbym stracił wątek. Coś nakazywało mi lojalność, poczułem się zdrajcą.

Lothar tymczasem zaczął mówić.

– Kiedyś Huntington wspominał mi o pewnej niezależnej arystokratce, która stała się jego protegowaną, a potem porzuciła go i wyjechała do Ameryki. Lord miał do niej wielką słabość, opłacał jej edukację i odprawiał jej adoratorów. Traktował ją jak córkę. Mówił o niej „moja mała Blanche”.

Poczułem, że gardło zawiązuje mi się na supeł.

– Jak ona się nazywała? – spytałem zmienionym głosem. W mojej głowie

zadzwończy dzwonki alarmowe i rozsypane elementy układanki zaczęły się składać w jakiś mglisty obraz.

Lothar zmarszczył brwi w skupieniu.

– Blanche... Blanche... Amway? Avoy? Blanche Avoy, właśnie tak.

Zerwałem się z miejsca, poczułem zawroty głowy, miałem wrażenie, że zaraz się uduszę.

– Co się stało? – chłopak wstał i próbował położyć mi rękę na ramieniu. – Dobrze się czujesz?

– Muszę wracać do siebie, natychmiast! – odwróciłem się i zacząłem biec. Słyszałem, jak Lothar woła mnie kilkakrotnie po imieniu, ale nie oglądałem się.

Zdyszany wpadłem do mieszkania, zamknąłem drzwi na klucz i rzuciłem się do sypialni, gdzie spod łóżka wydobyłem walizkę z papierami, które przywiózł mi ojciec. Drżącymi rękoma wyrzuciłem zawartość na łóżko i odnalazłem oprawny w połyskującą skórę notatnik mojej babki.

Nazywała się Blanche Avoy.

XIV

To w tym notatniku widziałem nazwisko Huntingtona, na pewno! Przekartkowałem go od niechcienia, gdy odebrałem przesyłkę z portu, ale byłem zbyt zdruzgotany śmiercią rodziców, by grzebać w przeszłości babki.

To musiał być zbieg okoliczności, przypadkowa zbieżność nazwisk. Kartkowałem zapiski, pochylając się nad zapaloną naprędce świecą. Kartki były pożółkłe, a purpurowy inkaust wyblakł, straciłem w końcu cierpliwość i wybiegłem do salonu po lampę, uderzając boleśnie czołem we framugę drzwi. Klnąc szpetnie, zapaliłem lampę i wróciłem do sypialni, chwyciłem notatnik i rozsiadłem się w fotelu. Dłonie drżały mi coraz bardziej, gdy nerwowo przebiegałem wzrokiem po stronicach.

Aż znalazłem.

Londyn, 24.06.1816 r., poniedziałek

To mój ostatni wpis przed podróżą. Kufry wczoraj zawieziono na pokład, postarałam się spakować tylko niezbędne rzeczy, aby Edgar nie zauważył, że w mieszkaniu czegoś brakuje. Mimo to mam wrażenie, że on już wie, tak jak zawsze wie o wszystkim, zanim zdążę powiedzieć cokolwiek na swoje usprawiedliwienie.

Właśnie zaczęło świtać, Edgar jak zwykle zniknął tuż przed wschodem słońca, dlatego mam chwilę, żeby zanotować ostatnie spostrzeżenia i nękające mnie myśli. Wybrałam na podróż najdłuższy dzień, aby zyskać nad nim przewagę. Jego choroba nie pozwala na podróżowanie za dnia, unikając słońca, zaprzestał w zasadzie funkcjonowania od świtu do zmierzchu, mam więc cały dzień na to, by oddalić się tak daleko, jak tylko zdołam. Nie wiem, czy będzie mnie ścigał, ale to przecież nie w jego stylu, jest zawsze taki dystyngowany i spokojny, nie wyobrażam sobie, by był zdolny do przemocy. Wiem, że łamię mu serce. Nie mam jednak siły znosić dłużej tej zależności, muszę się uwolnić, muszę stanąć na własnych nogach i zrobić coś tylko dla siebie, nie troszcząc się o jego aprobatę.

Załoga w porcie i na statku dostała ode mnie wyraźne instrukcje, aby każdemu, kto będzie mnie szukał, udzielić informacji, iż wsiadłam na pokład. Kosztowało mnie to niemal połowę oszczędności... Ja tymczasem udaję się

promem przez kanał, a później na południe, do francuskich winnic Marcata.

Każdy list od niego paliłam zaraz po przeczytaniu, mam jednak wrażenie, że Huntington zna każde słowo, jakbym, czytając je w sekrecie, dyktowała mu treść. Ta jego wiedza o wszystkim, ta władza nade mną sprawiają, że czasami mam ochotę rzucić się do Tamizy...

Louis oczekuje mnie, nie wtajemniczałam go jednak w moją relację z Edgarem. Z pewnością nie zrozumiałby i prawdopodobnie w ogóle nie zechciałby kontynuować znajomości ze mną. Czy zdołałabym przekonać go, że mimo tak silnych łączących mnie z Edgarem więzi nigdy nie obcowaliśmy ze sobą? Tutaj wszyscy plotkują przecież o rzekomym łączącym nas płomiennym romansie. Nasz związek nie ma jednak nic wspólnego z połączeniem ciał, jesteśmy spętani ze sobą duszami, a to małżeństwo o wiele trwalsze i trudniejsze do zerwania niż cielesny romans.

Dlatego właśnie uciekam i mam nadzieję, że nie podąży za mną, że nigdy więcej go nie zobaczę. I choć jednocześnie serce pęka mi na tysiąc kawałków, wiem, że albo odejdę, albo targnę się na własne życie.

Zamknąłem notatnik i poczułem, że świat wiruje wokół mnie. To były zapiski sprzed ponad pięćdziesięciu lat! Pisała to moja babka, pisała o planowanej podróży do Francji, która zaowocowała małżeństwem z Louistem Marcatem, moim dziadkiem. Czyżby tajemniczy Edgar Huntington nie aprobował ich znajomości? Czyżby zabraniał jej wyjazdu do Francji? Ale dlaczego miał nad nią aż taką władzę, kim dla niej był? Te zapiski nie mogły dotyczyć tego Edgara Francisca Huntingtona! Może chodziło o jego ojca albo raczej o dziadka?

Zacząłem znów przeszukiwać notatki, ale nie miało to sensu, musiałem przeczytać wszystko od początku.

Zacząłem więc lekturę.

Londyn, 03.01.1812 r., piątek

Tegoroczna zima jest wyjątkowo mroźna, jednak od początku roku coś się w końcu zmieniło. Jakże moje nowe pokoje są inne od przybytków, w których do tej pory mieszkałam! Rozpoczynam zapiski w nowym brulionie, w nowym roku, pełnym nowych perspektyw.

A wszystko to za sprawą E. Nigdy nie przypuszczałam, że niebezpieczna przygoda, którą przeżyłam, może zakończyć się w tak cudowny i nieoczekiwany sposób! A przecież cała ta sytuacja mogła zniszczyć moje życie, tyle się ostatnio

słyszysz i czyta o przestępstwach popełnianych w mieście... Wątpię, że dziewczyna nie ma szansy obronić się przed atakiem. Na szczęście znalazł się ktoś, kto wybawił mnie z opresji. Ale wybiegam zanadto do przodu, jestem jednak taka podekscytowana!

Mały Albin miał ostatnimi czasy problemy z lekcjami, szczególnie z algebrą i łaciną. Na prośbę matki zostałam w zeszły piątek dłużej, aby pomóc mu nadrobić zaległości. W ich domu czuć jeszcze ducha Bożego Narodzenia, a ja byłam taka zmarznięta i samotna, że celowo przedłużałam lekcje. Było już daleko po zmierzchu, gdy wyszłam. Pensję pobrałam awansem na początku zeszłego miesiąca i nie miałam przy sobie pieniędzy na sanie. Nowa mufka, na którą wydałam ostatnie zaskórniaki, na szczęście utrzymywała w cieple moje dłonie. Niebo było czyste, księżyc rozświetlał mrok, latarnie dawały jednak jakoś mało światła. Gdy zbliżyłam się do uliczki, którą zwykle brałam jako skrót, zauważyłam w zaułku dwóch mężczyzn. Przezornie zostałam na głównej ulicy, ale było już za późno, dojrzeli mnie i podążyli za mną spieszenie. Zdjął mnie taki strach, że nie wiedziałam, co robić, czy uciekać, czy krzyczeć; lęk zupełnie mnie sparaliżował, a na ulicy nie było nikogo, do kogo mogłabym zwrócić się o pomoc. Usłyszałam skrzywienie śniegu i jeden z napastników, podbiegając do mnie, szarpnął za mufkę. Zanim uświadomiłam sobie, że nie jest ona warta ryzyka, zaczęliśmy się przepychać. Wykrzyczał przekleństwa, które wstyd mi przytaczać, i obaj już zaczęli ciągnąć mnie do zaułka. Umierałam ze strachu, ale nie miałam szans, by się wyrwać, moje usta przykrywała lodowata, szorstka dłoń.

I wówczas usłyszałam tętent kopyt, a w chwilę później odgłos otwieranych drzwiczek sań. Nagle zrobiło się zupełnie ciemno, jakby ktoś zgasił latarnie. Oswobodzona upadłam w śnieg, a napastnicy zniknęli w zaułku.

– Pomóż wstać panience – usłyszałam i dojrzałam wysokie buty, mijające mnie i podążające za oprawcami. Tymczasem woźnica zeskoczył z kozła i podał mi dłoń. Był ubrany w gruby płaszcz i futrzaną czapkę. Wstałam i zaczęłam otrząpywać się ze śniegu, gdy usłyszałam zduszone krzyki dobiegające z uliczki.

– Proszę wsiąść do sań, panienko – skłonił się przede mną woźnica. – Lord za chwilę do nas dołączy, proszę się niczego nie obawiać. Odwieziemy panienkę do domu.

Wtedy go zobaczyłam. Wychodził z zaułka, trzymając przy twarzy chustkę. Obawiałam się, że odniósł obrażenia w walce i rzeczywiście, na chustce była krew.

– Proszę się nie martwić, nic mi nie jest – chłopak skłonił się, bo zaiste był

to chłopiec niewiele starszy ode mnie. – Jedźmy już. Ci dwaj nikogo już dzisiaj nie skrzywdzą.

– Nie powinniśmy wezwać policji? – spytałam nieśmiało, próbując nie przyglądać mu się, gdy siadał w saniach naprzeciwko mnie.

– Nie ma takiej potrzeby, dostali już nauczkę.

Woźnica cmoknął na konia i sanie ruszyły.

– Dokąd pani odwieźć? Gdzież jednak są moje maniery... Nazywam się E. F. H. Do pani usług. Mam nadzieję, że nic się pani nie stało?

– Tylko śmiertelnie mnie przestraszyli, ale nie wiem, co by się stało, gdybyście nie nadjechali...

– Dlaczego taka młoda dama spaceruje nocą bez asysty? – E. spojrzał na mnie pytająco i karcząco zarazem. Miał przenikliwe zielone oczy, nawet w ciemności mogłam dostrzec ich blask.

Wzięłam głęboki oddech. Moja babka pisała o Edgarze, o przenikliwych zielonych oczach. Serce zabiło mi mocniej, nie przerywałem jednak lektury.

Poczułam się przy nim bezpiecznie.

– Blanche Avoy – podałam mu dłoń i wyszeptalam adres, wstydząc się, że taki elegancki panicz będzie odwoził mnie do tak podłej dzielnicy.

Przez całą drogę dyskretnie mu się przyglądałam, będąc pod urokiem jego oczu i głębokiego głosu, niezwykłego u tak młodego chłopca. Miał gęste, jasne włosy, które wymykały się spod czapy obszytej futrem. Zaczęliśmy swobodnie rozmawiać, powiedział mi, że wrócił właśnie z tournée po Europie, aby dokończyć edukację w Oxfordzie i przejąć rodzinny interes. Jego przodkowie związani byli z Kompanią Wschodnioindyjską. Ja przyznałam się, że jestem tylko skromną guwernantką.

Gdy stanęliśmy przed kamienicą, w której wynajmowałam pokój, E. spojrzał na mnie, unosząc brwi.

– Tutaj pani mieszka, panno Avoy? – spytał, pomagając mi wysiąść. Skinęłam głową i czułam, że się rumienię.

Pozwoliłam odprowadzić się na czwarte piętro, choć przecież wcale go nie znałam. Wszystko w nim mówiło mi jednak, że mogę mu zaufać, że nie muszę się obawiać. Stanęliśmy w progu, wymacałam ogarek świecy i rzuciłam się, aby pozapalać te, które jeszcze mi pozostały.

E. rozejrzał się i zanim podziękowałam za ocalenie, rzekł:

– Panno Avoy, nie ma pani drewna, a tutaj jest bardzo zimno, do tego

te przeciągi i wilgoć! Nie może pani tutaj zostać, to niebezpieczne dla zdrowia. W środku nocy nie zorganizuję środków, by zapewnić pani ciepło i wygodę, więc proszę pozwolić udostępnić sobie kwatere, którą dysponuję w centrum miasta. Jest tam skromnie, ale przytulnie, będzie pani mogła spokojnie, ciepło i bezpiecznie spędzić noc, a jutro wspólnie znajdziemy wyjście z tej jakże niewygodnej dla pani sytuacji.

Wzbraniałam się, ale wszystko mówiło mi, że powinnam przyjąć jego propozycję. Miał zupełną rację, mój pokój nie nadawał się do niczego. Ten mężczyzna mógł mieć niecne zamiary, wiedziałam jednak, iż tak nie jest. Po prostu wiedziałam.

– Proszę zabrać niezbędne rzeczy, nie pozwolę, aby pani tutaj zamarzła albo zapadła na gruźlicę.

Pół godziny później pędziliśmy zaśnieżonymi ulicami i wkrótce stanęliśmy przed okazałą kamienicą. Kwatera okazała się wspaniałym trzypokojowym mieszkaniem, z dużym salonem, w którym buchał ogień w kominku, co wydało mi się mocno podejrzane. Dlaczego w środku nocy ktoś rozpałił ogień w pustym mieszkaniu? Czy to wszystko nie było z góry zaplanowane?

E. uspokoił mnie, gdy zatrzymałam się w progu. Nakazywał służbie utrzymywać mieszkanie w gotowości właśnie na wypadek takiej sytuacji, gdyby on lub ktoś z jego przyjaciół nagle potrzebował zatrzymać się w mieście. Zazwyczaj rezydował w rodzinnym majątku na obrzeżach Londynu.

Służba zdawała się gotowa na każde skinienie i zanim zdążyłam rozpakować się w sypialni, na stole stanęła gorąca kolacja. Nie jadłam chyba nigdy nic równie wspaniałego, podano również grzane wino.

Czułam się jak w bajce, jakby ktoś za pomocą czarów przeniósł mnie z mojego skromnego, żeby nie powiedzieć – nędznego – życia guwernantki na jakiś królewski dwór. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego przepychu, chyba że w kościele, w którym śpiewałam w chórze z innymi dziećmi z sierocińca.

Przerwałam lekturę. Więc Blanche Avoy również była sierotą, jak Lothar. Czy ją także Edgar Francis Huntington, czy może raczej jakiś jego przodek, wyciągnął z ubóstwa do nowego, lepszego życia, które obmyślił w najdrobniejszych szczegółach?

Przypomniałam sobie słowa Lothara o wolności. Gdy straciłam wszystko, stałam się wolny i myślałam, że tak już będzie zawsze. A jednak nie, Huntington zaplanował moje nowe życie tak samo, jak zaplanował życie Lothara, czyż nie?

Czy lord z pamiętnika mojej babki zrobił to samo z jej losem?

Bałem się czytać dalej, bałem się, wiedząc, co dalej się wydarzy, ponieważ sam to przeżyłem.

Najbardziej niepokojąca była jednak świadomość, że gdyby nie tamten dawny Huntington, nigdy bym się nie urodził. Być może Blanche Avoy zostałaby zamordowana przez owych rabusiów. Nigdy nie związałyby się z tajemniczym Huntingtonem, nie uciekłyby od niego do Francji, nie spotkałyby Louisa Marcata, nigdy nie wyjechałyby z nim do Ameryki, nigdy nie urodziłyby mojej matki. I ja nigdy nie przyszedłbym na świat... Czy więc powinienem być wdzięczny temu E.F.H.? Co wydarzyło się między nim i Blanche Avoy?

Londyn, 16.02.1812 r., niedziela

Dochodzi południe, a ja dopiero podniosłam się z poduszek. Edgar odwiózł mnie do domu tuż przed świtem. Jak dobrze, że miałam na sobie ten piękny, podszyty sobolami płaszcz, który mi podarował! Byłam tak rozgrzana całonocnym tańcem, że niechybnie przeziębilibym się, gdyby nie okrycie.

Bawiąc się tak beztrosko, zapominamy zupełnie, że gdzieś w Europie szaleją wojny. Gdy jestem z Edgarem, wiem, iż całe to zło nigdy nie zdoła dotknąć ani mnie, ani nikogo z jego przyjaciół i protegowanych, jakbyśmy wszyscy żyli w innym, lepszym świecie, do którego ból, strach i śmierć nie mają dostępu...

Nie o tym chcę jednak pisać, mam przecież za sobą jakże upojną noc, którą zapamiętam na zawsze!

W sali balowej paliło się chyba tysiąc świec! Dopiero gdy pałac zapełnia się gośćmi, docenić można w pełni jego bogactwo i przepych, jakby obrazy ożywały wśród śmiechu i muzyki, jakby meble chciały zerwać się do tańca razem z nami, jakby kryształły śpiewały do wtóru...

Śpiewały...

To, co wydarzyło się dzisiaj, było w dwójnasób wspaniałe. Po pierwsze, wśród gości był sam Chiamarino! Nie mogłam uwierzyć własnym oczom! Edgar powiedział mi w sekrecie, że choć sezon operowy zaczyna się dopiero za kilka miesięcy, śpiewak zgodził się zaprezentować dzisiejszego wieczoru fragment z najnowszej opery, w której śpiewa główną rolę męską, tytułu nie chciał jednak zdradzić. Nie mogę się doczekać otwarcia sezonu, Edgar obiecał mi już najlepszą łóżę. To nie do wiary, że wszystko, o czym dotychczas tylko słyszałam, staje się moim udziałem.

Na krótko po północy Chiamarino pojawił się przy fortepianie, wysoki, dumny jak paw, imponujący. Kastraci nigdy chyba nie przestaną mnie

fascynować, są jak anioły albo święci, których jako dziecko oglądałam w kościele. I mimo że Chiamarino nie jest już młody, robi wciąż piorunujące wrażenie.

Pianista zaintonował melodię i Chiamarino uderzył w pierwszą nutę, a we mnie roztopiło się serce. Śpiewał w dolnym rejestrze, jak zwykle zaczynają herosi. Próbowałam z tekstu zorientować się, o czym może opowiadać libretto, gdy nagle, ku zaskoczeniu wszystkich, z głębi sali rozległ się drugi głos, wyższy, czystszy, jak klangor kryształowych dzwonków. Chiamarino zmarszczył brwi, nie przestał jednak śpiewać, zamiast tego przeszedł o oktawę wyżej, żeby zrównać się wysokością z tajemniczym głosem. Wszystkie głowy odwracały się w poszukiwaniu jego źródła i nagle naszym oczom ukazała się wysoka, zwiewna postać o tak precyzyjnej urodzie, że nogi mi zdrząły. Chłopiec to był zaledwie, choć nosił strój zdecydowanie męski. Miał ogromne lazuruwe oczy, burzę długich ciemnozłotych loków i pełne, zmysłowe usta, z których wydobywał się ten nieziemski głos, mogący śmiało konkurować z sopranem Chiamarina. Chłopiec uśmiechał się nieznacznie, zмирzając w stronę fortepianu, pozwolił partnerowi w tym niespodziewanym duecie podjąć nową frazę i wtórował mu już tylko, jakże lekko i bez wysiłku kreśląc ozdobniki, które nie były chyba możliwe do wydobywania z ludzkiego gardła...

Chiamarino tymczasem zdał się nagle rozbawiony tą sytuacją i po chwili para śpiewała już tak pięknie, nie konkurując, a współbrzmiąc, że poczułam łzy płynące po moich policzkach. Nie tylko ja zresztą wzruszyłam się ogromnie, wszyscy goście byli do głębi poruszeni tym nieoczekiwanym obrotem wypadków i przede wszystkim cudownością anielskiego śpiewu, jakiego dane nam było wysłuchać.

Utwór skończył się zbyt szybko i salę zalał ogłuszający aplauz, a ja siedziałam na krześle bez ruchu, nie mogąc zebrać myśli, łkałam już niekontrolowanie i wybiegłam w końcu z salonu.

Ten chłopiec musiał być kastratem, nikt inny nie jest w stanie sięgać głosem tak wysoko, bawić się nim tak łatwo! A może to była przebrana primadonna? Miał tak cudowne, miękkie włosy, smukłe dłonie, białą skórę. Był bardzo, bardzo blady, to musiał być sceniczny makijaż! No i tylko zawodowy śpiewak mógł tak łatwo improwizować, nie znając przecież utworu, w końcu Chiamarino ćwiczył w sekrecie, a do premiery było jeszcze daleko.

– Aleksander lubi wielkie wejścia – Edgar odnalazł mnie w bibliotece. – Ostrzegłam jednak Chiamarina, że taka sytuacja może zaistnieć. Można powiedzieć, że splataliśmy moim gościom figla – uśmiechał się, biorąc mnie

za rękę. – Drzysz cała, czyżbyś aż tak bardzo się wzruszyła?

– Nie kpij ze mnie, nie nawykłam do takich duchowych rozkoszy... – odrzekłam cicho. – Już Chiamarino wprawił moje serce w drzenie, a do tego ten chłopiec... Kim on jest? Czy występuje? Dlaczego o nim nie słyszałam?

– Nikt o nim nie słyszał, Aleksander już nie koncertuje.

– Już? A kiedy koncertował? Przecież jest taki młody!

– Wydaje ci się tylko. Z kastratami czas obchodzi się inaczej – Edgar wstał, unosząc mnie ze sobą. – Wracajmy do gości, przedstawię cię. Chiamarino zgodził się posłuchać twojego śpiewu, jeśli zechciałabyś wziąć u niego lekcję.

Serce zatrzepotało mi w piersi.

– Chiamarino miałby uczyć mnie śpiewu? – zapytałam drżącym głosem.

– Tylko małe przesłuchanie, masz taki piękny, dźwięczny głos... – Edgar poprowadził mnie do drzwi biblioteki. – Oczywiście nie dziś, Chiamarino zabawi w Londynie jeszcze przez kilka dni, będziesz miała czas, aby się przygotować. A dziś w nocy, moja mała Blanche, dziś w nocy będziemy tańczyć do upadłego! – obrócił mnie w tańcu, uniósł nawet nieco, co sprawiło, że zachichotałam. – I będziesz miała w końcu swój portret, poprosiłem Arapaggia, aby...

Notatnik wypadł mi z rąk.

Arapaggio, malarz, autor obrazów podarowanych mi przez Huntingtona.

Uniosłem książkę i szybko odnalazłem miejsce, w którym przerwałem.

...I będziesz miała w końcu swój portret, poprosiłem Arapaggia, aby wykonał kilka szkiców. Jeśli nie zdąży ukończyć go przed wyjazdem do Wiednia, prześle gotowy do mojej rezydencji.

Tutaj zapiski nagle się urywały, przyjrzałem się dobrze i zauważyłem, że brakowało stronicy.

Nie mogłem zebrać myśli. Najpierw inicjały „E.F.H.”, później imię „Edgar” i w końcu „Arapaggio”. To nie mógł być przypadek, a przecież musiał być! Niemożliwe, żeby moja babka obracała się wśród współcześnie żyjących ludzi, byliby teraz starcami!

Lothar wspominał, że być może poznam Arapaggia. Jeśli jutro wieczorem będzie na balu Huntingtona i okaże się wiekowym mężczyzną, sprawa sama się wyjaśni. Być może rodzina Huntingtona utrzymuje z nim kontakt od pokoleń? Czy portret Blanche Avoy istotnie powstał? Czy dalej wisiał w posiadłości Huntingtona? Gubiłem się wśród domysłów, przecież musiało istnieć jakieś

logiczne wytłumaczenie całej tej sytuacji! I przede wszystkim dlaczego tak bardzo mnie to niepokoiło?

– Co czytasz? – głos Lothara wyrwał mnie z zamyślenia. Zatrzasnąłem dyskretnie notatnik i odwróciłem głowę, by na niego spojrzeć. Coś nagle podpowiedziało mi, żeby nie mówić mu o swoich niedorzecznych przypuszczeniach.

– Stare zapiski mojej babki – odrzekłem zgodnie z prawdą. – Chciałem wspominać rodzinę – zełgałem, odkładając notatnik na stolik. Czy Lothar wiedział o czymś, o czym mi nie mówił? Czy znał jakieś fakty z życia Huntingtona, które mogłyby wyjaśnić tę dziwną sytuację z przeszłości?

Wyglądał na wykończonego, miał podkrążone oczy. Opadł na fotel, rzucając w kąt lekki płaszcz. Nie miałem serca zamećzać go pytaniami na temat naszego protektora, szczególnie w świetle tego, co ostatnimi czasy mi o nim opowiedział.

– Niedługo zacznie świtać – rzekłem cicho, zbliżając się do fotela. – Wieczorem czeka nas ważny sprawdzian w posiadłości Huntingtona, powinniśmy wypocząć.

– Gdybym mógł, uciekłbym jeszcze w tej chwili, uciekłbym tam, gdzie Huntington nigdy by mnie nie odnalazł, może do Indii? Albo do Afryki. Gdzieś, gdzie dni są długie, a słońce pali niemiłosiernie, żeby grasujący nocą potwór nie mógł mnie już nigdy dopaść.

To były dziwne słowa, jakże znajomo jednak zabrzmiały... To samo pisała Blanche w swoim notatniku, pisała o ucieczce i uwolnieniu się od Huntingtona, który mógł podróżować jedynie nocą. Zbyt wiele faktów zaczynało się pokrywać, zbyt wiele podobieństw było między tymi dwiema postaciami. A przecież nie mogły być jedną i tą samą osobą!

– Jestem zmęczony, położymy się? – wyciągnąłem dłoń do Lothara.

– Nie mogłem zasnąć w pustym mieszkaniu – ujął ją spowolnionym, zmęczonym gestem. – Nie mogłem zasnąć bez ciebie... – dodał ciszej, nie patrząc na mnie, wstał jednak i pozwolił poprowadzić się do sypialni.

Nagle poczułem, że afekt, który do niego żywiłem, nigdy nie wygasł, że po prostu zagubił się wśród wielu pomyłek, jakie obaj popełniliśmy w ciągu ostatnich tygodni.

W sypialni było chłodno, a przez otwarte okno dochodził nas śpiew słowika. Bez słowa zrzuciłem ubranie i wszedłem do łóżka.

– Zimno mi – Lothar przysiadł na jego skraju, zdejmując koszulę. Przesunąłem się, robiąc mu miejsce.

– Chodź do łóżka – szepnąłem, a po chwili dodałem: – Nie dotknę cię nawet,

dopóki nie poprosisz.

Po chwili spaliśmy, przytuleni, jak pierwszej wspólnej nocy.

XV

Gdy obudziłem się wczesnym rankiem, Lothar już nie spał, siedział na brzegu łóżka ubrany w mój szlafrok i przyglądał mi się z lekkim uśmiechem. Wyglądał zdecydowanie lepiej. Usiadłem na krześle naprzeciwko niego.

– Może zjemy śniadanie u mnie? – zaproponował, odgarniając włosy z mojej twarzy. – Dziś dzień targowy, Emily na pewno zdążyła już zrobić zakupy.

Emily była krągłą, niską dziewczyną o rumianych policzkach i płowej, typowo północnej urodzie. Gotowała naprawdę wyśmienicie. Nigdy nie zapytałem Lothara, skąd wzięła się w jego domu, takie przyziemne sprawy jak zatrudnianie służących nigdy mnie nie obchodziły. Dzisiaj jednak poczułem, że każda chwila jest ważna, każde wypowiedziane słowo ma znaczenie, a każda osoba, z którą się zetknę, w jakiś sposób wpłynie na moje życie. Dziwne i niepokojące było to odczucie...

– Chyba nie powinniśmy aż tak bardzo przejmować się tym wszystkim – Lothar podsunął mi filiżankę i nalał herbaty. Musiał sam ją zaparzyć, nie miałem służby. To było do niego bardzo niepodobne. – Chwilami mam wrażenie, że po prostu zachłysłaliśmy się czymś, co nazwaliśmy wolnością, a przecież nigdy nie byliśmy niewolnikami. Kto jak kto, ale chyba ty najlepiej powinieneś wiedzieć, jak wygląda niewolnictwo.

Milczałem. Upiłem łyk herbaty i zacząłem zapinać guziki koszuli, którą w pośpiechu narzuciłem, wychodząc z sypialni. Poza tym byłem groteskowo nagi, nie zwracałem jednak na to uwagi. Odstawiając filiżankę, zauważyłem notatnik babki leżący na stoliku tak, jak go odłożyłem.

– Człowieka można zniewolić na wiele sposobów – powiedziałem, patrząc Lotharowi w oczy. – Nasi niewolnicy, mimo iż byli przymuszani do ciężkiej pracy, nigdy nie... nie sprzedali nam swoich dusz.

Mój kochanek odwrócił głowę i patrzył przez okno, zdawał się mnie nie słuchać, a jednak ciągnąłem dalej:

– Jako dziecko wymykałem się wieczorami z domu, żeby podglądać, jak tańczą, i słuchać, jak śpiewają. Oczywiście nie rozumiałem ani słowa, a ich zabawy, rytuały czy modlitwy pozostawały dla mnie zagadką. Tajemniczą, czasami przerażającą. To był ich świat, do którego nigdy nie wpuścili nas, białych ludzi. I w tym świecie pozostawali wolni i dumni.

Poczułem, że wzbierają we mnie niepokój i gniew, z trudem wydobywałem z siebie słowa.

– A my, Lothar, my sprzedaliśmy swoje dusze za garść zachwyków i cały ten nic przecież nieznaczący blichtr – wskazałem ręką na pokój. – Oddaliśmy to, co definiuje nas jako ludzi za złoto, drogie wino, łatwe kobiety. Nie wiem jak tobie, ale mnie jest z tym bardzo, bardzo źle. Czuję, że zupełnie straciłem kontrolę nad swoim życiem, że kto inny pisze je za mnie, planuje każdy mój krok. Obaj wiemy, że to właśnie robi Huntington. I bardzo, bardzo chciałbym wierzyć, że ty nie masz z tym nic wspólnego, że znajdujemy się po tej samej stronie barykady. Że jesteś ze mną szczery i być może... być może naprawdę mnie kochasz – patrzyłem na jego twarz, odwróconą do mnie profilem. W tym momencie spojrzał mi prosto w oczy, ja jednak nie przestawałem mówić, wytrzymując jego intensywne spojrzenie. – Nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo boję się Huntingtona, a jednocześnie tak bardzo chcę być blisko niego. Jeśli wiesz coś, co mogłoby rozwiać mój lęk i wyjaśnić moją fascynację, proszę, powiedz mi o tym. Mam pewne podejrzenia... – zacząłem niepewnie i ukradkiem spojrzałem na notatnik, nie bardzo jednak wiedziałem, jak ubrać w słowa tłukące się po głowie myśli. – Moja babka, Blanche Avoy, była podopieczną pewnego arystokraty, Edgara Huntingtona, o inicjałach E.F.H. Podejrzewam, że był to jakiś przodek lorda. Wspomniałeś niedawno, że był on bardzo związany z jedną ze swoich protegowanych, z Blanche Avoy właśnie. Brzmi dziwnie? Co powiesz?

Lothar wciąż wpatrywał się we mnie intensywnie, a jego twarz była jak nieprzenikniona maska.

– Armagnac... – zaczął cicho, a w jego gesty wkradła się dawna uwodzicielskość, podniósł się z krzesła i podszedł do mnie powoli. – Nie pozwólmy, by to wszystko zatruło nasze myśli... – pochylił się nade mną i pocałował mnie, zanim zdążyłem zaprotestować. Czułem się jak zahipnotyzowany, jakby dotyk jego ust rzucał na mnie urok. – Nie pozwólmy, by on wkroczył pomiędzy nas, by jego gierki zniszczyły to, co razem zbudowaliśmy... – czy ja naprawdę nabierałem się na te gładkie słówka? Czułem, że Lothar znów kłamie, znów próbuje zmącić mi umysł, ale przecież pozwalałem jego dłoniom błądzić po swoim ciele, pozwalałem jego ustom wpijać się w moje wargi. – Armagnac, jesteś światłem mojego życia... – szepnął, a ja zadrzałem, nie mogłem dłużej mu się opierać. – Nadałeś mu sens, prawdziwy sens – dodał, padając przede mną na kolana. Przypomniałem sobie z zażenowaniem o swojej nagości, ale było już za późno. Poczułem jego dłonie

rozsuwające moje kolana, a po chwili rozkosz odebrała mi resztki wolnej woli, gdy pochylił głowę.

Przez całe przedpołudnie pozwalałem mu bawić się mną. Zatraciłem się w przyjemności, odkrywając na nowo jego ciało. Gesty Lothara przeplatały się z czułymi słowami, z zapewnieniami o miłości, o tym, że tak naprawdę mieliśmy tylko siebie, że razem mogliśmy dokonać wielkich rzeczy, zacząć wszystko od początku. Wiedziałem, że to tylko puste słowa, pozwoliłem sobie jednak wierzyć w nie, choćby przez chwilę. Gdy nagle przypominałem sobie o tym, że wieczorem mieliśmy znów spotkać się z naszym mecenasem, Lothar jakby wyczuwał to i zalewał mnie nową falą wyszukanej czułości, która zaćmiewała mi umysł i zamieniała mnie w jeden obnażony, wrażliwy nerw łąkający jego pieszczot. W chwilach przytomności znów miałem wrażenie, że kryją się w nim dwie różne osoby: wrażliwy, zagubiony i samotny chłopiec, którego nocą spotkałem nad rzeką, oraz nienasycona, głodna zadawania rozkoszy bestia, z którą nie byłem w stanie walczyć i pozwalałem jej się pożerać.

Jego twarz wówczas się zmieniała, w jego oczach pojawiał się ogień, nie byłem w stanie mu się przeciwstawić. Tak samo wyglądał, gdy brutalnie brał Maggie, tak samo patrzył na mnie naszej pierwszej wspólnej nocy i tak samo pochłaniał mnie wzrokiem teraz, gdy na długie godziny uczynił mnie niewolnikiem mojej żądz.

Gdy w końcu obaj opadliśmy z sił, zaczynało zmierzchać. Leżałem na łóżku w sponiewieranej pościeli, mokry od potu, splątane włosy lepiły mi się do twarzy, a Lothar drzemał obok. Wsłuchiwałem się w jego spokojny, rytmiczny oddech. Przez cały dzień nic nie jadłem i dopiero teraz poczułem, jak bardzo byłem głodny.

Wstałem z trudem, umęczony łóżkowymi akrobacjami. Byłem zbyt wykończony, by denerwować się tym, że za kilka godzin będę grał na przyjęciu w rezydencji Huntingtona. Było mi wszystko jedno, chciałem mieć to już za sobą. Nie przerażała mnie nawet myśl o tym, że od tygodni nie odbyliśmy z Lotharem ani jednej porządnej próby.

Gdy usiadłem w kąpielni, myślałem, że już się nie podniosę. Wiedziałem, że za chwilę muszę wstać, ogolić się i ubrać, ale brakowało mi sił nawet na to, by się porządnie umyć. Przez chwilę miałem ochotę zanurzyć się w wodzie i już nie wypłynąć na powierzchnię. Uratowało mnie chyba tylko to, że wanna była zbyt mała na wygodne odebranie sobie w niej życia, a poza tym myśl, że Lothar znalazłby mnie utopionego, napełniła mnie niesmakiem.

Wyszedłem z łazienki i cicho przeszedłem do salonu, a potem do sypialni. Łóżko stało puste, nikogo nie było w mieszkaniu. Znalazłem na stoliku kartkę z prośbą, żebym przyszedł do studio Lothara za godzinę, skąd odebrać nas miał powóz Huntingtona.

Przez chwilę kusilo mnie, by przeczytać jeszcze kilka stron z pamiętnika babki, nie miałem jednak na to czasu. Zarzuciłem szlafrok i usiadłem do fortepianu, zacząłem od niechcienia przerzucać nuty i partytury, choć wiedziałem, że podczas występu będziemy improwizować. Otworzyłem pokrywę klawiatury i zagrałem kilka taktów dla rozruszania palców, nie mogłem się jednak skupić, nie wiedziałem, co właściwie chcę zagrać, aż w końcu uderzyłem bezsilnie w klawisze, wydobywając z instrumentu ohydnie brzmiący dysonans, po czym zatrasnąłem pokrywę.

A gdybym tak nie poszedł na to przyjęcie? Gdybym spakował walizę i zamiast tego uciekł, tak jak Blanche Avoy uciekła przed dawnym Edgarem? W końcu jej udało się uwolnić, dlaczego więc mnie nie miałyby się udać?

Ja jednak nie miałem dokąd uciec. Nie czekał na mnie żaden Louis Marcat, gotowy przyjąć mnie pod swój dach i osłonić przed ewentualnym gniewem mecenasa. Miałem dziwne wrażenie, że przed jego gniewem nikt nie mógłby mnie osłonić, że tak naprawdę nigdy się od niego nie uwolnię, że muszę dalej grać rolę, którą dla mnie pisał. I gdy tak siedziałem bez ruchu, mój umysł zaczął powoli się wyciszać, pustoszeć, lęk, strach i poczucie zależności gdzieś zniknęły, zastąpione znanym mi już uczuciem posłuszeństwa, chęcią sprawienia lordowi przyjemności, chęcią wykonania każdej jego prośby, każdego rozkazu, każdego zadania, jakie postawiłby przede mną. Wypełniony tym dziwnym spokojem i przekonaniem, że tak właśnie ma być, niespiesznie przebrałem się w najlepszy frak, zaczesalem do tyłu włosy i splotłem je w warkocz. Założyłem cylinder, zarzuciłem na siebie lekką pelerynę i wyszedłem, nie patrząc na swoje odbicie w lustrze.

XVI

Nigdy wcześniej nie widziałem równie imponującego powozu. Na widok czwórki karych koni z pióropuszcami czarnych piór na głowach i ogromnego, lśniącego, antracytowego wozu, poczułem, że zaczynają drżeć mi kolana. Czułem się, jakbym wsiadał do karawanu, jednak wewnątrz pokryte było błyszczącą, czerwoną skórą i moje wrażenie natychmiast się zmieniło: miałem poczucie, że wsiadam do rozplatanego brzucha jakiejś piekielnej bestii.

Lothar siedział już w środku, rozparty wygodnie, cały w czerni i bieli, wyglądał jak wycięta z gazety czarno-biała fotografia. Jediną plamką koloru była spinka z szafirem w jego krawacie. Uśmiechał się nieznacznie i wyciągnął do mnie rękę, pomagając mi wsiąść. Nie odezwałem się ani słowem, on również milczał.

Patrzyłem przez okienko na pogrążający się w ciemności Londyn i miałem wrażenie, że więcej już nie zobaczę miasta, że jadę po swoją własną śmierć.

Jednak gdy po niemal godzinie spokojnej jazdy wyjechaliśmy na obrzeża miasta i powóz powoli zaczął wtaczać się na wzgórze, poczułem pierwsze mrowienie ekscytacji. Moim oczom ukazał się otoczony potężnymi murami zamek, przy którym posiadłość MacLowleya wyglądała jak kurnik. Nie mogłem uwierzyć w to, że Huntington mieszkał w tak ogromnym zamku. Musiała to być jakaś średniowieczna forteca.

Po chwili znaleźliśmy się w korowodzie powozów, wszystkie jednak ustępowały nam z drogi. Trakt był szeroki i wyłożony kamiennymi płytami, musiał kosztować majątek. Zamek otaczała najprawdziwsza fosa, nad którą przejechaliśmy po zwodzonym moście. Czy to właśnie w tym miejscu bawiła się przed półwieczem moja babka? Nie zdążyłem doczytać jej zapisków i teraz tego żałowałem.

Gdy przejechaliśmy przez bramę, okazało się, że forteca była w pełni samowystarczalna. Mijaliśmy suto oświetlone domy, całe gospodarstwa, jakbyśmy wjechali do jakiegoś zagubionego w czasie średniowiecznego miasteczka. Wieśniacy machali w stronę powozu, wiwatowali, jakby witali samego króla. Poczułem się dziwnie, trochę jak we śnie.

Przejechaliśmy przez niewielki rynek i nagle moim oczom ukazał się właściwy zamek, tonący w blasku gazowych lamp, obwieszony setkami latarni.

Jechaliśmy aleją obwarowaną ogromnymi dębami i w końcu zatrzymaliśmy się na podjeździe zatłoczonym tuzinem innych powozów. Goście tłumnie wlewali się przez główne, szeroko otwarte drzwi. Budowla musiała być młodsza od murów i zabudowań, miała chyba ze sto wieżyczek, a wokół rozpościerał się wspaniały park angielski, który ciągnął się wysoko za bryłą budynku i wspinał na wzgórze. Dostrzegąłem niezliczone kręte ścieżki, jasno oświetlone na ten wieczór latarniami. Uchyliłem okno i przysłuchiwałem się gwarowi rozmów gości tłoczących się ze wszystkich stron. Nie nadążałem z rozróżnianiem języków: angielski, włoski, francuski, hiszpański, łacina...

– To nie jest posiadłość, to cały świat – powiedziałem do siebie, ale Lothar usłyszał mnie i zaśmiał się pod nosem. – I my mamy tutaj dzisiaj zagrać? Nie ma tu całej orkiestry?

– Powinienem być cię uprzedzić – Lothar przetarł kryształową gałkę swojej laski i zastukał nią w sufit. Powóz zatrzymał się i po chwili stangret otworzył drzwiczki. – Ale wołałem zobaczyć twoją minę – dodał, wysiadając. Pośpiesznie podążyłem za nim, by nie zgubić się w tłumie. Miałem wrażenie, że tutaj to wcale nie jest trudne.

Pałac istotnie zapierał dech w piersi, tak jak opisała to młoda Blanche. Nigdy nie byłem na żadnym królewskim dworze, ale właśnie tak wyobrażałem sobie rezydencje królów. Przepych mięsistych tkanin, złotych ozdób, kryształów, mebli z egzotycznego drewna i tysiący świec sprawił, że na moment zapomniałem, jaką rolę miałem tu dzisiaj odegrać.

Nagle świadomość, że będę grał dla tych wszystkich ludzi, którzy tłoczyli się wokół nas jak kolorowe motyle, sprawiła, że poczułem się słabo, krew odpłynęła mi z twarzy, a Lothar jakby to wyczuł i pewnie ujął mnie pod ramię, prowadząc do sali bankietowej.

– Tylko bez takich numerów, nie dzisiaj... – szepnął mi do ucha. – Jeśli tutaj się popiszemy, otworzy się przed nami cały świat!

Istotnie, otworzył się, bo gdy wkroczyliśmy do sali balowej, poczułem się właśnie tak, jakbym nagle dotknął całego świata naraz. Gigantyczny żyrandol z weneckiego szkła odbijał się w ścianach wyłożonych lustrami, a sala zdawała się przez to rozpościerać w nieskończoność. Nie zauważyłem, kto i kiedy zabrał mój płaszcz i cylinder, w rękę zbyt mocno ścisnąłem kieliszek schłodzonego szampana i tak jak u MacLowleya nie dbałem o to, kto mi się przedstawiał, kto podawał mi ręce, kto podstawiał do ucałowania dłoni czy policzek. Szczebiot kobiecych głosów, zapach perfum, pieszczota piór na policzku: wszystko to otaczało mnie jak nieprzebrana toń, w której zanurzyłem się głuchy, ślepy

i nieświadomy, podczas gdy moje ciało automatycznie oddawało ukłony, uściski i pocałunki. Mówiłem coś, pewnie grzecznie odpowiadałem na pozdrowienia, nie pamiętam.

I wówczas zobaczyłem jego: płynął przez morze bajecznie kolorowych strojów jak wielka, drapieżna ryba, zdawał się unosić nad nimi jak sokół ponad łąką pełną kolorowych kwiatów. A przecież był tylko młodym mężczyzną, drobnym chłopcem o przenikliwych zielonych oczach i grzywie jasnych, płonących w blasku świec włosów, które upodabniały go do topielca, tańcząc wokół jego anielsko pięknej twarzy. Jednak świadomość, że był tutaj panem i władcą, że rzesze wieśniaków wiwatowały na widok jego powozu, a śmietanka towarzyska Londynu, a pewnie i całej Anglii i Europy prześcigała się, by błyszczeć na jego salonach, sprawiała, że zdawał się w mych oczach wszechwładnym, wszechmocnym gigantem, królem świata. I gdy tak płynął w naszym kierunku, skinieniem głowy czy gestem odpowiadając na pozdrowienia i okrzyki, czułem do niego tylko miłość, czułem tylko wszechogarniającą, przenikającą mnie na wskroś miłość.

– Armagnac... – musnął dłonią odzianą w białą rękawiczkę mój policzek. – Lothar... – powtórzył ten gest, uśmiechając się do mojego towarzysza. – Przybyliście, by ukoronować ten wspaniały wieczór, by raz jeszcze pokazać światu, że mój zmysł odkrywania nowych talentów jest niezawodny.

Słuchałem go i zastanawiałem się, jak mogłem tak długo wytrzymać bez jego głosu, jak mogłem o nim zapomnieć, jak mogłem...

Zapatrzyłem się nagle na jeszcze jedną postać, która zdawała się przyglądać nam z odległego krańca sali. Był to wysoki, potężny mężczyzna, wyróżniający się z tłumu nie tylko wzrostem, ale i burzą kręconych włosów koloru świeżej rdzy związanych na karku, otaczających jego twarz niby piana. Uważnie nam się przyglądał i nawet z tak dużej odległości mogłem dostrzec zielony ogień w jego oczach, jaśniejszych od oczu Huntingtona, lecz równie przenikliwych. Poczułem, że włosy jeżą mi się na karku, spuściłem wzrok, a gdy uniosłem oczy, mężczyzny już nie było.

Wychyliłem szampana duszkiem.

Następne dwie godziny były najdłuższymi w moim życiu. Mieliśmy wystąpić przed głównym posiłkiem, który już stał się tematem plotek, choć nawet go jeszcze nie podano. Wspominano poprzednie przyjęcia i wyborne specjały na nich serwowane. Słuchając tego, pomyślałem, że głupio byłoby przegrać w jutrzejszych plotkach z egzotycznymi krewetkami czy kawiozem z bieługi...

Na krótko przed północą Lothar wyrwał mnie ze szponów podstarzałej, komicznie umalowanej markizy i zaciągnął do sali muzycznej, w której stał fortepian identyczny jak ten, który dostałem od Huntingtona. Poczułem się pewniej.

– Lord życzy sobie, abyśmy na koniec zagrali tę pieśń – chłopak podał mi nuty i jedno spojrzenie wystarczyło, abym przekonał się, że była to jakaś liryczna aria z nieznannej mi opery. – Jeden z jego gości chciałby z nami wystąpić.

– Jeden z gości? Jakaś primadonna chyba? To aria na sopran koloraturowy, nie spróbuje zaśpiewać z nami na próbę nawet kilku dźwięków?

– Nie ma takiej potrzeby, dopasuje się do nas.

Poczucie pewności uleciało. Akompaniować jakiejś sopranistce? Bez próby? Podobno to my mieliśmy dziś zabłysnąć, a teraz wszystko mogła zniweczyć jakaś...

– Przegrajmy chociaż wstęp, to nie jest trudny utwór – głos Lothara i dźwięki strojenia skrzypiec wyrwały mnie z zamyślenia.

Gdy skończyliśmy krótką próbę, drzwi otworzyły się i sala zaczęła się zapełniać, w ciągu kwadransa nie było już gdzie wetknąć choćby palca. Poczułem znajomą ekscytację, ale i dreszcz przerażenia jak przed pierwszym koncertem, a później, gdy tylko uniosłem dłonie ponad klawiaturę, wszystko zniknęło.

Znowu byłem tylko ja i muzyka, muzyka mojego fortepianu i czysty dźwięk skrzypiec Lothara. Zniknął pałac, zniknął Huntington, zniknął tłum poruszonych naszą grą gości, byliśmy tylko my dwaj i nasze dusze, które na tych kilka chwil stały się muzyką. Rozumieliśmy się bez słów, jakbyśmy czytali w swoich myślach, a gdy ekstaza gry niosła mnie gdzieś wysoko, lekkiego i bezcielesnego, przypomniałem sobie o ostatnim utworze i nieznannej mi osobie, która miała wkraść się do naszego małego świata – świata, który do tej pory należał tylko do mnie i Lothara.

Gdy wybrzmiał ostatni akord naszego recitalu, nie słyszałem owacji ani okrzyków, choć widziałem, że ludzie otwierali usta, klaskali i gestykulowali. Dostrzegłem tylko oczy Huntingtona siedzącego w pierwszym rzędzie, który wymownie spojrzął na nuty stojące przede mną i skinął głową. Zacząłem grać, choć przecież nie było przy nas primadonny.

Ludzie ucichli i nagle ponad akompaniamentem naszych instrumentów usłyszałem najcudowniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek doszedł do moich uszu. To był ludzki głos, ale jednocześnie byłem przekonany, że nie mógł być ludzki.

Te tony były zbyt jasne, zbyt przenikliwe i tak dokładne, że nie mogły wydobywać się z ludzkiego gardła, a już z pewnością nie z gardła kobiety, gdyż ich moc była przerażająca, nadludzka.

Tłum rozstąpił się i kątem oka dostrzegłem wysoką postać zmierzającą w kierunku fortepianu. To było *déjà vu* tak wszechogarniające, że niemal przerwałem grę, coś jednak nakazywało mi grać dalej, jakbym już nie ja prowadził moje dłonie. Na dźwięk tego głosu i widok jego właściciela jak wybuch wytrysnął w mojej głowie fragment zapisków Blanche Avoy, jakbym ponownie go czytał:

Wszystkie głowy odwracały się w poszukiwaniu jego źródła i nagle naszym oczom ukazała się wysoka, zwiewna postać o tak przecudnej urodzie, że nogi mi zadrżały. Chłopiec to był zaledwie, choć nosił strój zdecydowanie męski. Miał ogromne lazurowe oczy, burzę długich ciemnozłotych loków i pełne, zmysłowe usta, z których wydobywał się ten nieziemski głos...

Blanche Avoy nawet w połowie nie oddała fenomenu tego zjawiska.

Postać, która z gracją zatrzymała się przy fortepianie, nie mogła być chłopcem, nie mogła być kastratem, musiała być aniołem, chociaż ja nigdy nie wierzyłem w anioły. Uwierzyłem w nie w tamtym momencie, słuchając głosu tego cudownego dziecka, a gdy jego krystaliczny dźwięk wzniósł się w ostatniej nucie tak nieludzko wysoko, że kieliszki na stojącej w pobliżu tacy rozprysły się na kawałki, poczułem, że tracę przytomność.

Mogło to trwać sekundę albo sto lat.

Unosiłem się w ciemności, jakby niesiony prądem wody, a gdzieś z oddali, jak ze studni, dobiegał do mnie głos tego młodego złotowłosego kastrata. Patrzyły na mnie oczy lorda i oczy tajemniczego rudowłosego mężczyzny. Czułem dotyk Lothara pieszczącego mnie gdzieś w przytulnej ciemności przepastnego łoża.

Gdy otworzyłem oczy, mój kochanek podnosił mnie z ławki przed fortepianem, a kilka kroków przed nami stał Huntington, obejmując w talii górującego nad nim wzrostem młodego śpiewaka. Chłopiec uklonił się nieznacznie, po czym odwrócił w naszą stronę i uśmiechnął. Miał ogromne turkusowe oczy i długie złote włosy zaplecione w misterny warkocz, kontrastujący z eleganckim czarnym frakiem, strojem zdecydowanie męskim, choć twarz mówiła zupełnie co innego. Miałem wrażenie, że nogi odmówią mi posłuszeństwa, jednak Lothar pociągnął mnie w ich stronę i po chwili

kłanialiśmy się wszyscy czterej. Tłum wiwatował i w kilka sekund otoczył nas kolorowym, hałaśliwym kręgiem.

Serce waliło mi jak oszalałe. Co robił śpiewak, który pięćdziesiąt lat wcześniej zauroczył moją babkę w posiadłości jakiegoś Edgara Huntingtona, w tej chwili, w posiadłości obecnego Edgara Francisa Huntingtona? To wszystko musiało być jakimś żartem, jakąś grą, w którą nie wiadomo dlaczego zostałem wplątany. A może dziennik babki był sfałszowany? Może Lothar podrzucił mi spreparowane zapiski i teraz razem z Huntingtonem zaśmiewali się w duchu z mojego zmieszania? W końcu nigdy wcześniej nie czytałem notatek Blanche, nie znałem charakteru jej pisma, ktoś wystarczająco zręczny z pewnością mógł tego dokonać, postarzyć notatnik i... Ale po co mieliby robić coś takiego? Czy bogaczom naprawdę aż tak bardzo się nudziło, że knuli tak dziwaczne intrygi?

Oddawałem ukłony, przyjmowałem gratulacje, byłem poszturchiwany i przyciskany do wypudrowanych dekolców, wszystko to oznaczało, że odnieśliśmy spektakularny sukces, jednak działo się poza mną. Nie mogłem oderwać wzroku od tajemniczego śpiewaka, który poruszał się jakby w zwolnionym tempie, uśmiechał nieznacznie i spoglądał na wszystkich sennie spod półprzymkniętych powiek, jak gdyby nie chciał ujawnić nikomu ogromu swoich lazurów oczu. Dwie młode dziewczyny, omdlewając niemal, płaszczyły się przed nim, a jakaś sędziwa matrona ukradkiem ocierała oczy, gdy została mu przedstawiona.

– Doprawdy cudownie, moje dziecko... – szeptała, wspinając się na palce, by go ucałować, a ja mimo całej odczuwanej satysfakcji poczułem wściekłość, że eunuch kradł nasz triumf. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę z tego, że Lothar i ja byliśmy tak samo oblegani przez gości.

Wtedy stało się coś, co ostatecznie mnie przekonało lub może raczej upewniło w tym, że cały ten wieczór musiał być iluzją, musiał być snem. Potężny rudowłosy mężczyzna wyrósł nagle tuż przy chłopcu i objął go w tali. I choć szepnął mu tylko coś do ucha, usłyszałem wyraźnie jego słowa:

– Kilka tonów wyżej i miałbyś na sumieniu kilka ofiar, Aleksandrze...

Chłopak zaśmiał się dźwięcznie, zakrywając usta dłonią, po czym odrzekł równie cicho:

– Nie przesadzaj, Arapaggio...

I to był właśnie ten moment, gdy nagle, jak po uderzeniu w głowę, straciłem przytomność.

XVII

Obudziłem się we własnym łóżku.

Świtało, a ja czułem się tak, jakbym nie spał przez trzy noce, a potem przez następne trzy pił. Światło mnie razilo, a śpiew ptaków i odgłosy budzącej się do życia ulicy, dobiegające zza uchylonego okna, zdawały mi się nieznośną kakofonią. Spróbowałem się podnieść, ale natychmiast opadłem na łóżko, głowa mi pulsowała tęnym bólem i strasznie chciało mi się pić. Na stoliku obok wezglowia stała karafka i szklanka, tuż przy notatniku mojej babki. Nie przypominałem sobie, żebym tam go odkładał, czytałem przecież w salonie. Uniosłem się na łokciach, napełniłem szklankę i łapczywie ją wychyliłem.

Nie mogłem rozeznaczyć się w tym, co było snem, a co jawą, nie wiedziałem, jaki mieliśmy dzień. Ostatnią realną rzeczą, jaką pamiętałem, była nocna rozmowa z Lotharem nad rzeką, wszystko, co wydarzyło się potem, zdawało mi się urojeniem.

Z pewnością zasnąłem nad zapiskami Blanche, a potem przyśnił mi się ten dziwny sen. W końcu posiadłość Huntingtona nie mogła być aż tak ogromna, jego goście tak różnorodni – teraz przypomniałem sobie, że w wizji pojawiały się nawet twarze czarne i żółte, a stroje były zbyt wyszukane, zbyt egzotyczne, by mogły być prawdziwe – a przede wszystkim nikt nie mógł śpiewać takim głosem jak sopranista w moim śnie. Nikt nie mógł mieć aż tak ogromnych jasnych oczu, tak gładkiej skóry, takiej sennej gracji w każdym ruchu.

Obudziło mnie pukanie do drzwi.

– Armagnac, otwórz, wiem, że tam jesteś! – Lothar stukał w drzwi laską, dźwięk był nie do zniesienia.

Zwlokłem się z łóżka, co dziwne, miałem na sobie najlepszą koszulę. Otworzyłem drzwi i nie patrząc na niego, podążyłem do sypialni, chowając się na powrót pod kołdrą.

– Nie zagram na żadnym przyjęciu u żadnego lorda. Jestem chory. Nie, nie jestem chory, zwariowałem! – warknąłem, naciągając okrycie na głowę.

Lothar usiadł na brzegu łóżka i ściągnął ze mnie kołdrę stanowczym ruchem, nie powiedział jednak ani słowa. Spojrzałem w jego czarne oczy, uśmiechał się nieznacznie.

– Ja też się denerwuję – zaczął cicho, odgarniając kosmyk włosów z mojego

czoła. – Dlatego tu przyszedłem tak wcześnie rano. Musimy zrobić próbę. Od tygodni nie zagraliśmy niczego razem, zajmowaliśmy się wyłącznie...

– Nie przypominaj mi – przerwałem mu i uniosłem się na łokciach. Na wspomnienie wszystkich orgietek poczułem niesmak. Miałem dosyć cielesnych przyjemności, przynajmniej na jakiś czas.

– Ubierz się, wyjdziemy zjeść porządne śniadanie, a potem pogramy. Koniec biegania luzem, wrócił pan. I założę się, że przywiózł ze sobą powróż.

Pogoda była przepiękna, wiosenne słońce stało już dość wysoko, ptaki szalały wśród młodych liści na drzewach, a ulica była gwarna i zatłoczona.

– Miałem dziwny sen – mruknąłem znad filiżanki herbaty. Siedzieliśmy przy stoliku przed niewielką restauracją, w której zwykliśmy jadać. – Śnił mi się pałac Huntingtona. Ogromny zamek, forteca otoczona murami, wewnątrz której kryło się całe miasteczko.

Lothar przyglądał mi się uważnie, unosząc brwi.

– Bez przesady – rzekł, połknąwszy ostatni kęs ze swego talerza. – Huntington nie jest aż tak bogaty. Zagramy dziś w zamku podobnym do posiadłości MacLowleya.

– Byłeś tam już?

– Kilkakrotnie. To imponująca posiadłość, ale nie aż tak. Ot, typowy angielski majątek, elżbietański bodajże, większość szlachty posiada podobne. Ostatniego lata poznałem tam tego malarza, Arapaggia. Namalował mi nawet portret, ale nie pamiętam, co się z nim stało... – Lothar zmrużył oczy, oblizując bezwiednie łyżeczkę i patrząc prosto w słońce.

Poczułem, że blednę, ale nie chciałem dać po sobie poznać zdenerwowania, które nagle zawiązało mi węzeł w piersi.

– Doprawdy? Musi być starcem...

– Nie. Dlaczego? – Lothar dołał sobie herbaty. – To mężczyzna w sile wieku, bardzo wysoki, trochę mnie to onieśmielało. No i ta jego ekstrawagancka fryzura... Z daleka wyglądał, jakby płonęła mu głowa.

„O Boże, zwariowałem jednak...” – pomyślałem, odstawiając drżącą dłonią filiżankę.

Lothar spojrział na mnie podejrzliwie.

– Dlaczego sądziłeś, że Arapaggio jest stary? – zapytał, przenosząc wzrok gdzieś w dal, na rzekę.

– Nie wiem, po prostu te jego obrazy są takie smutne, przytłaczające... – plątałem się, nie wiedziałem, jak wiarygodnie odpowiedzieć, jednak towarzyszył mi zdawał się nie zauważać mojego zmieszania.

– Przytłaczające? Poczekaj, aż zobaczysz portrety, które namalował. Huntington ma ich sporą kolekcję. Szczególnie jeden przypadł mi do gustu – ponieważ patrzyłem na niego z oczekiwaniem, podjął po chwili: – Przedstawia młodą kobietę o kasztanowych włosach i zamyślonych niebieskich oczach.

Przełknąłem ślinę, spuściłem wzrok i tępo patrzyłem w filizankę.

– To podobno jakaś protegowana Edgara Francisa Huntingtona Pierwszego.

– Pierwszego? – uniosłem wzrok w napięciu.

– No tak, dziadka naszego lorda.

– Dziadka?

– Dziadka, ojca jego ojca. Armagnac, co się z tobą dzieje? – Lothar wstał, zgrzytając krzesłem po bruku. – Jesteś jakiś nieprzytomny. Obudź się, wieczorem mamy ważny koncert!

Szedłem za nim w milczeniu. Mój umysł pracował jak oszalały. Lothar opowiadał mi już o Blanche Avoy, a teraz zdawał się tego nie pamiętać, wspominając o protegowanej lorda Huntingtona Pierwszego. Więc ilu było tych Huntingtonów? Trzech? Jeśli tak, to moje przypuszczenia były słuszne, miałem po prostu zbyt wybujałą wyobraźnię. Tajemniczy Edgar Huntington, pierwszy z rodu, był mecenasem mojej babki, Blanche Avoy, po której odziedziczyłem kasztanowe włosy i niebieskie oczy. W rezydencji lorda wisiał jej portret, namalowany przez Arapaggia, być może ojca tego Arapaggia, którego poznał Lothar. Musiałem tylko rzucić okiem na ten obraz. Musiałem doczytać zapiski babki, musiałem...

Weszliśmy do mojego mieszkania, ciągle nie odzywając się do siebie. Miałem ochotę opowiedzieć Lotharowi o wszystkim, o moich niedorzecznych podejrzeniach, o zapiskach Blanche, nie chciałem go jednak denerwować przed wieczorem. Poza tym pamiętałem, że kiedyś już pytałem go o Huntingtona i Blanche Avoy, ale wówczas mnie zignorował. Tym razem też wspomniął o tej sprawie tylko mimochodem.

Teraz zachowywał się tak, jakbyśmy wcale w nocy nie rozmawiali, a i ja nie byłem już pewien, czy ta rozmowa w ogóle się odbyła. Nie wiedziałem, gdzie kończyła się jawa, a zaczął sen. Ostatnim prawdopodobnym wspomnieniem było otrzymanie wiadomości o powrocie Huntingtona i nasza wieczorna kłótnia, kiedy sfrustrowani owym niespodziewanym pojawieniem się mecenasa obaj zawiedliśmy się na sobie wzajemnie w łóżku. Rozstaliśmy się w gniewie i...

No właśnie, co było dalej?

Od tamtej chwili minęło zaledwie kilkanaście godzin, nie byłem jednak w stanie przypomnieć sobie, co dokładnie się wydarzyło. Byłem pewien tylko

togo, że nasz koncert w zamku Huntingtona i pojawienie się tajemniczego śpiewaka i jego towarzysza, Arapaggia, były jakąś wizją albo snem.

Czułem jednocześnie ulgę, niepokój i zawód.

Tajemnicza historia Blanche Avoy i jej rycerskiego protektora Edgara Huntingtona wciągnęła mnie i urzekła, postać nieziemskiego śpiewaka jeszcze podsyciła moją fascynację i w pewnym sensie poczułem się zawiedziony tym, że nigdy go nie poznam, że nigdy nie usłyszę jego głosu i nie zobaczę jego oczu, które tak zaczarowały moją babkę. Musiałem jak najszybciej pozbyć się Lothara i zagłębić w zapiski Blanche, jeszcze zanim udamy się do posiadłości lorda.

Próba przebiegała wyjątkowo sprawnie i tak, jak zdarzało się nam w przeszłości, pozwoliliśmy unosić się muzyce przez długie godziny. Gdy mieliśmy już dosyć, pożegnaliśmy się chłodno i rozstaliśmy, żeby odpocząć w samotności i przygotować się do wieczornego koncertu.

Mimo że byłem zmęczony i głodny, zamiast zdrzemnąć się przed całonocnym balem, rzuciłem się na zapiski babki.

Londyn, 01.03.1812 r., niedziela

Minął zaledwie tydzień od wyjazdu Chiamarina, a ja już szaleńczo za nim tęsknię! Nie mogę doczekać się premiery i wyjazdu na letni sezon do Rzymu! Postanowiliśmy pojechać na południe, nie wiem jednak, czy sprawa jest aktualna.

Gdy Edgar dowiedział się o moim romansie z Chiamarinem, wpadł we wściekłość. Przez chwilę bałam się nawet, że dojdzie do rękoczynów. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby wpadł w taki szał, a wiedziałam przecież, że jest temperamentny.

Westchnąłem i przymknąłem książkę. Moja babka okazywała się ladaczną romansującą z kastratem. Piękny początek! Nie byłem pewien, czy chcę się dowiedzieć, co było dalej. Bałem się, że w miarę lektury przekonam się, iż jestem potomkiem Huntingtona Pierwszego. Myśl ta wydała mi się zabawna tylko przez moment, po czym zdjęła mnie zgroza. Czytałem jednak dalej.

Nie wiem, co mną powodowało. Przecież tak naprawdę moje uczucia były zupełnie gdzie indziej... Oprócz tego, że jestem platonicznie zakochana w Edgarze, zapalałam namiętnością do Aleksandra, tajemniczego śpiewaka, który jakże niespodziewanie objawił mi się na ostatnim przyjęciu. Chyba miałam dosyć nieustannych zabiegów o względy Edgara, który traktuje mnie bardziej jak

siostrę niż potencjalną kochankę. Dlaczego więc szalał, gdy Chiamarino zdradził mu nasz mały układ?

Zaczynam jednak plątać się w opowieści, muszę zacząć wszystko od początku.

Po lekcji, która odbyła się dwa dni po balu, zmieniło się moje spojrzenie na Chiamarina. Z niedostępnego gwiazdora stał się zwykłym, no, może nie zwykłym, ale cielesnym mężczyzną, zstąpił z piedestału i przestał być niebiańskim aniołem opery. Tak czule i delikatnie wyjawiał mi tajniki emisji głosu, tak nieśmiało strofował mnie, gdy popełniałam błędy! Wyszłam z jego kwatery jak niesiona lekką bryzą i nie mogłam się doczekać następnego spotkania, zaplanowanego na kolejny wieczór.

Gdy wróciłam do domu, Edgar już na mnie czekał. Od progu przyglądał mi się uważnie i podejrzliwie, po czym oznajmił, że udajemy się do studio Arapaggia. Byłam bardzo zmęczona, jednak perspektywa pozwania dodała mi nowych sił.

Arapaggio...

Słów kilka napisać muszę i o nim, zanim przejdę do dalszych wydarzeń. Niezwykłym i intrygującym jest on mężczyzną, jednak przez swój imponujący wzrost czy może przez nieokiełznaną burzę rudych loków sprawia wrażenie zimnego, niemal dzikiego człowieka.

Poczułem ukłucie niepokoju. Mężczyzna z mojego snu był wysoki, rudowłosy i groźny. Skąd w moich wyobrażeniach wziął się jego wizerunek, zanim przeczytałem ten opis?

Podobno ojcem jego był nieustraszony szwedzki wojownik, a matką włoska arystokratka, pojmana przez niego podczas podróży po północnej Rosji. Cóż za romantyczna historia! Lord zabawiał mnie nią, gdy ostatni goście opuszczali pałac po balu. Obserwując Arapaggia i Aleksandra podczas przyjęcia, nabrałam podejrzeń, że młodziutki śpiewak musiał również zostać pojmany przez Arapaggia, gdy ten podróżował po Włoszech. Arapaggio nie spuszcza z niego wzroku, nie pozwala mu się od siebie oddalić, zaiste, tworzą bardzo intrygującą parę...

Arapaggio zamieszkał w starym domu nieopodal, który lord kupił zeszłego lata i utrzymuje jako kwatery dla swoich co znamienitszych gości. Studio malarskie urządzone jest na poddaszu, a gdy wesliśmy, malarz pracował za sztalugami, kończąc portret Aleksandra.

W chwili gdy zobaczyłam mojego cudownego śpiewaka, serce zabiło mi mocniej. Leżał rozparty wygodnie na szezlongu, nie miał na sobie koszuli, rozpuszczone włosy niemal dotykały podłogi. Jakże był piękny! Westchnęłam chyba głośno na jego widok, a on tylko uśmiechnął się lekko, nawet nie drgnąwszy.

Arapaggio wychylił się zza sztalugi i skinął na chłopaka, a ten leniwie podniósł się z leżanki i unosząc z podłogi koszulę, oddalił się bez słowa. Mijając Arapaggia, zatrzymał się, objął go i namiętnie pocałował. Poczułam, że się rumienię, a serce we mnie zamarło. Ileż w tym krótkim pocałunku było pasji! Choć wszystko trwało tylko moment, zrozumiałam, że nie mam szans, że Arapaggia i Aleksandra łączy coś, czego być może jeszcze nie rozumiem, czego nigdy nie doświadczyłam. Skąd to wiedziałam? Po prostu ta myśl nagle pojawiła się w mojej głowie i pojęłam, że Aleksander nigdy nie będzie mój.

Zachciało mi się płakać, gdy siadałam na szezlongu, w zagłębieniu pozostawionym przez jego ciało, co przejęło mnie dreszczem rozkoszy. Arapaggio wykonał kilka szkieców, ale ja straciłam całą radość z pozowania. Piszę o tym krótko, gdyż do tej pory czuję zawód, że nie było mi dane poznać Aleksandra bliżej.

Chyba właśnie dlatego wdałam się w krótki romans z Chiamarinem. Pragnęłam poczuć pieśczoćy kastrata, poznać jego ciało i gdy tylko Chiamarino dotknął mnie po raz pierwszy, wyobraziłam sobie, że robi to Aleksander. I chociaż teraz wydaje mi się, że tęsknię za Chiamarinem, tak jak napisałam na początku, to tak naprawdę tęsknię za tajemniczym Aleksandrem, którego zamiastkę poznałam w objęciach innego sopranisty.

W tej chwili stało się dla mnie jasne, po kim byłem taki kochliwy. Z pewnością nie po rodzicach, którzy świata poza sobą nie widzieli. A moja babka, cóż... Podkochiwała się w trzech mężczyznach jednocześnie. Jej historia zaczęła mnie bawić, nie miałem jednak czasu na dalsze czytanie. W każdej chwili mógł się bowiem pojawić powóz lorda Edgara Francisa Huntingtona.

Trzeciego, jak mniemałem.

XVIII

Gdy kończyłem wiązanie krawata, Lothar wszedł bez pukania.

– Miałem nie fatygować się na górę – rzucił od progu – ale muszę powiedzieć ci coś ważnego.

Spojrzałem na niego w lustrze. Pod frakiem miał chabrową kamizelkę wyszywaną srebrną nicią. Włosy związał na karku. Był niezwykle przystojnym mężczyzną.

– Cokolwiek wydarzy się dzisiaj na przyjęciu, musimy dobrze wypaść – chodził nerwowo w tę i z powrotem, patrząc uważnie na swoje buty. Nowe, wysokie, do konnej jazdy, wykonane na zamówienie z lśniącej czarnej skóry, które stały się jego znakiem rozpoznawczym. Jak gdyby nie wyglądał wystarczająco charakterystycznie.

– Co masz na myśli, mówiąc: „cokolwiek”? – spytałem cicho, szarpiąc się z krawatem. Podeszedł do mnie i w kilku zręcznych ruchach go poprawił.

– Jak obaj wiemy, Huntington jest dosyć... specyficzny. Ekscentryczny, można rzec. Jego znajomi również. Rok temu także wybrał się na krótko do Włoch, a po powrocie przywiózł ze sobą... – Lothar wyduł usta, szukał odpowiednich słów. – Jego przyjaciele są równie specyficzni, co on, ot co.

– No i...? – spojrzałem na niego, sięgając po cylinder.

– Po prostu zrobmy to, co do nas należy, i zrobmy to idealnie, bez względu na wszystko, dobrze?

Nie odpowiedziałem.

Powóz był imponujący, nie przypominał jednak w niczym piekielnego karawanu z mojej wizji. Miał bogato zdobioną kabinę, ogromne koła i potężne sprężyny, zapewniające komfort jazdy. Siedzenia pokryte były czarną pikowaną skórą, para koni była zaś biała. Uśmiechnąłem się do siebie.

Wyjechaliśmy z miasta na południe i po trzech kwadransach powóz zboczył z głównej drogi w dębową aleję prowadzącą do posiadłości. Okazała się ona elżbietańskim zamkiem sporych rozmiarów, z wewnętrznym podwórzem i otoczonym wysokim murem parkiem angielskim. Posiadłość z pewnością była bardziej wyrafinowana niż zimna twierdza MacLowleya, jednak nie tak przytłaczająca jak zamek z mojego snu. Wjechaliśmy powoli przez bramę z kutego żelaza i powóz zatrzymał się na dziedzińcu, wśród innych pojazdów

i napływających gości. Jak dotąd wszystko wyglądało normalnie, grywaliśmy już w podobnych miejscach. Mimo to zacząłem się denerwować.

Gdy służba odebrała od nas cylindry i płaszcze, zaprowadzono nas do pokoju muzycznego, w którym stały potężny fortepian i harfa, a w kącie zamknięty klawesyn. Komnata mogła spokojnie pomieścić kilkuset słuchaczy i niewielką orkiestrę. Zorientowałem się, że kiedyś była tutaj kaplica. Na galerii dostrzegłem piszczałki organów.

– Tutaj jest najlepsza akustyka – Lothar położył futerał na klawesynie. – Najpierw gramy czy jemy? – spytał, zaczynając stroić skrzypce.

– Gramy – odrzekłem – Nie jestem w stanie niczego przełknąć, za bardzo jestem spięty.

Początkowo nie mogliśmy się zgrać i jeden utwór brzmiał gorzej od drugiego. Nasze nieme porozumienie gdzieś zniknęło i zacząłem panikować. Lothar odłożył skrzypce i usiadł przy mnie na ławce.

– Co się dzieje? – zapytał, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Czym tak bardzo się denerwujesz? Przecież to nic takiego, grywaliśmy już w takich miejscach, graliśmy dla tych ludzi, znamy większość z nich.

Gdybym tylko mógł wszystko mu wyjaśnić, gdybym mógł...

– Chcę stąd wyjść – szepnąłem. – Muszę wyjść, nie ma mowy, żebym dziś grał!

Uderzenie spadło na moją twarz niespodziewanie. Lothar uderzył grzbietem rozluźnionej dłoni tak, żeby zabolalo, ale nie zostawiło śladu palców. Zerwałem się z ławki.

– Nie pozwolę ci zniszczyć wszystkiego, na co tak ciężko pracowałem! – patrzył na mnie nienawistnie, ogień żądz, który znałem z jego spojrzenia, przeobraził się w ogień wściekłości. – Nie wiesz, co musiałem zrobić, żeby być tu teraz! Ty, paniczek z bogatego domu, cholerny plantator, urodzony po to, by zarządzać niewolnikami, by puszyć się i być ponad innymi! Zagrasz i zrobisz to lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, rozumiesz? – syknął.

Nie wierzyłem własnym uszom. A więc byłem dla niego tylko szczeblem drabiny, po której wspinał się do socjety. Lothar – mój kochanek, Lothar – dżentelmen, Lothar – sierota, Lothar – nikt... Moje najgorsze przypuszczenia co do jego osoby spełniły się właśnie w tamtej sekundzie. Powoli zamknąłem pokrywę klawiatury i spojrzałem mu w oczy.

– A jeśli nie zagram, to co? – spytałem, niemal nie otwierając ust. Wściekłość i gorycz zacisnęły mi dłonie w pięści.

– Jeśli zniszczysz ten wieczór, przysięgam, że cię...

– Wystarczy!

Obaj odwróciliśmy głowy. W drzwiach stał Huntington i przyglądał się nam przez zmrużone powieki. Jak zwykle wyglądał świeżo, wręcz promiennie, otoczony był jakąś poświatą, jak święci na obrazach jaśniejący na mrocznym tle.

Miałem ochotę się rozpłakać. Chciałem rzucić się w jego objęcia i łkać jak dziecko, skarżyć się na swój parszywy los, na to, że nikt mnie nie kochał, że przyjaciele okazywali się wrogami, że kochankowie mną pogardzali. Zamiast tego zacząłem się śmiać, coraz głośniej i bardziej histerycznie. Stałem się mistrzem użalania nad sobą, przecież oto tkwiłem w tym ociekającym złotem pałacu i miałem zagrać przed najznakomitszą publicznością, a tymczasem po raz kolejny byłem w swoich oczach ofiarą. Tylko czyją? Czego?

– Zostaw nas na chwilę samych, Lothar – Huntington zmaterializował się tuż przy nas, szepnął Lotharowi coś, czego nie dosłyszałem, po czym chłopak oddalił się, rzucając mi puste spojrzenie. Gdy drzwi zamknęły się za nim, lord posadził mnie na ławce i usiadł obok. Znów poczułem tę niedorzeczną, irracjonalną i niczym nieuzasadnioną miłość. Czy tak właśnie kochają psy, bez względu na wszystko?

– Ta posiadłość należy do naszej rodziny od pokoleń – głos Huntingtona był cichy i spokojny, nie patrzył na mnie. – Moi przodkowie intrygowali już na dworze Elżbiety, ich zbrodnie i knowania przykrył kurz czasu. Popadali w niełaskę, potem znów wracali na szczyt. Dostawali ziemie, tracili majątki, koło fortuny obracało się nieustannie – lord mówił automatycznie, jakby recytował wyuczoną regułkę. – Królowie się zmieniali, jednak moja rodzina trwała, czając się zawsze gdzieś w pobliżu tronu. Mój dziadek, Edgar Huntington Pierwszy, musiał za młodu uciekać z dworu Jerzego III. Dziadek był uczonym, alchemikiem, interesowały go szczególnie choroby umysłowe, które podobno potrafił skutecznie leczyć. Podróżował po całej Europie, przez jakiś czas przebywał też na południu Ameryki, w twoich rodzinnych stronach, gdzie zgłębiał kult voodoo, stąd tak wiele wiem o Ameryce, wnikliwie przestudiowałem jego dzienniki – spojrzał mi prosto w oczy, a mnie przeszedł dreszcz. – Gdy przebywał w Portugalii, zainteresował się nim ostatni generalny inkwizytor, Jose de Cunha. Ten z pewnością wiedział więcej na temat voodoo niż mój przodek, w końcu urodził się w Brazylii. Jestem przekonany, że miał na sumieniu grzechy o wiele cięższe niż ci, których tępił... – Huntington zrobił dramatyczną pauzę, po czym podjął: – Dziadek wrócił na dwór, a w ślad za nim podążyli przedstawiciele inkwizycji. I choć w Anglii pogardzano już w owych czasach przestarzałymi i okrutnymi praktykami inkwizytorów, mój dziadek

został wydalony z dworu, aby uniknąć międzynarodowego skandalu. Osiedlił się tutaj, zmieniając nazwisko. Porzucił swoje pasje i praktyki, w zamian poświęcił się sztuce.

Znów przeszedł mnie lodowaty dreszcz. Przypomniałem sobie, że jako dziecko przez przypadek podejrzewałem jakiś rytuał voodoo. Było mnóstwo krzyków, głośnej muzyki i krwi, a następnego dnia jedną z niewolnic wychłostano tak, że wkrótce po tym zmarła. Była to nabyta kilka miesięcy wcześniej przez mojego ojca kobieta z Haiti, miała bardzo duży wpływ na pozostałych niewolników. To był jedyny przypadek takiej kary na naszej plantacji. Przez kilka następnych miesięcy nie mogłem spać. Byłem jednak zbyt młody, aby wszystko z tego zrozumieć. Szkoda, że babka nie prowadziła pamiętnika także po przybyciu do Ameryki, pewnie dowiedziałbym się z niego więcej niż ze swoich fragmentarycznych wspomnień.

Huntington milczał, jakby czekał, aż dojdę do ładu z własnymi myślami, po czym opowiadał dalej.

– Edgar Francis Huntington Pierwszy szybko stał się znanym mecenasem. Mimo że był jeszcze bardzo młody, miał niezwykły zmysł odkrywania i pielęgnowania talentów. Wspierał muzyków, poetów i pisarzy, a szczególnie zwracał uwagę na malarzy, zwłaszcza portrecistów. Związał się mocno z włoskim malarzem znanym pod pseudonimem Arapaggio. Jego ekscentryczny syn jest dziś moim gościem. To także mój serdeczny przyjaciel. Chciałbym, abyście się poznali. Malował portrety wszystkich moich protegowanych. Lothar nie pochwalił się swoją podobizną?

Pochwalił się tylko tym, że ją zgubił...

Milczałem, analizując wszystko, co powiedział nasz protektor. Dlaczego mi to mówił? Usłyszałem to, co chciałem usłyszeć, wszystko, co mogło ukoić mój niepokój. Miałem wrażenie, że czytał w moich myślach, a przecież to, co mi opowiedział, było tak bardzo oczywiste i prawdopodobne.

– Dzisiejszy koncert jest ważny dla nas wszystkich – kontynuował lord, spoglądając na mnie. Byłem już spokojny i do tego stopnia odurzony jego głosem, iż gotów byłem przyjąć każde wytłumaczenie. – Dlatego chciałbym, abyście z Lotharem wypadli szczególnie dobrze. I jestem przekonany, że tak właśnie będzie. Lothar powiedział dziś zbyt dużo, ale wierz mi, ma do stracenia o wiele więcej niż ty.

Huntington wstał i ruszył w kierunku drzwi, za którymi słychać już było zniecierpliwionych gości.

– Nie zawiedźcie mnie. Zagrajcie tak, jakby od tego zależało... wasze życie

– dokończył, otwierając drzwi.

W ciągu kilku chwil tłum zapełnił kaplicę, a Lothar stanął obok, tuląc do siebie skrzypce. Patrzył na mnie przepaszająco i mimo kłótni, która zdawała się przekreślać nasze relacje, magia jego spojrzenia znów na mnie podziałała. Poczułem, że jeszcze wszystko się ułoży, że teraz nie możemy przegrać, nie możemy się wycofać.

Pozostało tylko zagrać.

Zagraliśmy, jednak nasza muzyka brzmiała jakoś inaczej. Była mroczniejsza, balansowała na granicy dysonansu i męczyłem się, próbując uchwycić jej dawną lekkość. Po chwili zrozumiałem, że nie ma do niej powrotu, i pozwoliłem poprowadzić się ciemności. Wygrywałem cały swój niepokój, wszystkie niedopowiedzenia, wszystkie kłamstwa, wśród których ostatnimi czasy błądziłem. Rozkosz stawała się pod moimi palcami zepsuciem, a tajemniczość – oszustwem. Lothar jednak zdawał się wyczuwać moje intencje i przeplatał moją melodię niskimi rejestrami skrzypiec, aż całość stała się tak bardzo przytłaczająca, że poczułem napływające do oczu łzy. Jednak po raz pierwszy od czasu, gdy zacząłem grać z Lotharem, czułem, że ta muzyka jest tylko nasza, że nikt nie prowadzi moich rąk, nie dyryguje mną. Wcześniej muzyka wprowadzała mnie w trans, odurzała, sprawiała, że traciłem kontakt z rzeczywistością. Teraz byłem boleśnie niemal świadomy ludzi nas słuchających, ich wzroku skupionego na naszych sylwetkach, świadomy śliskości klawiszy pod moimi wilgotnymi palcami, dźwięku mojego świszczącego oddechu, bólu pleców czy uciskającego mnie krawata. Odczuwałem każdy centymetr swojego ciała, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz, jakby moja cielesność za wszelką cenę chciała przypomnieć mi się właśnie w tej chwili.

Gdy skończyliśmy i w powietrzu wibrował jeszcze wydźwięk ostatniego akordu, zdałem sobie sprawę z tego, że publika milczała. Ludzie siedzieli bez ruchu, wpatrując się w nas, a ja bałem się odwzajemnić ich spojrzenia, gapiłem się na klawiaturę i nie bardzo wiedziałem, co dalej robić.

Aż nagle ktoś wstał i wyszedł z sali. Za nim inni wstawali i wychodzili bez słowa, a ja poczułem wszechogarniającą panikę. Serce zaczęło walić mi tak mocno, iż miałem wrażenie, że wyskoczy mi z piersi, wyobraziłem sobie nawet, że widzę je, jak rozrywa moją koszulę i kamizelkę, jak zakrwawione toczy się po parkiecie, podskakując dziko. Zacisnąłem oczy i oparłem czoło na dłoniach złożonych na klawiaturze, wydobywając z fortepianu cichy, nieharmonijny akord.

Sala tymczasem opustoszała i ostatni ze słuchaczy zamknął za sobą drzwi.

Spojrzałem na Lothara, który wyglądał tak, jakby miał zaraz zemdleć. Wpatrywał się w drzwi szeroko otwartymi oczyma, a skrzypce kurczowo przyciskał do piersi.

– Już po nas... – szepnął w końcu, tak cicho, że ledwie go usłyszałem. – Huntington nas zamorduje, każe nas potopić, tak samo jak...

– Co się stało? – spytałem, podrywając się z ławki. – Dlaczego wszyscy wyszli? Dlaczego nikt nic nie powiedział?!

– Nie wiem.

– Co teraz zrobimy? – zamknąłem pokrywę klawiatury. – Mam ochotę uciec. Jest stąd jakieś inne wyjście?

Drzwi otworzyły się i jeden ze służących poprosił nas o wyjście. Patrząc po sobie, niepewnie ruszyliśmy ramieniem do drzwi. Zanim stanąłem na progu, głośno przełknąłem ślinę. Miałem ochotę odszukać na moment dłoń Lothara, ale obiema rękami przyciskał do siebie skrzypce.

Wszyscy goście czekali na nas, a gdy stanęliśmy w drzwiach, ktoś nieśmiało zaklaskał, a po chwili cała sala rozbrzmiewała statecznym aplauzem. Nie było krzyków, gwizdów, omdleń i pisków. Nie byłem pewien, czy to dobrze, czy źle. Jakiś starszy mężczyzna wystąpił z szeregu i zakasławszy, by uciszyć oklaski, rzekł cicho:

– Takiej muzyki nikt z nas nie słyszał nigdy wcześniej. Nie byłem na nią przygotowany. Jestem jednakże koneserem i wiercie mi, cudowni chłopcy, dzisiaj wyprzedziliście swój czas. Od tej chwili już żaden utwór nie zabrzmi w moich uszach tak jak kiedyś.

Gdy jego słowa wybrzmiały, tłum jakby ożył i rzucił się na nas, tak jak zwykł czynić wcześniej. Huntington stał nieopodal ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, uśmiechając się tajemniczo.

Po raz kolejny triumfowaliśmy.

Wówczas jednak nie wiedziałem jeszcze, że był to nasz ostatni koncert.

XIX

Kolejne godziny upływały nam na przyjmowaniu gratulacji, jedzeniu i picciu. Szampan był wysmienity, a większości potraw spróbowałem po raz pierwszy. Kuchnia pałacowa specjalizowała się w serwowaniu najwymyślniejszych specjałów. Skosztowałem stworzeń leśnych i morskich, o których istnieniu nawet nie słyszałem. Przy stole bawiono się w rodzaj salonowej gierki, podczas której należało odgadnąć, jak wyglądało za życia stworzenie, które spożywaaliśmy. Mimo makabrycznego wydźwięku tej gry również panie zdawały się świetnie bawić. Goście Huntingtona byli bardzo liberalni.

W pewnym momencie gdzieś w głębi sali mignęła mi znajoma twarz, nie mogłem jednak skojarzyć, kim była dziewczyna. Gdy w końcu ją rozpoznałem, coś ścisnęło mi gardło.

To była Maggie MacLowley.

Spacerowała pod ramię ze swoim wiekowym narzeczonym. Bardzo jednak się zmieniła... Miała bladą, zmęczoną twarz, zapadnięte i podkrążone oczy, czego nie ukrył nawet mocny makijaż. Nie wyglądała na szczęśliwą pannę młodą, a przecież za kilkanaście dni miał odbyć się jej ślub, przekładany kilkakrotnie z powodu ogromu przygotowań. Panna była blada i smutna raczej jak wdowa. Spojrzała na mnie i skinęła głową, ale nie miałem odwagi poprosić ją o chwilę rozmowy.

Gdy w końcu udało mi się odciągnąć Lothara na stronę, był ponury jak chmura gradowa. Łudziłem się, że przeprosi mnie za swoje zachowanie w sali koncertowej, jednak zamiast tego wypalił bez zbędnych wstępów:

– Maggie straciła dziecko.

Poczułem się, jakby ktoś kopnął mnie w żołądek. Wszystkie egzotyczne stworzenia, które zjadłem, zdały się ożywać i próbowały wydostać z mojego ciała.

– Jesteś pewien? – zapytałem słabo, odruchowo postępując krok w tył.

– Rozmawiałem z nią w bibliotece.

– Ale dziecko? Czyje...? Nasze...?

– Nasze? Pewnie, że nasze, twoje lub moje! No chyba że puszczała się jeszcze z kimś innym! – syknął, a ja poczułem, że mam ochotę go uderzyć. Jednak był bezdusznym prostakiem.

– A Rochefourt?
– Co Rochefourt?
– Czy wie o tym, że była... przy nadziei? – zniżyłem głos do szeptu.
– Gdyby wiedział, leżelibyśmy już gdzieś na dnie Tamizy – Lothar wychylił duszkiem szampana i odstawił kieliszek na tacę przemykającego obok służącego w kolorowej liberii.

– Co teraz zrobimy? – spytałem bardziej siebie niż jego.
– Co zrobimy? Oczywiście nic. Zagramy na jej przyjęciu weselnym, tak jak to było zaplanowane. I będziemy udawać, że znamy się tylko z lekcji muzyki.

Poczułem żal i niesmak. Oto były pierwsze konsekwencje naszych hulanek. Margaret MacLowley w tajemnicy przed światem przeżywała swoją tragedię, a my tymczasem musieliśmy dodatkowo ją przybić, udając jedynie jej nauczycieli. Co jednak innego mielibyśmy zrobić? Nie mogliśmy ryzykować, że nasz romans wyjdzie na jaw. Gdyby ktokolwiek dowiedział się o tym, że jeden z nas był ojcem jej bękarta, żadna sława czy kariera nie uchroniłyby nas przed gniewem jej ojca i Rochefourta. Przez chwilę widziałem przed sobą starego MacLowleya, który w stroju z kraciastego tartanu wymachuje mi przed nosem jakimś średniowiecznym szkockim mieczem, niby William Wallace... Huntington był bogaty i potężny, ale oni również. Bałem się nawet pomyśleć, co wyniknęłoby z ich konfrontacji. I czy Huntington w ogóle stanąłby w naszej obronie?

Cudem było to, że nikt nie zorientował się, co tak naprawdę wyrabialiśmy podczas tych wszystkich lekcji! A może wiedzieli, ale zwyczajem socjety przymykali oko na skandal? Czy Huntington wiedział? Zaczęło mi się wydawać, że wszyscy widzą na wskroś moje myśli, przyglądają mi się z uwagą, czekając na najmniejsze potknięcie. Ignorowałem Maggie tym skuteczniej, chociaż kątem oka zauważałem, że próbuje zwrócić na siebie moją uwagę, gdy tylko Rochefourt pograżał się w konwersacji.

Przez długą chwilę podglądałem, jak on i jego narzeczona rozmawiają z pewną bardzo rzucającą się w oczy parą, której nie zauważyłem podczas koncertu. Wtedy jednak zauważałem raczej niewiele. Ale jak mogłem przegapić kogoś tak charakterystycznego? Czułem, jak krew odpływa mi z twarzy, a puls przyspiesza.

Mężczyzna był bardzo wysoki i rudowłosy, z grzywą kręconych loków związanych na karku w gruby węzeł. Wokół szyi miał okręcony jedwabny szal w kolorze maków i nie odstępował na krok swojej towarzyszki, przyciskał ją wręcz do swego boku, jakby chciał ją wchłonąć. Ona zaintrygowała mnie

jeszcze bardziej. Miała na sobie krwistoczerwoną suknię o obfitych, wyszywanych perłami spódnicach i bardzo obcisłym gorscie, z którego spienionych śnieżnobiałych koronek wypływały precudnie krągłe, niemal równie białe ramiona. Ukrywała twarz za wachlarzem z farbowanych na czarno strusich piór i wodziła za gośćmi ogromnymi, dramatycznie obramowanymi na czarno oczami w kolorze letniego nieba. Nie, to był kolor zielonkawej morskiej wody, w której odbijało się niebo. Tonąłem w tych oczach za każdym razem, gdy tajemnicza dama rzucała mi senne spojrzenie spod półprzymkniętych powiek, a robiła to wyjątkowo często. Jej towarzysz natomiast patrzył na każdego, kogo tylko zaszczycała spojrzeniem tak, jakby chciał go zabić na miejscu gołymi rękoma. Zwracałem uwagę na wszystkie te szczegóły, bo było w tych dwojgu coś, co bardzo mnie niepokoiło i pociągało zarazem. Może lekkość, z jaką wirowali w tańcu, może płynność ich ruchów, gdy sięgali po kieliszki. Przyłapałem się na tym, że zacząłem ich śledzić i w końcu spytałem Lothara, który nieco już się rozchmurzył i znów stał duszą towarzystwa, czy wiedział, kim byli.

– On? To przecież Arapaggio! Lord was jeszcze sobie nie przedstawił? – Lothar był już nieco wstawiony. – A ta kobieta... nie wiem. Ostatnio widziałem Arapaggia w towarzystwie młodego... – Lothar jakby ugryzł się w język, przyglądając im się ukradkiem. – Ale chętnie bym ją poznał, o tak, poznałbym ją dogłębnie... – westchnął, dopijając szampana i oddalił się chwiejnym krokiem. Pierwszy raz widziałem go wstawionego w towarzystwie, najwyraźniej nie bardzo wiedział już, co się działo.

W tym momencie Arapaggio spojrzał w naszą stronę takim wzrokiem, że zrobiło mi się zimno i odwróciłem się czym prędzej. Sięgnąłem po kolejny kieliszek szampana i wypilem go zbyt szybko, a potem następny i jeszcze jeden. Alkohol momentalnie uderzył mi do głowy i gdy dostrzegłem Huntingtona w towarzystwie tajemniczej pary, zmierzających w moim kierunku, było mi wszystko jedno, czy zostaną im przedstawiony, czy po prostu pozwoli mężczyźnie mnie udusić.

– A oto i mój drogi Armagnac... – lord spojrzał na mnie, uśmiechając się z przekąsem. – Jak widzę, znakomicie się bawi! A gdzież twój partner? Towarzystwo Arapaggia zawsze go onieśmiało, ale żeby chować się gdzieś?

Kobieta zachichotała prawie bezgłośnie, opuszczając wachlarz. Jej głowa okolona była misterną konstrukcją złożoną z mnóstwa złocistych warkoczy. Ile czasu układano tę fryzurę?

Spojrzałem na nią i niemal jęknąłem z rozkoszy, nigdy wcześniej nie

widziałem równie pięknej twarzy. Coś jednak było nie w porządku... Była bardzo wysoka, wyższa ode mnie o pół głowy, nie było tego jednak widać, gdyż przez cały wieczór jej rosły towarzysz nie odstępował jej na krok.

– Arapaggio, mój najdroższy przyjaciel, oraz jego towarzyszka, Alessandra Tasso.

Kobieta płynnym ruchem uniosła rękę okrytą białą, sięgającą łokcia rękawiczką. Miała bardzo szczupłą, smukłą dłoń o nienaturalnie długich palcach. Pochyliłem się i złożyłem na ich końcach delikatny pocałunek, bojąc się irracjonalnie, że Arapaggio wydobędzie zza pleców topór i zetnie mi głowę, nim zdołałem się podnieść z ukłonu.

– Nie dość, że grasz przepięknie, drogi chłopcze, to jeszcze masz poczucie humoru – usłyszałem głos, który choć nie był bardzo niski, miał w tle chrobot toczących się głązów. Uniosłem wzrok, Arapaggio patrzył na mnie, rozciągając wąskie wargi w uśmiechu. „Cóż za intrygująca twarz...” – pomyślałem, patrząc w jego oblicze pełne kontrastów, o delikatnym, wąskim nosie i mocno zarysowanej szczęce. Spod prostych czerwonych brwi przyglądał mi się zmrużonymi jasnozielonymi oczyma.

– Arapaggio... – szepnąłem, kłaniając się sztywno. – Alessandro... – nieśmiało zerknąłem na kobietę, która zdawała się ubawiona sytuacją. Poprawiała włosy ruchem pełnym nieświadomej gracji i ewidentnie naśmiewała się ze mnie zza wachlarza.

– Chłoń swój triumf, chłopcze – Huntington także uśmiechał się ironicznie. – Jutro odwiedzimy studio Arapaggia i będziemy mogli wszyscy spokojnie porozmawiać. A tymczasem nie zaprzataj sobie głowy nieistotnymi sprawami.

I to tyle. Odpłynęli w tłum gości jak wielkie egzotyczne motyle, a ja zostałem sam ze swoimi myślami.

Arapaggio...

A więc to on był synem tamtego Arapaggia, który namalował portret mojej babki? Obecny Arapaggio mógł mieć zarówno dwadzieścia, jak i czterdzieści lat. Niezwykle trudno było odgadnąć wiek osób o tak specyficznej urodzie. Nie był z pewnością starcem, nie mógł więc być tym samym malarzem, który pojawił się w zapiskach Blanche. Więc to, co Huntington powiedział mi przed koncertem, było prawdą.

Szampan buzował mi w głowie, która nagle wypełniła się wizjami Arapaggia zrywającego koronki z sukni swojej towarzyszki, z pewnością kochanki, zagłębiającego twarz w jej dekolcie. Usłyszałem dźwięczny śmiech kobiety, a przecież stałem sam w progu biblioteki, goście zaś odpływali do sali

balowej, gdzie zaczynała grać orkiestra.

Do końca wieczoru nie przełknąłem już ani kęsa, zamiast tego spiłem się haniebnie i zasnąłem na kanapie w jakimś pokoju gościnnym.

Gdy otworzyłem oczy, posiadłość pustoszała. Słyszałem, że goście rozjeżdżają się do swoich majątków lub wracają do miasta, a najbliżsi przyjaciele byli rozlokowywani w pokojach gościnnych.

Usiadłem na kanapie, głowa mi pękała, czułem suchość w ustach, a nogi miałem jak z waty. Ręce drżały mi w początkach delirium i wiedziałem, że jeśli natychmiast nie zasnę w jakimś wygodnym łóżku, wypiwszy przed tym wiadro wody, będzie tylko gorzej.

Coś poruszyło się w kącie, ale wziąłem to za pijacki zwid. Po chwili jednak z ciemności wyłonił się Lothar.

– Przepraszam za to, co powiedziałem wcześniej, ja nie...

– Daj spokój – zacząłem, obejmując głowę dłońmi. – Jutro i tak nie będę nic pamiętał, jestem okropnie pijany. Niedobrze mi... – pokój zawirował.

– Huntington jest z nas bardzo zadowolony – Lothar usiadł przy mnie. – Jutro ci to powtórzę, a w zasadzie dzisiaj.

– Która godzina? – spytałem tępo. – Muszę się położyć...

– Świta – Lothar wstał i wyciągnął do mnie rękę. – Mamy sypialnię na końcu korytarza, zaprowadzę cię.

Jakim cudem trzymał się na nogach? Zdawało mi się, że przez cały wieczór wypił zdecydowanie więcej niż ja, ale przecież nie przebywałem przy nim przez cały czas. Uwiesiłem się na jego ramieniu i ruszyliśmy korytarzem. W półmroku miałem wrażenie, że postacie z portretów uważnie mi się przyglądają.

Była to cała galeria twarzy, aż nagle dojrzałem znajome niebieskie oczy i gładko zaczesane kasztanowe włosy, twarz młodej kobiety zamazywała się jednak, a ja byłem zbyt chory, by poprosić Lothara o zatrzymanie się.

To był portret Blanche Avoy, byłem tego pewien.

Teraz jednak musiałem się położyć albo umrzeć, Blanche mogła poczekać. Czekala pół wieku, więc kilka godzin z pewnością nie robiło jej różnicy. Ja miałem wrażenie, że od tych paru godzin snu zależało moje dalsze życie.

Pozwoliłem Lotharowi podprowadzić się do ogromnego łóża, czułem, że zdejmuje mi buty i próbuje mnie rozebrać, ale zanim udało mu się zdjąć ze mnie choćby marynarkę, zasnąłem głębokim, niespokojnym, pijackim snem.

Tym razem moje sny nie miały nic wspólnego z rzeczywistością.

Byłem znów dzieckiem, przyglądałem się z zarośli rytuałowi voodoo, skryty bezpiecznie wśród liści młodych bananowców. Czarne, połyskujące w mroku

ciała zasłaniały mi częściowo widok, niektórzy niewolnicy mieli na sobie kolorowe stroje i maski ozdobione piórami, inni byli półnaczy lub ubrani we fraki i cylindry, z twarzami wymalowanymi groźnie na biało na wzór nagich czaszek. Stali w kręgu, a klepisko pokrywały skomplikowane wzory, które kapłanka mambo zraszała krwią miotającego się w jej dłoniach białego koguta. Na klepisku leżał nagi Huntington, miał otwarte oczy i zdawał się wpatrywać we mnie, a ja obserwowałem go z góry, jakbym unosił się nad tym makabrycznym spektaklem. Nagle ciało Huntingtona rozjarzyło się jakimś wewnętrznym blaskiem, po czym jego skóra zaczęła pękać, jak trawiona od środka żarem, a po chwili zapłonęła i całe ciało powoli szerniało, zamieniając się w kupkę popiołu, którą rozwiął wiatr. Niewolnicy przez cały czas śpiewali i krzyczeli, a gdy po Huntingtonie nie został nawet ślad, zaczęli tańczyć i wiwatować.

Obudziłem się z krzykiem, siadając na łóżku.

Lothar spokojnie spał obok mnie, jego gorąca dłoń dotykała pod kołdrą mego uda. O dziwo, głowa mnie nie bolała, ale okropnie chciało mi się pić. Rzuciłem się na karafkę wody, ustawioną na stoliku przy wezglowiu łóżka. Gdy ugasilem pragnienie, rozejrzałem się po pokoju.

Sypialnia była obszerna i w świetle dobiegającym zza ciemnych grubych zasłon zaciągniętych do połowy mogłem dostrzec wszystkie szczegóły bogato inkrustowanych i tapicerowanych mebli. Nad głową mieliśmy złoty brokatowy baldachim, ogromny marmurowy kominek był wygaszony. W pokoju było ciepło, odór naszego pijaństwa unosił się nieprzyjemnie w stojącym powietrzu.

Wstałem i podszedłem do okna, otwierając je na oścież. Widok na ogród był przepiękny, a rześkie powietrze poranka rozwiało resztki makabrycznego snu wraz ze strzępami mgły, unoszącymi się nad półdzikimi żywopłotami i trawnikami.

Zdjąłem pogniecione spodnie i koszulę, marynarkę zgubiłem gdzieś pod kołdrą, zarzuciłem na siebie karminowy szlafrok, postąpiłem kilka kroków po ciepłej drewnianej podłodze, której klepki ułożone były w misterne różnokolorowe wzory i z satysfakcją odkryłem luksusową łazienkę przylegającą do pokoju. Marzyłem o kąpieli, ale najpierw musiałem przywitać się ze swoją babką.

Wymknąłem się na pusty korytarz i ruszyłem wzdłuż niego, boso, przyglądając się portretom. Wszystkie były niezwykle realistyczne, każda fałda stroju, każda zmarszczka czy przebarwienie na twarzy były wyraźnie widoczne. To raczej niespotykane, gdyż portreciści zwykle starali się wyidealizować

swoich modeli. Tutaj nie, choć niektóre twarze były jednak wyidealizowane, o gładkiej, bladej, matowej skórze, lśniących włosach i świetlistych oczach, jak wizerunki świętych w kościelnych nawach. Jak... jak twarz Edgara Francisa Huntingtona. Jak twarz Arapaggia i Alessandry...

Odszukałem portret Blanche i długo mu się przyglądałem. To była moja babka, nie miałem wątpliwości. Wróciło do mnie wspomnienie zamykanego medalionu, który pokazała mi tylko raz. Był to ogromny, srebrny, ozdobiony roślinnym motywem wisior, w środku którego widniała miniatura przedstawiająca moją babkę w identycznym uczesaniu i pozie. Na drugim skrzydle zaś... Na drugim skrzydle widniał wizerunek Huntingtona. Czy na pewno Pierwszego? Co się stało z tym medalionem?

Wróciłem do sypialni, mijając krzątające się pokojówki. Nigdzie nie pozostał już nawet ślad całonocnego przyjęcia. Kiedy wszystko uprzątnięto? Musiałem spać jak zabity, skoro niczego nie słyszałem.

Dopiero teraz zauważyłem, że draperie na wszystkich niemal oknach były szczelnie pozaciągane i w korytarzu panował półmrok. Przypomniałem sobie o tajemniczej chorobie doskwierającej Huntingtonowi z przeszłości. Czyżby i nasz mecenas na nią cierpiał?

Uchyliłem drzwi i wszedłem z powrotem do sypialni.

Lothar nadal spał, zaczął nawet cicho pochrapywać. Z łazienki za to dobiegały odgłosy krzątania i po chwili pokojówka wyłoniła się w kłębach pary, a przemykając obok mnie, szepnęła:

– Kąpiel gotowa, proszę pana.

Zanim zdążyłem podziękować, zniknęła za drzwiami.

Przestałem już dziwić się temu, że moje życzenia spełniały się, zanim zdążyłem je nawet wypowiedzieć.

Zanurzyłem się w pachnącej, gorącej wodzie i pogrążyłem w rozmyślaniach. Musiałem poukładać sobie w głowie to, co wiedziałem; nie wiedziałem jednak do końca, co było faktem, a co moim rojeniem.

Prawdopodobna wersja wydarzeń musiała wyglądać następująco:

Popadły w niełaskę na dworze króla Jerzego Lord Edgar Francis Huntington Pierwszy osiedlił się w tej posiadłości i zajął mecenatem. Pewnej mroźnej zimy uratował moją babkę przed zbirami, tak jak to opisała w pamiętniku. Pod jego skrzydłami uczyła się języków, rozwijała talenty i korzystała z życia, romansując i chłonąc uciechy wielkiego miasta. Huntington przedstawił ją swemu przyjacielowi, portreciście o pseudonimie Arapaggio, który miał słabość do urodziwych kastratów. Musiała jednak znaleźć się w jego życiu jakaś kobieta,

skoro miał syna, obecnego tu malarza.

Zaborcza natura lorda Huntingtona sprawiła jednak, że moja babka uciekła do Ameryki, z gaskońskim wytwórcą trunków Louistem Marcatem, z którym potajemnie korespondowała. Huntington został w Londynie, gdzie przekazał swoją pasję do wspierania młodych talentów synowi, a ten z kolei swemu synowi, Edgarowi Francisowi Huntingtonowi Trzeciemu. Syn Arapaggia tymczasem również dorósł i przejął fach oraz pseudonim po swoim ojcu. I oto byli tutaj obaj, Huntington i Arapaggio, jakże podobni do swych przodków. No i co w tej historii było takiego niezwykłego? Że syn podobny był do swego ojca? Że odziedziczył jego pasję czy talent?

A jednak nie byłem usatysfakcjonowany tymi przemyśleniami, wcale mnie nie uspokoiły. Zaczynałem popadać w paranoję, w jakąś manię prześladowczą.

Po chwili jednak doszedłem do wniosku, że po prostu wszystko działo się zbyt szybko, moje życie zbyt gwałtownie nabrało rozpędu, a mój skostniały, rozleniwiony, amerykański umysł południowca nie nadążał za biegiem wydarzeń. Zimą byłem zubożałym, osieroconym arystokratą z kilkoma miedziakami w kieszeni, a nagle w ciągu kilku tygodni, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stałem się gwiazdorem salonów, otoczonym opieką jednego z najbardziej wpływowych obywateli Londynu, pławiąc się w luksusach i uwielbieniu kobiet. Dlaczego nie potrafiłem się z tego cieszyć?

Dlatego, że takie rzeczy się nie zdarzały. Życie nie mogło tak nagle się odmienić. Nie można było oszukać losu. Miałem wrażenie, że w każdej chwili mogę się obudzić i odkryć, że cały ten blichtr zniknął, że leżę w ciasnym łóżku w mieszkaniu ciotki, a zimowy wiatr hula za oknami, wdzierając się przez nieszczelne framugi.

Otworzyłem jednak oczy i ujrzałem misterne stiuki na suficie luksusowej łazienki. Drzwi uchyliły się i do środka wszedł zaspany Lothar. Lothar – mój partner, mój demon, mój kochanek, który nie zniknął nawet wówczas, gdy najmocniej bym sobie tego życzył.

W tamtej chwili jednak zapragnąłem go i potrzebowałem bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, a on, jakby po raz kolejny odczytując moje myśli, zsunął z siebie koszulę i spodnie, i ze znanym mi już dobrze szelmowskim uśmiechem wszedł do wanny, przygniatając mnie swoim ciałem.

Zatonąłem w jego objęciach.

XX

Dzień upłynął nam na snuciu się po posiadłości i ogrodzie, podziwianiu obrazów i raczeniu się potrawami, od których przez cały dzień uginały się stoły. Gospodarza jednak nigdzie nie było widać, ale niespecjalnie nas to dziwiło. Nikt o niego nawet nie pytał.

Służba przemykała bezgłośnie pod ścianami i w cieniach ogrodu, podsuwając nam kieliszki, odbierając puste talerze, zaścielając miękkimi poduszkami szezlongi, podając wachlarze i szykując kąpiele.

Dzień był wyjątkowo ciepły, zapowiedź wczesnego lata sprawiała, że wszystkim dopisywał humor. Kobiety wylegiwały się w cieniu, mężczyźni dyskutowali o polityce, ale głównym tematem był bal i nasz koncert. Wszędzie, gdzie się pojawiliśmy, witały nas ciepłe uśmiechy i powłóczyste spojrzenia, słowa uznania i pytania o dalsze plany. Lothar brylował, ja byłem bardziej wycofany. Uwaga ludzi była najmniej przyjemnym dla mnie aspektem naszego sukcesu.

Odsunąłem od siebie ponure myśli; rozwiały się w słońcu i wiosennym wietrze jak senny majak, o którym zapomina się wkrótce po przebudzeniu. Czuję się bezpiecznie, jakbym nigdy nie miał żadnych wątpliwości i obaw. Pozwalałem słońcu pieścić swoją twarz.

Omawialiśmy z Lotharem nasz nieodległy koncert i snuliśmy świetlane plany na przyszłość, pomijając jednak skwapliwie zbliżający się występ na przyjęciu weselnym Maggie, jakbyśmy zawarli niepisaną umowę, ustalili wersję wydarzeń, według której nic między nami nigdy się nie wydarzyło. Stopniowo obraz jej umęczonej twarzy zniknął sprzed moich oczu. Nie spotkaliśmy jej przez kilka godzin, co oznaczało, że rano odjechała wraz z Rochefourtem.

Zagubieni wśród labiryntu ogrodowych ścieżek, rozkoszowaliśmy się aurą wiosennego dnia. Zdałem sobie sprawę z tego, że dawno nie spędziłem tylu godzin na powietrzu. Ostatnimi czasy byliśmy aktywni raczej wieczorami i w nocy, mimo że Huntington był nieobecny i nie narzucał nam już takiego trybu życia. Budziliśmy się na kilka godzin dziennie, by rozkoszować wdziękami naszych uczennic w zaciszu sypialni o szczelnie zasłoniętych oknach. Nawet ten zwyczaj przejęliśmy od lorda.

Czułem się dziwnie beztrosko, a lekkie wino przyjemnie uderzało mi do głowy, niwelując zmęczenie całonocnego pijaństwa, nie płacząc jednak nóg i języka. Czułem, że odzyskuję wewnętrzny spokój, a jednocześnie byłem coraz bardziej pobudzony. Wydawało mi się, że spojrzenia kobiet stają się lepkie i powłóczyste, że ich dekolty robią się głębsze, a spod sukien wydostają się coraz śmielej pokaźne fragmenty łydek, kolan i ud.

Późnym popołudniem na polanę wpadła grupka konnych i stado gończych psów. Musieli wyruszyć na polowanie o świcie, że też mieli na to siłę... Wszyscy jednak byli bardzo młodymi chłopcami, a w tym wieku ciało wybaczało wszystko. Według ich zeznań okoliczne lisy nie miały cienia szansy. Jeden szczególnie przykuł moją uwagę, wysoki i muskularny, o wijących się ciemnych włosach, opadających na oczy. Zapach koni i psów oraz widok prężnych ciał młodzieńców, spoconych pod obcisłymi strojami, uderzył mi do głowy.

Wtedy to zdałem sobie sprawę z tego, że wszyscy goście, którzy pozostali w posiadłości, byli młodzi i piękni. W miarę upływu godzin coraz bardziej spoufalali się ze sobą i bez skrępowania okazywali sobie czułość. Kobiety ruszyły, by odważnymi pieścizotami i pocałunkami powitać wracających z polowania mężczyzn. Dłonie i usta spotykały się już jawnie, ciała stykały ze sobą, a ja patrzyłem na to wszystko z rosnącą ekscytacją. Atmosfera zaczęła niebezpiecznie zbliżać się do rozpasania i rozwiązłości.

Powoli zapadał zmierzch i ogród pustoszał, a goście po kolei znikali w swoich pokojach, by przebrać się i przygotować do wieczornego przyjęcia. Wraz z zapadaniem ciemności lokaje dyskretnie zapraszali wszystkich do sali balowej, gdzie mieliśmy spotkać się z Huntingtonem.

Gdy przekroczyłem próg, z początku nie rozpoznałem sali. Wypełniona była kanapami, poduszkami i przeróżnymi posłaniami, przypominała egzotyczny namiot wschodniego władcy. W powietrzu unosił się zapach kadzideł, z sufitu zwisały różnokolorowe moskitiery, niektóre całkiem przejrzyste i cienkie jak pajęczyny, skrywając częściowo posłania z miękkich jedwabnych poduszek.

Nikt nie musiał nam tłumaczyć, jakiego rodzaju zabawa będzie tu miała miejsce. W pierwszym odruchu postąpiłem krok do tyłu, ale w tej samej chwili poczułem rozkoszne mrowienie w łydźwiach i ciepło rozchodzące się od kroczka po całym ciele.

Na niektórych posłaniach już mościły się pary. Kobiety miały na sobie tak śmiałe suknie, jakich nie widywałem nawet na dziwkach w burdelach. Nie były jednak wulgarne, zachowały swój wdzięk, delikatność i arystokratyczne

maniery. Mężczyźni w koszulach i bryczesach, z rozpuszczonymi włosami, przyglądali się im z kątów sali, jakby wypatrywali ofiar. Ich oczy połyskiwały lubieżnie i chciwie w ciemności, rozświetlonej kilkoma zaledwie świecami rozmieszczonymi z daleka od draperii i moskitier.

– Oślawione orgie lorda Huntingtona... – Lothar szepnął do mojego ucha, muskając je wargami, czym sprawił, że zjeżyły mi się włosy na karku i poczułem drgnięcie między nogami. – Nikt o nich nie mówi, ale wszyscy na nie czekają. Mamy szczęście, wypijemy teraz nektar bogów z najponętniejszych i najśłodszych ust! To uczta dla wybranych.

Istotnie, gdzie nie spojrzałem, dostrzegałem coraz to apetyczniejsze krągłości, kształtniejsze biusty, smuklejsze nogi i prężniejsze mięśnie. Nigdy wcześniej nie widziałem w jednym miejscu tylu pięknych, młodych ludzi. I gdy tak chłonałem wzrokiem całą tę rozbuchaną młodość, z jakiegoś sekretnego przejścia wyłonił się gospodarz w towarzystwie Arapaggia i Alessandry. Na ich widok poczułem gwałtowny spazm rozkoszy, musiałem aż przysiąść na pobliskiej kanapie. Lothar usiadł obok, a w jego oczach już płonął ogień.

Huntington, z rozpuszczonymi włosami i w rozpiętej koszuli, powoli podszedł do ogromnego krzesła, przypominającego królewski tron, i stanął przed nim. Arapaggio niknął w cieniu, tylko jego potężna, obnażona pierś i rozwiane ognistorude włosy, upodabniające go do wikinga, połyskiwały w blasku świec. Przyciskał do siebie półnągą Alessandrę, której rozpuszczone loki okrywały kibić ściśniętą czerwonym gorsetem, a długie nogi znikły pod kusą spienioną spódnicą. Mogłem niemal dojrzeć miejsce, w którym jej krągłe uda zbiegały się ze sobą, i już to doprowadziło mnie niemal do szczytu.

– Nie muszę wam wyjaśniać, po co się tutaj zgromadziliśmy... – zaczął Huntington, na co odpowiedziały mu chichoty i potakiwania. – Mamy dzisiaj najlepszych nauczycieli rozkoszy – wskazał na ukrytą w mroku parę – którzy mam nadzieję zainspirują was do najśmielszych poczynań. Nie szcędźcie sobie pieszczot, eksplorujcie najskrytsze zakamarki swoich ciał, poznajcie niepoznane i nie cofajcie się przed niczym. Niech nic was nie onieśmiela, niech nic nie wydaje się wam zbyt wyuzdane czy wynaturzone. Tutaj nie ma żadnych granic, tutaj nie ma miejsca na wstyd. Dzisiejszej nocy możecie spełnić wszystkie swoje fantazje.

Po tych słowach Huntington rozsiadł się w fotelu, przerzucając nogę przez podłokietnik. Miał na sobie bardzo błyszczące, lakierowane buty do konnej jazdy, a w dłoni dzierżył palcat, którym zaczął się bawić, wodząc sennym wzrokiem po sali.

Tymczasem Arapaggio i Alessandra wypłynęli z półmroku i stanęli przed Huntingtonem, u stóp najokazalszego posłania. Mężczyzna poruszał się jak w zwolnionym tempie, odgarnął włosy kochanki z jej piersi, unosząc jedną dłoń ich garście do twarzy, drugą ręką przytrzymując dziewczynę w talii, aż ufnie odchyliła się na jego silne ramię, wydając z siebie długie, zmysłowe westchnienie. Zamknęła oczy i chłonęła pieśczętę włosów i ust, gdy wędrował nimi po jej twarzy i dekolcie.

Goście zaczęli się ożywiać, kobiety rozciągały się na posłaniach, a mężczyźni rzucali na nie chciwie, szarpiąc dłońmi i zębami koronki i jedwabie. Westchnienia i jęki stopniowo wypełniły salę, zagłuszając pobrzękiwanie egzotycznego instrumentu, na które wcześniej nie zwróciłem uwagi. Nie byłem w stanie nawet się poruszyć, pochłaniałem wzrokiem muskularne plecy Arapaggia i wijącą się pod nim Alessandrę. Huntington patrzył na nich spod przymkniętych powiek, gładząc końcówką palcata cholewę swojego buta.

Nagle Lothar jęknął przeciągle, a ja w przestraszu odwróciłem głowę w jego stronę i szok przez chwilę zapał mi dech w piersi. Jeden z myśliwych, chłopiec o wijących się włosach, nurkował twarzą między jego udami. Ten sam, na którego zwróciłem uwagę na dziedzińcu. Jak zahipnotyzowany patrzyłem na jego poruszającą się w górę i w dół głowę, na smukłe palce Lothara wplątane w czarne włosy i dłonie chłopaka, wbijające się w rozwarłe uda. A przecież sam robiłem to nie raz, zarówno biernie, jak i czynnie. To mogłaby być moja głowa, to ja mógłbym być instrumentem do zadawania rozkoszy. Poczułem palące ukłucie zazdrości.

Mimowolnie podniosłem się z miejsca i gapiłem na zaciśnięte usta i oczy Lothara, na podrygujące konwulsyjnie plecy chłopaka, który pojękiwał rytmicznie, jakby sam również był w ekstazie. Cofnąłem się i zahaczyłem stopą o splecione ze sobą ciała dwóch kobiet, niemal już nagie. Jedna z nich chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w dół, po chwili przykryły mnie sobą, zręcznie i szybko manipulując przy mojej kamizelce, koszuli i rozporku. Zanim jednak zdołały mnie rozebrać, wyswobodziłem się i odszukałem wzrokiem płonąca głowę Arapaggia, która przyciągała mnie jak magnes. Brnąłem niezdarnie w jego kierunku, co chwilę potykając się i wpadając w kłębowiska ciał, słyszałem swój własny przyspieszony oddech i czułem coraz to nowe dłonie przesuwające się po moim ciele, coraz to nowe usta wpijające się we mnie, gdzie tylko się dało. Zbliżyłem się do dwóch nagich chłopców chłoszczących trzeciego, stojącego z dłońmi związanymi na karku czarną jedwabną szarfą; zanim ich minąłem, otrzymałem kilka smagnień szpicrutą wśród nerwowych,

podnieconych chichotów.

Nie mogłem jednak się zatrzymać, musiałem dotrzeć bliżej Arapaggia i jego kochanki, i w końcu mi się to udało. Nie miałem już na sobie koszuli, a rdzeń mego pożądania wylał się z rozpiętych przez kogoś po drodze spodni. Alessandra spoczywała na plecach na poduszkach, białe ciało na tle kolorowych tkanin, gorset miała rozsznurowany, piersi okryte puklami, a Arapaggio leżał między jej udami, okrywając je gęstwiną swoich włosów. Gdy byłem tuż przy nich, zeszywniał i uniósł się znad ciała kochanki, rzucając mi swoje najgroźniejsze spojrzenie, po czym chwycił mnie mocarną ręką i położył na niej. Spojrzałem w jej lazurowe oczy i na usta wykrzywione drwiącym uśmiechem, jednocześnie czując dłonie mężczyzny na swoich plecach, jakby w ten sposób nakazywał mi ją posiąść. Dotyk fiszbinów gorsetu wbijających się w mój brzuch i miękkich włosów muskających moją pierś mącił mi zmysły. Alessandra chwyciła w obie dłonie moją głowę i przyciągnęła do swojej twarzy, wdzierając się językiem w moje usta, chciwie, jakby chciała mnie pożreć. Tak samo całował Lothar, łapczywie i niedelikatnie, tak samo całował Huntington.

Uniosłem się na rękach, odgarnąłem do tyłu jej włosy i usłyszałem, jak zaskoczenie zamienia mój jęk rozkoszy w urywany krzyk. Jej pierś była zupełnie płaska i gdy tak wpatrywałem się w nią w osłupieniu, poczułem, że coś ociera się o moje udo. Nie była to bynajmniej jej dłoń.

– Niespodzianka... – usłyszałem szeleszczący szept i w tym samym momencie poczułem, jak Arapaggio obnaża mnie i atakuje od tyłu. To było jak wbijanie na pal, ale równocześnie poczułem tak wielką rozkosz, że ręce ugięły się pode mną i opadłem na smukłe ciało, które sobie tylko znanym sposobem ustawiło się tak, że ja również mimowolnie zagłębiłem się w nim, zaciskając zęby w ekstazie.

– Uważaj, o co prosisz, chłopcze... – zagrzmiał Arapaggio, całując mnie brutalnie po karku, wbijając się w niego zębami, aż krzyknąłem z bólu i jednocześnie zawyłem z rozkoszy, dochodząc w ciele chłopaka. On natomiast śmiał się dźwięcznie, a jego śmiech mieszał się ze śmiechem Huntingtona, który przykucnął tuż przy nas i pochylił się nade mną, ujmując moją twarz w dłonie i całując mnie, tak samo jak wówczas, gdy zmusił Lothara do zespolenia się ze mną. I znów rozkosz była tak wielka, a mnogość bodźców tak wszechogarniająca, że byłem gotowy na śmierć. Gwałtownie pulsowałem jeszcze w chłopaku, Arapaggio brutalnie i jednocześnie rozkosznie mnie rozrywał, a Huntington całował żarłocznie. Byłem równocześnie w piekle i w niebie, poczułem, że odpływam, po czym nagle stałem się tak senny, że w ciągu

kilku chwil opuściła mnie świadomość.

XXI

Gdy otworzyłem oczy, po moich oprawcach nie było śladu.

Salę spowijała cisza, a kochankowie spali w swoich objęciach w najróżniejszych konfiguracjach. Mężczyźni obejmowali mężczyzn, kobiety przepłatały się tak, że czasami trudno było odgadnąć ich liczbę w kłębowisku pulchnych, krągłych ramion, nóg i piersi.

Lothar siedział obok mnie, nagi, spodnie miał przewieszane przez bark.

– No i zbudził się śpiący królewicz! – parsknął, poklepując mnie po policzku. – Dobrze się bawiłeś?

– A ty dobrze się bawiłeś? – odrzekłem gniewnie, odtrącając jego dłoń i unosząc się na łokciach. – Młody myśliwy wystarczająco ci dogodził?

– A i owszem – chłopak przeciągnął się. – A potem ja dogodziłem jemu. Następnie przybiłem do poduszek precudnej urody brunetkę o rozłożystych pośladkach, a przed chwilą pozwoliłem się wychłostać trzem niegrzecznym cherubinom, wyposażonym w palcaty i ubranym wyłącznie w oficerki – obrócił się, abym mógł dojrzeć czerwone, napuchnięte pręgi na jego plecach. – Tak, to był bardzo udany wieczór – dokończył, patrząc mi prosto w oczy.

Znów poczułem ukłucie zazdrości, a przecież sam szalałem z... no właśnie, z kim?

– A ty z kim się zabawiałeś, nie powiesz mi? Wybacz, byłem zbyt zajęty, żeby śledzić twoje poczynania. Teraz trochę tego żałuję... – Lothar wstał i zaczął naciągać spodnie, chwiejąc się na nogach. Jego nagość wydała mi się nagle groteskowa.

– Wpadłem pomiędzy Arapaggia i jego kochankę – wypaliłem bez ogródek, na co Lothar zatrzymał się w pół gestu i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Niemożliwe, naprawdę? – spytał, siadając z wrażenia. – Jak było?

– Nie wiesz? – odrzekłem z przekąsem, na co pokręcił przecząco głową.

– Nigdy nikogo do siebie nie dopuszczali, a może po prostu wszyscy bali się zaborczości Arapaggia... – dodał, uważnie mi się przyglądając.

– Kilka godzin temu nie był zbyt zaborczy, popychając mnie w jej ramiona. Czy wiedziałeś, że Alessandra jest chłopcem? – wytrzymałem jego spojrzenie. – Wyszedłem na głupka, zorientowałem się dopiero, gdy Arapaggio przygniótł mnie do jego ciała.

Lothar nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Nie wierzę! Naprawdę? – klepnął się po kolanach. – Niemożliwe! Dałbym się pokroić za noc z nią, a ty mi mówisz, że ona to on... Nie wytrzymam! – zaśmiewał się. – Chociaż mówiąc szczerze, nie robi mi to wielkiej różnicy. Opowiadaj, jak było? – zniżył głos do szeptu, a ja, równie już rozbawiony, zacząłem relacjonować mu wszystko z pikantnymi szczegółami. Jeśli do tej pory nie imponowałem Lotharowi, to teraz uczyniłem to z pewnością, wchodząc pomiędzy najbardziej nierozłącznych kochanków.

Wstaliśmy w końcu i poprzez labirynt ciał i poduszek dotarliśmy do wyjścia z sali balowej. Zbierałem po drodze porozrzucone ubrania, nie byłem nawet pewien, czy moje, i gdy dotarliśmy do drzwi naszej sypialni, miałem na sobie bryczesy i koszulę, kamizelka przepadła jednak bez śladu.

Czekała na nas kąpiel, na stoliku stał szampan w kubelku z lodem, pod srebrnymi kopułami na tacy w saloniku rozłożono zimne przekąski. Lord istotnie lubił rozpieszczać swoich gości. Tej nocy nie po raz pierwszy poczułem, że mógłbym już zawsze żyć w taki sposób.

Czekał na nas również lokaj z wiadomością, że mamy stawić się w głównej bibliotece za pół godziny. Spojrzałem na zegarek. Właśnie minęła druga, a to znaczyło, że do świtu pozostały jeszcze jakieś cztery godziny. Po szybkiej kąpieli przebraliśmy się w świeże ubrania, Lothar jak zwykle poprawił mi krawat, po czym udaliśmy się na spotkanie z lordem.

Gdy szliśmy korytarzem, mój towarzysz wskazał portret Blanche Avoy.

– To ta dziewczyna, o której ci opowiadałem – zaczął, ale przerwałem mu.

– Wiem, to Blanche Avoy. Moja babka.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Jak to twoja babka? – spytał, a gdy nie odpowiedziałem, ruszył za mną truchtem.

– Tak to. Czytałem jej pamiętnik, w którym pisała o lordzie Edgarze Huntingtonie i o jego przyjaciółach, malarzu o pseudonimie Arapaggio i jego kochanku, kastracie Aleksandrze.

Tym razem Lothar zatrzymał się i już nie ruszył z miejsca. Postąpiłem jeszcze kilka kroków, po czym obejrzałem się i zawróciłem.

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? – zapytał drżącym głosem, a w jego oczach odmalował się strach.

– A co miałem ci powiedzieć? Że podejrzewam, iż naszym mecenasem jest człowiek, który opiekował się moją babką pół wieku temu? Że jej portret namalował mężczyzna, który regularnie bawił na salonach zarówno w tamtych

czasach, jak i teraz? Że babka słuchała śpiewu kastrata, który podłożył mi się dzisiejszej nocy? Przecież to niedorzeczności! – wyrzuciłem ręce w górę, jakbym sam stracił do siebie cierpliwość. – Gdy przed koncertem lord został ze mną w kaplicy, wyjaśnił mi wszystko. Jego dziad, lord Edgar Francis Huntington Pierwszy, wyrzucony z dworu Jerzego, osiedlił się w tej posiadłości i od tamtego czasu mecenat przechodzi z pokolenia na pokolenie. A Arapaggio jest synem portrecisty, który namalował Blanche Avoy, dzielącym jak widać niezwykle upodobanie swego ojca do chłopców o określonej urodzie. Syn przejął po nim studio, pseudonim i słabość do złotowłosych kastratów. Ot, i cała historia. A w mojej głowie wynaturzyła się i wypełniła niestarzejącymi się chłopcami, którzy pół wieku temu uzależnili od siebie moją babkę, tak jak Huntington czyni to teraz z nami.

Dopiero teraz spojrzałem na Lothara, który był blady jak kreda i patrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma. Dolna warga mu drżała.

– Lothar, co się dzieje? – podeszedłem do niego, dostrzegłem drobne krople potu na jego czole. – Co się stało, Lothar?

– Nie było żadnego Huntingtona Pierwszego... – szepnął, chwiejąc się na nogach. – Lord wprowadził się tutaj przed pięciu laty. A wszystkie obrazy w tej posiadłości namalowała jedna osoba.

– Niemożliwe... – odrzekłem, czując przypływ gniewu.

– Czytałem zapiski Blanche Avoy – Lothar spojrzał w podłogę. – Lord także je czytał, gdy przynosiliśmy twoje rzeczy z mieszkania ciotki, zanim zostało sprzedane.

Nie bardzo wiedziałem, jak mam to rozumieć.

– Przeglądaliście moje rzeczy? – spytałem cicho, podeszedłem do niego i chwyciłem go za kłapy marynarki, zaciskając na nich kurczowo dłonie. – Wiedziałaś o wszystkim i nic mi nie powiedziałaś?

– On mi zabronił – Lothar próbował się oswobodzić, ale niezbyt stanowczo. – Zagroził, że jeśli ci powiem... Musieliśmy się upewnić, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

– Czyli kim?

– Wnukiem Blanche Avoy.

– Jestem wnukiem Blanche Avoy, i co z tego? – zdawało mi się, że wszystko nagle zrozumiałem, ale jednocześnie nie rozumiałem nic.

– Zapraszam do biblioteki, chłopcy – Huntington otworzył drzwi, do których nie wiedzieć kiedy dotarliśmy. – Armagnac, mój drogi, wejdz i uspokój się. Koniec niedomówień, za chwilę wszystko ci wyjaśnię.

Puściłem Lothara i półprzytomny z wściekłości wszedłem za Huntingtonem do wnętrza mrocznej biblioteki.

XXII

Regały z książkami stały przy wszystkich ścianach wysokiego pokoju. Okna, jak wszędzie, były szczelnie zasłonięte, a ciemność rozświetlała tylko jedna lampa ustawiona na gzymsie kominka, w którym pełgał nieduży ogień. Mimo tego mogłem dość wyraźnie dostrzec szczegóły umeblowania, które składało się z gigantycznego biurka ustawionego plecami do okna oraz kilku foteli i sofy obitych czarną skórą.

Przy kominku stał Arapaggio, a jego kochanek leżał niedbale rozparty na sofie. W męskim stroju zdał mi się jeszcze bardziej ponętny niż w kobiecym przebraniu i mimo targającej mną wściekłości z zażenowaniem poczułem spazm podniecenia. Chłopak zaśmiał się i posłał mi całusa, a na ten widok przez twarz Arapaggia przemknął ledwie zauważalny grymas.

– Siadaj, chłopcze – Huntington podprowadził mnie do jednego z foteli, Lothar zniknął gdzieś w cieniach przepastnego pokoju.

– Przestań w końcu tytułować mnie chłopcem, nie ty, przecież wyglądasz na młodszego ode mnie! – rzekłem bezradnie, czując, że ponownie tracę wątek, że nie wiem, co się dzieje i kto rozdaje karty. Huntington westchnął i usiadł w fotelu naprzeciwko mnie. Ciszę przerywało tylko trzaskanie polan dogasających w kominku.

– Blanche Avoy była miłością mojego życia – rzekł lord cicho, patrząc mi prosto w oczy. – Poznałem ją u schyłku 1811 roku, gdy mieszkałem w Londynie, podając się za świeżo upieczzonego absolwenta renomowanej uczelni. Uratowałem ją przed napastnikami, którzy próbowali ją obrabować, znasz tę historię z jej pamiętnika. W ciągu kilku chwil zachłysnąłem się jej młodością, wolą życia i niewinnością, bo byłem już wówczas wiekowym starcem, uwięzionym w ciele chłopca, które widzisz przed sobą.

Jak do tej pory wszystko się zgadzało, ale przecież była to wersja wydarzeń opisana w pamiętniku, który przeczytał. Słuchałem, chcąc i jednocześnie nie chcąc wierzyć w jego słowa.

– Blanche Avoy szybko poddała się urokowi życia w wielkim mieście. Dzięki moim pieniądzom stała się niezależna i rzuciła w wir rozrywek i romansów, a ja stałem się zazdrosnym, zaborczym potworem... – Huntington spuścił wzrok, a ja nie wiedziałem, co mógłbym na to powiedzieć. Gdzieś

wewnątrz targały mną sprzeczne uczucia, pragnąłem słuchać go i nie słuchać, rozwikłać w końcu tę zagadkę, która przecież musiała mieć jakieś logiczne wytłumaczenie.

– Do tej pory zadaję sobie pytanie, dlaczego nie pozwoliłem jej się uwieść, chociaż wiedziałem, jak bardzo mnie pożądała – Edgar zdawał się już mnie nie dostrzegać. – Gdy wspominał owe czasy, wydaje mi się, że nie chciałem odbierać jej przyjemności, jakie czerpała z życia. Kiedy ją poznałem, była urodziwą, lecz ubogą sierotą, a jej największym skarbem było czyste serce i to głównie w nim się zakochałem. Już na początku naszej znajomości podjąłem decyzję, że nie mogę skazać jej na wieczną ciemność, w której sam żyję, a gdybym odwzajemnił uczucie, tak właśnie by się skończyło. Tak samo jak w przypadku Arapaggia i Aleksandra, których miałeś okazję... dogłębnie poznać – Huntington spojrzął na stojącego przy kominku mężczyznę, który zaśmiał się bezgłośnie.

– Dla mnie decyzja była prosta – Arapaggio płynnym ruchem przemieścił się w naszą stronę, przysiadając na podłokietniku fotela Huntingtona. – Gdybym nie przeprowadził Aleksandra na drugą stronę, śmiertelna rana odebrałaby mi go na zawsze, odebrałaby mu zarówno krótkie, ludzkie życie, jak i perspektywę stuleci przy moim boku.

Pokręciłem przecząco głową, ale wzrok Huntingtona przykuł mnie nagle do fotela. Co – na miłość boską! – znaczyło „przeprowadzić kogoś na drugą stronę”? I o jakich stuleciach mówili?

– Cena, jaką płacimy za to, że możemy przez wieki chodzić po ziemi w bezpiecznych objęciach ciemności nocy... – zaczął Arapaggio patetycznym tonem.

– Zaraz, zaraz! – przerwałem mu, przenosząc wzrok na lorda, który zapadł się w fotelu. – Przez wieki chodzić po ziemi? W objęciach nocy? Co to za bzdury? – krzyknąłem, zrywając się z miejsca. – O czym wy, do diabła, mówicie? Co to za nowe gierki?

– Słodki chłopcze... – Aleksander nagle znalazł się tuż za mną, a cała buta natychmiast ze mnie uleciała pod dotykiem jego dłoni i włosów, które opadły na moją szyję. – Próbuje zrobić to najdelikatniej, jak tylko się da... – szepnął głosem, w którym zdawało się kryć sto anielskich głosów.

Huntington tymczasem włożył coś do mojej dłoni.

Rozpoznałem ten przedmiot natychmiast – to był medalion mojej babki, który pokazała mi tylko raz, gdy byłem berbeciem. Zapamiętałem jednak wizerunek Blanche znajdujący się w środku, miniatura była wyjątkowo udana,

każdy szczegół wyraźnie widoczny, mimo iż cała głowa nie była większa od monety. Pamiętałem też, że przyglądałem się twarzy na drugim skrzydle, twarzy młodego chłopca o rozwianych jasnych włosach i przenikliwych zielonych oczach.

– Namalowałem te miniatury ponad pół wieku temu – Arapaggio nie patrzył na mnie, tylko na medalion. – Namalowałem je na prośbę Edgara dla jego ukochanej Blanche.

W zaległej ciszy dosłyszałem nagle tykanie zegara, które zdawało się coraz bardziej zwalniać. Edgar odezwał się głosem pozbawionym emocji:

– Wiedziałem, że Blanche planuje ucieczkę do Francji, wiedziałem o jej epistolarnym romansie z Marcatem. Nie mogłem jednak ryzykować, że odbierze sobie życie, tak jak wielokrotnie groziła, że uczyni. Musiałem ją wyzwolić, musiałem pozwolić jej odejść, choć serce pękało mi z bólu.

Przyglądałem się wizerunkom bez słowa. To była twarz Huntingtona, tego, który siedział teraz przede mną i z rozpaczą opowiadał o tym, jak utracił miłość swojego życia. Skąd ten medalion wziął się tutaj?

– Podrzuciłem medalion do kufrów Blanche już zadekowanych na promie – lord odchylił się na oparcie fotela. – Lothar zabrał go z mieszkania twojej ciotki tuż po jej śmierci. Spałeś, gdy wkradł się na górę.

Pierwszy raz widziałem Huntingtona w takim stanie; cały jego majestat, cała moc, którą roztaczał wokół siebie, uleciały gdzieś i był tylko młodym, smutnym chłopcem, wspominającym dawną ukochaną.

– Nie wiem, kiedy Blanche go odnalazła. Opuściła mnie i nigdy potem już się nie spotkaliśmy. Zachowała jednak medalion, ojciec chciał przekazać ci go wraz z jej zapiskami.

W zaległej znowu ciszy usłyszałem ziewnięcie Aleksandra, zachowywał się tak, jak gdyby łązawa historia najzwyczajniej go nudziła. Arapaggio spojrzał na niego karcąco, na co chłopak tylko wzruszył ramionami, a niezrażony jego ignorancją Huntington kontynuował swoją opowieść:

– Targany nieustannym żalem, po latach postanowiłem wybrać się do Nowego Świata i ją odnaleźć. Moje pieniądze i koneksje, które wyrobiłem sobie przez lata na wszystkich kontynentach, bez trudu pozwoliły mi zlokalizować waszą rodzinną plantację. Obserwowałem Blanche z daleka i widziałem, jak żyje u boku męża. Widziałem, jak z troską pochyla się nad swoim jedynym dzieckiem, małą Marią Louisą. Patrzyłem z zazdrością, jak twoja matka dorasta, jak w końcu zostaje oddana Williamowi Jardineux. Nigdy jednak nie dałem twojej babce choćby cienia podejrzeń, że ją obserwuję, że

trzymam rękę na pulsie, że jestem jej aniołem stróżem. Wybrała takie właśnie życie i ja pozwalałem jej je przeżyć, choć wiedziałem, że mógłbym bez trudu roztrzaskać na kawałki jej poukładany świat. Nie chciałem jednak się mścić, gdyż wielokrotnie widziałem, że wspomina mnie ze łzami w oczach, ściskając w rękę ten właśnie medalion...

Huntington ukrył twarz w dłoniach, zmienił pozycję w fotelu, oparł łokcie na kolanach.

– Gdy urodziła się twoja starsza siostra, wróciłem do Londynu. Nie mogłem dłużej obserwować Blanche i jej rodziny, nie mogłem znieść tego, co robił z nimi upływający czas. Przede wszystkim jednak nie mogłem znieść myśli, że nigdy nie mógłbym dać jej tego samego: normalnego życia, dzieci, wnuków... Moi amerykańscy przyjaciele na bieżąco przesyłali mi raporty o tym, jak wam się powodziło, jednak mimo że los nie zawsze wam sprzyjał, nie interweniowałem – Huntington znów patrzył mi prosto w oczy. – Szalałem, gdy dotarła do mnie wiadomość o śmierci Blanche, nie żałowałem jednak, że nie było mnie blisko, gdy odchodziła. Z pewnością umarłbym razem z nią, tak przynajmniej wówczas sądziłem – mężczyzna w końcu spuścił wzrok i rzekł już spokojnym, wypranym z emocji głosem: – Pojechałem do Francji i przez jakiś czas obserwowałem starego Louisa Marcata, który wrócił do podupadających winnic. A potem wybuchła wojna, przez którą straciłem kontakt z tymi, którzy mogli informować mnie o losach potomków Blanche. Poza tym ona już nie żyła, a wraz z nią umarła jakaś częśćka mnie, częśćka, która miała nie ożyć przez wiele następnych lat.

Lord wstał i opadł na jedno kolano tuż przede mną. Chciałem się cofnąć, nie miałem jednak jak.

– Dopiero po latach otrzymałem informację o tym, że wnuk Blanche Avoy, niejaki Armagnac Jardineux, straciwszy cały majątek, osiadł w Londynie u swojej jedynej i ubogiej krewnej – rzekł cicho, a w jego głosie znów odezwały się te nieludzkie, niepokojące, hipnotyzujące echa. – Musiałem cię poznać, musiałem chociaż cię zobaczyć. A gdy to się stało, nie było już odwrotu. Poczułem, że się odradzam, jak wówczas gdy Blanche była przy mnie. Poczułem, że znowu potrafię kochać... Resztę historii znasz.

Milczałem, a w mojej głowie szalał huragan.

– Załóżmy, że to, co mówicie, jest prawdą... – zacząłem ostrożnie. – Czy oznacza to, że otoczyłeś mnie całym tym przepychem i opieką tylko dlatego, że jestem wnukiem Blanche Avoy?

Huntington westchnął zrezygnowany i podniósł się z klęczek. Poruszał się

ciężko, jak zmęczony człowiek, w swoim smutku stał się zwykły, taki sam jak ja czy Lothar. Było to jednak tylko złudzenie, wiedziałem o tym.

– To wszystko nie jest takie proste... – lord stał bokiem do mnie, zapatrzony w żar dogasającego kominka. Sięgnął po polano i rzucił je w stos żagwi, aż snop iskier pomknął w górę komina. – Jesteście tak bardzo do siebie podobni, a jakże różni... Gdy otoczyłem cię opieką, gdy wysłałem Lothara, by stał się twoim aniołem stróżem, gdy cię poznałem – zawiesił głos. – Gdy poznałem ciebie, a nie tylko wnuka Blanche, jej obraz w moich wspomnieniach stopniowo zaczął się zacierać. Teraz pozostało mi tylko wspomnienie miłości do niej. A najważniejszy stałeś się ty. Ty.

Wziąłem głęboki oddech, wciąż nic nie rozumiejąc.

– A to oznacza... – szepnąłem, oczekując jakichś dalszych wyjaśnień.

– A to oznacza, że podzielę się z tobą naszą tajemnicą, bo ani Blanche, ani jej córka nie miałyby siły jej udźwignąć. Dlatego pozwoliłem im przeżyć życie tak, jak tego chciały. Ty jednak, mój mały Armagnac, będziesz od teraz żył inaczej. Ty dasz radę ponieść ze sobą naszą tajemnicę. Sekret, który będziemy odtąd dźwigać razem.

Patrzyłem na niego, wciąż nie pojmując sensu jego słów.

– Nie rozumiem, o co chodzi... – zacząłem. – Chyba nie wierzę, że jesteś Huntingtonem, o którym pisała moja babka... To by oznaczało, że od ponad pół wieku nie postarzałeś się ani odrobinę...

– Właśnie to oznacza – Huntington znów odwrócił się w moją stronę. – Od ponad trzech wieków nie postarzałem się ani odrobinę.

– To... to nie jest możliwe... – wstałem, a serce zaczynało walić mi w piersi. Nagle poczułem, że za chwilę wydarzy się coś bardzo, bardzo złego, że jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Twój mecenas, lord Edgar Francis Huntington, przyszedł na świat w tym samym roku co Elżbieta – Aleksander przeciągnął się, wstał z sofy i zdjął seledynową kamizelkę, po czym zaczął podwijać rękawy koszuli. – Elżbieta I, ta królowa, pamiętasz ją? Ja nie pamiętam, bo urodziłem się zaledwie półtora wieku temu – nie spodobał mi się ton, jakim mówił, ani to, co robił. Spanikowany rozejrzałem się za Lotharem.

– Musimy... musimy już iść... – spojrzałem w ciemny kąt biblioteki, w którym Arapaggio przytrzymał Lothara tak, iż ten nie mógł się ruszyć. Lothar był blady jak ściana i zdawał się kompletnie nieprzytomny. – Lothar... – wychrypiałem, czując, że pot gwałtownie zalewa moje ciało. – Arapaggio, puść go, musimy już iść...

– Zaczynam tracić cierpliwość! – Aleksander wyrósł przede mną, a jego ogromne, jasne oczy nagle wydały mi się niesamowicie groźne. – Edgar, rusz się i miejmy to już za sobą! – syknął, a Huntington jakby z wahaniem podszedł do nas i ujął mnie pod brodę. Stałem jak skamieniały i w tej samej chwili poczułem, jak Aleksander unieruchamia moje ręce za plecami, jego uścisk był stalowy. To nie mogło działać się naprawdę, nie mógł obezwładnić mnie eunuch! Przecież jemu podobni byli niewiele silniejsi od kobiet, a tymczasem czułem, że nie mogłbym się wyswobodzić, nawet gdybym spróbował.

– Puść mnie! – warknąłem w końcu, szamocząc się, ale równie dobrze mogłbym przepychać się ze skałą. – Puszczaj! – krzyknąłem, a wówczas Huntington zakrył mi usta dłonią.

– Nie pozwolę ci odejść... – szepnął, a jego głos znów był tym zniewalającym głosem, który zacierał jasność mojego myślenia. – Zatrzymam was przy sobie na zawsze! – coś błysnęło w ciemności i z przerażeniem zauważyłem, że było to ostrze sztyletu, który przyłożył mi do gardła. Wrzasnąłem w jego dłoń, a łzy zaćmiły mi wzrok. Nie chciałem umierać, tak bardzo nie chciałem umierać! To musiał być jakiś koszmarny sen, z którego po prostu nie mogłem się obudzić!

Poczułem, że Aleksander zwalnia uścisk i upadłem na dywan, bezgłośnie szloch wstrząsał moimi ramionami.

– Nie róbcie nam krzywdy, błagam... – wydusiłem w końcu. – Nie chcę umierać, proszę, nie chcę... – poczułem do siebie odrazę, skamlałem jak ostatni tchórz.

– Mój słodki chłopcze, mój mały Armagnac... – Huntington ukląkł przy mnie. – Dopiero dzisiaj poczujesz, co to znaczy naprawdę żyć... – szepnął, zbliżając usta do mojej twarzy.

Nie wiem, skąd znalazłem w sobie siłę, żeby mu się przeciwstawić. Uniosłem głowę i dostrzegłem, jak Arapaggio wykonuje jakiś szybki ruch dłonią przy gardle Lothara, po czym pochyła się, podstawiając twarz pod tryskający strumień krwi.

– O mój Boże miłosierny...! – szepnąłem i półprzytomny ze strachu zerwałem się na równe nogi, jakimś cudem odepchnąłem Aleksandra, który usiłował uchwycić mnie w progu i pchnąwszy drzwi, wybiegłem na korytarz.

Rzuciłem się biegiem, aż dopadłem głównego wyjścia i chociaż nikt mnie nie gonił, pogałem w noc. Miałem w głowie tylko jedną myśl: „Oni zabili Lothara!”. Byli nie tylko rozpasanymi dewiantami, ale i zabójcami! Przypomniałem sobie ostrzeżenia kochanka, jego strach o własne życie i historię

Roberta Collinsa, którą mi opowiedział.

I stało się to, czego najbardziej się obawiał, Huntington pozbawił go życia, tak jak wcześniej zabił Collinsa! Czy to właśnie Arapaggio i Aleksander byli zabójcami, którzy poderżnęli Collinsowi gardło dwa lata temu? Na Boga, w co ja się dałem wplątać?!

Dobiegłem do głównej drogi i zatrzymałem się, rozglądając bezradnie. Nie bardzo wiedziałem, dokąd mógłbym uciec, czułem palący ból w gardle i między żebrami, a nogi zaczynały odmawiać mi posłuszeństwa. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi z wysiłku i strachu, mimo tego rzuciłem się drogą w stronę Londynu, tak przynajmniej mi się wydawało. Jak daleko było miasto? Czy po drodze znajdowały się jakieś zabudowania, w których mógłbym się ukryć?

Nie potrafiłem zebrać myśli, wiedziałem tylko tyle, że oddałem Lothara na pastwę tych potworów, że uciekłem jak ostatni tchórz, zostawiając go w ich rękach. Z pewnością już nie żył, wykrwawił się na tureckim dywanie, wśród pokrytych skórą mebli, wśród kryształów i obrazów...

Ale dlaczego? Dlaczego chcieli nas zabić? Przecież kilka godzin temu spleliśmy się w miłosnym uścisku, przecież Huntington był naszym mecenasem, naszym protektorem, naszym...

Gdy tak biegłem bez tchu, usłyszałem za sobą tętent kopyt i zanim zdążyłem uskoczyć na pobocze i przeskoczyć żywopłot, zwierzę naparło na mnie i upadłem, uderzając głową w ukryty w zaroślach głąz.

Świat zniknął.

XXIII

Obudziłem się w łóżku, którego nie znałem, w obcym pomieszczeniu.

Była to obszerna sypialnia, miała w sobie jednak coś niepokojącego i po chwili zorientowałem się, że nie było tutaj ani jednego okna, a masywne drzwi okuto żelazem, jak w średniowiecznym lochu czy więzieniu. Paliła się tylko jedna świeca na nocnym stoliku.

Próbowałem wstać, ale nie byłem w stanie nawet unieść się z poduszek. Podniosłem tylko dłoń i zorientowałem się, że mam obandażowaną głowę. Poza tym drugi nadgarstek i nogi miałem przywiązane do słupów łóżka. Widziałem to, jednak nie czułem.

– Co jest...? – szepnąłem, próbując bezskutecznie poruszyć jakąś częścią ciała, aby się uwolnić, ale nagły ból i zawroty głowy powaliły mnie z powrotem.

– Armagnac... – ktoś wypowiedział moje imię, ale nie rozpoznałem głosu. Był dziwnie metaliczny i jakby zdławiony.

– Kto tu jest? – krzyknąłem w mrok. – Pokaż się!

– To ja, Lothar.

Zaśmiałem się histerycznie.

– Lothar nie żyje! – wykrzyczałem w ciemność. – Pokaż się!

Z mroku powoli wyłoniła się znana mi sylwetka. To istotnie był on, ale przecież nie mógł nim być. Miał inny głos, a poza tym przecież nie żył, widziałem na własne oczy, jak go zabito.

– Armagnac... – postać zbliżyła się do łóżka, dostrzegłem białe włosy i czarne oczy, płonące w ciemności, jakby cały blask świecy był przez nie wchłaniany.

– Kim jesteś? – spytałem cicho. – Kim... jesteś...?

– Armagnac, *zum Teufel!* To naprawdę ja!

Wpatrywałem się w niego intensywnie. Wyglądał jak Lothar. Przeklinał jak Lothar. Ale to nie mógł być on...

– Widziałem, jak Arapaggio podrzyna ci gardło... – powiedziałem cicho. Tak bardzo pragnąłem, żeby to naprawdę był on...

– To nie była moja krew – odparł, postępując krok do przodu i siadając na brzegu łóżka. – Tylko jego.

– Rozwiąż mnie, kimkolwiek jesteś... – patrzyłem na niego i nie mogłem

uwierzyć w to, co widziałem. Był sobą i nie był sobą, jakby jakaś obca istota zamieszkała w jego ciele, a jednocześnie zdawał się tak bardzo żywy i realny...

– Zwariuję w tych pętach, rozwiąż mnie, proszę... Nie mam siły, by uciec, nie mam siły, by cię zaatakować – mamrotałem, zamknąwszy oczy.

– Byłeś nieprzytomny przez cały dzień, ale musieliśmy cię związać. Baliśmy się, że będziesz próbował uciekać, albo coś sobie zrobisz, jeśli tylko odzyskasz świadomość – chłopak sięgnął do mojego nadgarstka i zręcznymi ruchami rozwiązał szarfę, która mnie więziła. Tak samo zręcznie zawsze poprawiał mi krawat...

– Musieliśmy? – chciałem unieść uwolnioną rękę i zamachnąć się na niego, nie poruszyłem się jednak. – Jacy „my”?

– Edgar, Aleksander i Arapaggio.

– Ach tak – uśmiechnąłem się ponuro, a przynajmniej zdawało mi się, że się uśmiecham. Z trudem łapałem oddech, jakby ktoś siedział mi na piersi. – Więc teraz jesteście wy i ja?

– Tak, teraz jesteśmy my i ty, zanim zdecydujesz się do nas dołączyć.

– Dołączyć? – uniosłem nieco głowę, a przynajmniej usiłowałem to zrobić. To była twarz Lothara. Skórę miał bladą i jakby półprzezroczystą, dostrzegłem pod nią ciemne żyły. Czy to możliwe, żeby to naprawdę był on?

– Co oni ci zrobili? – wychrypiałem w końcu.

Milczał.

– Po co cię tu przysłali? Gdzie jesteśmy?

– To leże Huntingtona. Przywiózł cię nieprzytomnego z powrotem do posiadłości. Uderzyłeś się w głowę, uciekając.

To pamiętałem. Ale potem już nic.

– Pamiętasz, co powiedziałem ci po naszym koncercie u Huntingtona? O Maggie?

Tym razem ja się nie odzywałem.

– O tym, że straciła dziecko, pamiętasz? Nikt oprócz nas dwóch nie wiedział o tym. To ja, Armagnac, to ja...

Poczułem, że łzy napływają mi do oczu. To musiał być Lothar, to naprawdę był on.

– Lothar... – szepnąłem, na co uśmiechnął się i pochylił, aby mnie pocałować. To były jego usta, jego łapczywe, zachłanne pocałunki, chociaż miałem wrażenie, że tracę czucie w wargach.

Gdy odsunął się ode mnie, zacząłem płakać już niekontrolowanie, czułem łzy wypływające spod przymkniętych powiek. Ostatnimi czasy płakałem więcej

niż przez całe dotychczasowe życie.

– Pomóż mi się podnieść, głowa mi pęka – szepnąłem w końcu, otwierając oczy.

– Nie możesz się podnieść – odrzekł, a jego twarz wyrażała niesamowitą troskę. – Nie wstawaj.

– Dlaczego? – spytałem cicho, czując ukłucie niepokoju w piersi. – Dlaczego nie mogę wstać?

Patrzył na mnie przez moment, po czym delikatnie obrócił moją głowę na bok. Dostrzegłem na poduszce rozległą plamę krwi i szok przez chwilę był tak wielki, że nie mogłem wydusić słowa.

– Czy to... czy to moja krew? – spytałem w końcu, na co tylko pokiwał nieznacznie głową.

– Dlatego też musieliśmy cię przywiązać. Umarłbyś, gdybyś spróbował się podnieść pod naszą nieobecność. Bałem się, czy zastanę cię żywym. Ale jeszcze nie jest za późno – dodał, gładząc mnie po policzku, ścierając łzy, których już nawet nie czułem.

– Za późno na co? – patrzyłem mu prosto w oczy i mimo tego, że wzrok mnie zawodził, wiedziałem już, że to na pewno mój Lothar. Może po prostu już umarłem i spotkaliśmy się... gdzie?

– Przeprowadzimy cię na drugą stronę – odpowiedział i w tym samym momencie drzwi uchyliły się z dramatycznym skrzypieniem. – Błagam, nie walcz i nie opieraj się, nie mamy dużo czasu.

Poczułem, że pokój wiruje.

Gdy otworzyłem oczy, twarz Huntingtona była tuż nad moją, ale nie miałem siły, żeby zrobić cokolwiek. Czułem już tylko ciepło i lepkość krwi sączącej się z tyłu mojej głowy. Nie czułem natomiast nóg ani rąk i było mi przeraźliwie zimno.

– Edgar Francis Huntington... – szepnąłem. – Czy to ciebie kochała moja babka? – spytałem ledwie słyszalnym szeptem. – Czy to możliwe...?

– Możliwe, mój chłopcze – odrzekł tym swoim melodyjnym głosem. – Ale teraz nic już nie mów – dodał i uniósł sztylet do swojego gardła. To był sen, to musiał być sen... Poczułem jego palce rozchylające moje usta, a potem ciepły płyn lejący się po mojej brodzie i wargach. Jego smak przywodził mi na myśl światło, jakbym pił słoneczne promienie albo świeżą, nadmorską bryzę. Jakbym pił blask księżyca.

Jakbym pił samo życie...

Czułem, jak to nierealne ciepło rozchodzi się po mojej piersi, jak wpływa

do żołądka i głębiej, dalej, jak przenika mnie od wewnątrz i dodaje mi sił. Nie miałem odwagi otworzyć oczu, czułem czyjeś silne ręce unoszące moją głowę, unoszące mnie całego, a potem to niezwykle ciepło rozlało się po mojej czaszce, w miejscu, gdzie – wiedziałem już – znajdowała się śmiertelna rana. Mrowienie i gorąco oplotły moją głowę, a potem znów leżałem na plecach, a nad sobą widziałem rozmazane twarze, płonące oczy Huntingtona i Arapaggia, lazuruwe spojrzenie Aleksandra, a wszystko skąpane w rozbryzgach krwi, aż miałem wrażenie, że cały w niej tonę, czułem jej smak w ustach. Nie był to jednak intensywny, żelazisty posmak ludzkiej krwi, to było bardziej jak uczucie unoszenia się w toni wody w gorący letni dzień. Znów poczułem ten smak światła na języku, byłem przekonany, że tak właśnie musi smakować światło albo zapach kwiatów.

Nie wiem, jak długo to trwało, ale gdy otworzyłem oczy, wszyscy czterej spoczywaliśmy na łożu, do którego wcześniej byłem przywiązany. Wszędzie pełno było krwi, jak pierwszej nocy, którą spędziliśmy wraz z Lotharem z Maggie MacLowley. Nie mieliśmy na sobie koszul, a gdy się poruszyłem, próbując wydostać spod ich ciał, zawadziłem dłonią o rękojesc sztyletu.

Nie bałem się już jednak. Mimo makabryczności całej scenerii czułem, że wszystko jest w porządku, że tak właśnie ma być. Dotknąłem swojej głowy, nic mi nie dolegało, miałem jedynie włosy zlepione krwią. Moi towarzysze jednak nie poruszali się i zdawali się pogrążeni w głębokim śnie. Albo martwi.

Wówczas dostrzegłem Lothara, który siedział na podłodze, oparty o nagą kamienną ścianę, i przyglądał nam się szeroko otwartymi oczyma.

– Udało się! – rzekł, a jego głos znów należał do niego, a może to mój słuch się zmienił? – Udało się... – powtórzył, wstając. Podszedł do łóżka i pomógł mi wydostać się spomiędzy splątanych, skrwawionych ciał.

– Co się udało? – spytałem niepewnie.

– Przeprowadzili cię na drugą stronę.

– Czyli na którą? – w dalszym ciągu nic nie rozumiałem. Zdałem sobie nagle sprawę z tego, że ostatnie miesiące były wypełnione ciągłym brakiem zrozumienia i regularnymi utratami przytomności.

– Na naszą – odrzekł. – Na naszą stronę.

Przez długą chwilę przyglądaliśmy się leżącym na łóżku bezwładnym ciałom. Były białe, pokryte rozmazanymi smugami i plamami zastygającej krwi, wyglądały na zimne i sztywne.

– Czy oni żyją? – spytałem w końcu. Czułem, że za moment po raz kolejny odpłynę w niebyt, oczy same mi się zamykały i w końcu usiadłem, a potem

położyłem się na podłodze przykrytej miękkim, choć teraz zbrukany posoką dywanem.

– Żyją – Lothar oparł się o mnie. – Są po prostu bardzo, bardzo zmęczeni...
– dodał, zamykając oczy.

Świeca dogasała i nim zgasła zupełnie, obaj pogrążyliśmy się w głębokim śnie, z którego zbudzić nas miał dopiero zachód słońca gdzieś wysoko, ponad ścianami lochów.

XXIV

Otworzyłem oczy.

Leżałem na dywanie, oparty głową o nocny stolik.

Wiedziałem, że jest zupełnie ciemno, widziałem jednak wyraźnie każdy szczegół pomieszczenia, każdy słuź pod warstwą lakieru na drewnianych słupach łoża, każdą smugę krwi na pościeli, jarzącą się ciemną, brązowiejącą już czerwienią, kontury plam zaznaczone ostro na białych niegdyś prześcieradłach. Spojrzałem na swoje nogi i jak w powiększeniu dojrzałem splot materiału własnych spodni, a potem zarys swojej nagiej stopy. Skóra na niej była cienka i półprzezroczysta, a pod nią pulsowały ciemne żyły. Poczułem obrzydzenie i fascynację zarazem.

Kłębowisko ciał na łóżku poruszyło się i rozdzieliło na trzy postacie, jaśniejące w ciemności.

– Nie przypuszczałem, że to tak bardzo boli... – rozpoznałem głos Huntingtona, który brzmiał jak cały chór jego głosów mówiących unisono. – Dlaczego mnie nie ostrzegłeś? – Edgar lekko uderzył dłonią po potężnych plecach podnoszącego się z posłania Arapaggia. Jego włosy płonęły, zdawały się naprawdę stać w ogniu, jakby ktoś ukrył lampę za jego głową.

– Sprawdźmy, co z naszymi chłopiętami – zaszczebiotał Aleksander z całym chórem anielskich kryształowych głosów. Rozglądałem się w ciemności, szukając tych wszystkich osób, które mówiły razem z nim, choć wiedziałem przecież, że nie ma tu nikogo oprócz nas.

Lothar spał skulony na podłodze, jego plecy unosiły się w rytmicznym oddechu.

Huntington pochylił się nade mną, bacznie mi się przyglądając. Dotknął mojej twarzy, a jego dłoń była zimna jak lód.

– Czy to ma właśnie tak wyglądać? – spytał, odwracając się w stronę Arapaggia.

– Spokojnie – huknął malarz echem gregoriańskich chórów. Przysięgłbym, że tłum buczących mnichów schował się gdzieś za jego plecami. – To dopiero pierwszy etap przeprawy, będziemy kontynuować infuzję przez kilka nocy i wszystko się unormuje.

Rozmawiali o mnie tak, jakby w ogóle mnie tutaj nie było.

Aleksander tymczasem przyglądał się sobie z obrzydzeniem, bezskutecznie próbując zetrzeć z siebie krew.

– To obrzydliwe... – zaśpiewał, przegarniając palcami zlepione krwią włosy.
– Czuję się tak, jakbym miał na sobie swoje własne wnętrzności. Muszę się wykapać – rzekł, podchodząc do Lothara.

– Nie ma czasu, musisz poczekać, dopóki nie skończymy. Nie można ich teraz zostawić samych – rzekł Arapaggio tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Sprawdź, co z naszym pierworodnym – rzekł gdzieś w przestrzeń, a potem wrócił do obmacywania mojej twarzy. Huntington przez cały czas się nie odzywał, przyglądał mi się tylko z troską.

– Arapaggio... – szepnął Aleksander odwracając Lothara na plecy. Spojrzałem w ich stronę i zamarłem ze zgrozy. Twarz mojego przyjaciela była zapadnięta, a skóra cieńsza niż wcześniej, wyglądał okropnie, jakby ktoś wysysał z niego krew razem ze wszystkimi podskórnymi tkankami. – Arapaggio, pomóż mi – zawołał Aleksander, bez wysiłku unosząc bezwładne ciało i kładąc je na łożu. Odgarnął włosy z zasuszonej twarzy chłopaka, szybkim ruchem zerwał z niego koszulę.

Obserwowałem wszystko z rosnącym przerażeniem, ale jednocześnie byłem dziko podekscytowany i dziwnie spokojny. Nie poruszałem się.

– Infuzja była za mała, musimy szybko powtórzyć proces – Arapaggio usiadł okrakiem na ciele Lothara, odszukał w pościeli sztylet i pewnym ruchem wbił go w swoje gardło, a ja drgnąłem i poczułem, że pełzną do tyłu, aż plecami oparłem się o zimną ścianę.

– Spokojnie, Armagnac... – Huntington złożył mi dłonie na ramionach, przysłaniając widok. – Arapaggio nie robi tego pierwszy raz, wszystko będzie dobrze – wychyliłem się zza jego ciała, ciekawość była silniejsza niż strach.

Arapaggio tymczasem leżał na Lotharze, a zwiędłe dłonie chłopaka przyciskały go z całą mocą do wyprężającego się w pościeli wątego ciała. Słyszałem spazmatyczne jęki przyjaciela, przypominające odgłosy miłości, gdy przywarł rozwartymi ustami do rany w gardle mężczyzny i łapczywymi haustami wysysał krew. Mimo całej okropności tej sceny czułem rosnące podniecenie i ogień w żołądku lub w sercu, nie potrafiłem rozpoznać gdzie.

– Teraz zrobisz to samo – rzekł Huntington, unosząc z podłogi sztylet – Bądź delikatny, nie zrób mi krzywdy – dodał, nacinając głęboko własne gardło.

Żachnąłem się, ale w tej samej sekundzie poczułem, jak jego krew mnie woła, śpiewa do mnie jak mityczna syrena. Rzuciłem się na niego, zamknąłem go w żelaznym uścisku ramion, zauważając jeszcze, że były podobne

do zasuszonych członków Lothara, a gdy poczułem krew w ustach, zacząłem ssać łąpczywie, jęcząc głośno, a krew zdawała się płynną rozkoszą, wypełniającą nagle każdą komórkę mojego ciała.

Znów pojawiło się uczucie bezwładnego unoszenia w toni ciepłej, kojącej wody, znów pojawił się smak wiatru i słońca. Ekstaza była wszechogarniająca, ale jakże inna niż cielesna rozkosz, pełniejsza i delikatniejsza zarazem, nie potrafiłem porównać jej z niczym, czego kiedykolwiek doświadczyłem. Być może tak właśnie czują się nieświadome niemowlęta, bezpieczne i nieważkie w ramionach matek, przyssane do ciepłych, pachnących piersi... Tak, to było to, tak właśnie się czułem.

Otwierając oczy, dostrzegłem na zmianę twarze i miękkie włosy Edgara, Aleksandra i Arapaggia. Poili mnie i Lothara nektarami ze swoich gardeł, a my jak bezwolne dzieci wysysaliśmy z nich życiodajną krew. Mogło to trwać jedną noc, rok lub sto lat, zupełnie straciłem poczucie czasu.

Gdy w końcu oddali nam wszystko, co byli w stanie oddać, proces naszej przeprawy, jak określił to Arapaggio, dobiegł niemal końca, a role jakby się odwróciły.

Moc była teraz w nas.

Patrzyłem na odmienionego Lothara i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Stał przede mną półnagi, a jego ciało emanowało siłą i witalnością, każdy jakże dobrze mi znany mięsień wypełniony był jakąś trudną do zdefiniowania potęgą, rozświetlającą go jakby od środka. Włosy chłopaka, teraz zupełnie już białe, jarzyły się w ciemności, tworząc wokół głowy aureolę blasku, a czarne jak węgle oczy zdawały się świdrować mnie na wylot. Pochłaniał mnie wzrokiem, aż w końcu podszedł do mnie, a dotyk jego palców przeszył mnie dreszczem.

– Armagnac... – szepnął chórem głosów, jakby mówiło do mnie na raz kilkunastu Lotharów. – Jesteś taki piękny, jesteś tak niewymownie, nieopisanie piękny... – rzekł, zbliżając twarz do mojej twarzy, a gdy nasze usta się zetknęły, jęknąłem całym chórem jęków i zamknąłem go w objęciach.

Przez długą chwilę byliśmy tak pochłonięci eksplorowaniem własnych twarzy i ciał, że nie zauważyliśmy porzrzucanych po pokoju Huntingtona, Aleksandra i Arapaggia, którzy teraz gramolili się niezdarnie na nogi, próbując stanąć o własnych siłach.

– Umieram... – wychrypiał chór głosów Huntingtona.

– Nie możesz umrzeć – odrzekł Arapaggio, na co Aleksander zaśmiał się słabo.

– Spójrzcie, czego dokonaliśmy – rzekł i poczułem jego smukłe dłonie, odciągające mnie od Lothara. – Przyjdzie na to pora, chłopcy, ale teraz musimy doprowadzić się do porządku – rzekł, wieszając się na moim ramieniu. – Pomóż mi iść, Armagnac, czas odwdzińczyć się tatusiom – wskazał na Huntingtona i Arapaggia. – Czas poznać cenę mocy, którą wam przekazaliśmy.

To, co w tamtym momencie poczułem, nie było ukłuciem strachu, nie było przerażeniem, było czymś o wiele bardziej pierwotnym...

XXV

Asystowaliśmy sobie nawzajem przy kąpieli i ubieraniu się. Czułem się z nimi związany jak nigdy wcześniej, czułem miłość tak wszechogarniającą i naturalną, jaką noworodek musi odczuwać podświadomie do swojej matki. Tak właśnie się czułem, jak dziecko, jak maleńkie, nowo narodzone dziecko. Byłem najszcześniejszą, najspokojniejszą istotą na świecie, mimo lęku przed czymś koszmarnym, co miało za chwilę nastąpić.

Ekstaza i fascynacja otaczającym mnie światem były jednak silniejsze, a obecność moich towarzyszy tak ogromnie stymulująca, że gubiłem się w morzu atakujących mnie bodźców. Ostrość mojego wzroku była porażająca, widziałem wszystko wyraźnie jak w słoneczny dzień. Czy tak właśnie postrzegały świat koty albo drapieżne nocne ptaki?

Nie mogłem się powstrzymać od dotykania ciała Lothara, od unoszenia do twarzy całymi garściami mięsistych pukli włosów Aleksandra, odważyłem się nawet zbliżyć do Arapaggia w obliczu fal czułości, jakimi co chwilę mnie zalewał. Już nie wydawał mi się groźny, stał się moim ojcem i bratem jednocześnie.

Huntington tymczasem był do łez niemal wzruszony, trzymał się na uboczu, obserwując dzikie harce, jakie wyprawialiśmy z Lotharem. Zachowywaliśmy się jak szczenięta, które dopiero otworzyły oczy i odkrywały siłę swoich zębów. Dotykaliśmy wszystkiego, wączaliśmy, ocieraliśmy się o tkaniny i meble, studiowaliśmy wzory na parkiecie i dywanach. Oglądałem obrazy Arapaggia i odkrywałem na nich coraz to nowe szczegóły, których wcześniej nie dostrzegałem. Nie kontrolowałem wybuchów śmiechu, mój głos brzmiał tak samo jak ich głosy, jakbym był chórem złożonym z samych mnie.

Dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, że zamek zupełnie opustoszał. Nie było już gości, nie było służby, zostaliśmy całkiem sami. Gdy już zaspokoiliśmy pierwszą ciekawość, a nasi mentorzy, odziani w świeże ubrania, zaczęli odzyskiwać siły, usiedliśmy wszyscy w bibliotece, która wyglądała tak, jakby żadna krew nie została nigdy w niej przelana.

– Jesteście moimi pierwszymi synami – zaczął Huntington, przechadzając się przed nami. Lothar i ja zostaliśmy jak uczniacy posadzeni obok siebie na kanapie, a Arapaggio i Aleksander pilnowali, żebyśmy co chwilę nie zrywali

się z miejsca.

– Poprosiłem Arapaggia, który przeprowadził Aleksandra półtora wieku temu, aby mi pomógł. Chciałem, żeby wszystko się udało, nie mogłem ryzykować, że was utracę... – spojrzał na nas z dawną intensywnością, którą teraz odbierałem jako czułość. – Proces nie zawsze się udaje. Gdy ciało jest zbyt słabe, gdy umysł stawia opór, wówczas infuzja musi być obfitsza, a i to nie gwarantuje sukcesu. Gdyby nie pomoc moich przyjaciół, Armagnac nie przeżyłby.

Wstrząsnął mną dreszcz. Przed chwilą byłem o krok od śmierci, a przecież teraz czułem się bardziej żywy niż kiedykolwiek wcześniej.

– Ale co wyście nam zrobili? – spytałem i nie mogąc się powstrzymać, zerwałem się z miejsca, chwyciłem twarz Edgara w dłonie i pocałowałem go, rozkoszując się nowym smakiem jego ust, nową intensywnością jego dotyku. Pozwolił mi na tę pieszczotę, po czym cierpliwym gestem usadził mnie z powrotem na sofie.

– Podzieliliśmy się z wami mocą, która pozwala nam przez wieki zatrzymywać w naszych ciałach młodość i witalność – Huntington przygładził włosy, które mu rozczochrałem. – Daliśmy wam siłę i potęgę nieznaną ludziom, pozwalającą sprawować nad nimi władzę – dodał, uśmiechając się. – Pozwalającą nam na rząd dusz, dzięki któremu cieszymy się szacunkiem, wpływami i bogactwem.

Słuchałem zafascynowany, wierzyłem już w każde jego słowo, ale jednocześnie coś co chwilę odwracało moją uwagę: świeże kwiaty wazonie, zdające się rosnąć na moich oczach, pełganie płomieni gazowych lamp, zdających się szeptać w półmroku, wzór na adamaszku krzesła stojącego za biurkiem. Aleksander parsknął co chwilę tłumionym śmiechem, widząc moje roztargnienie.

– Nie wszyscy z nas żyją jednak w ten sposób. Jest wielu, którzy pozostają w ukryciu, ceniąc sobie swoją prywatność.

– Ale kim jesteście? – Lothar dotknął mojej dłoni, zamierając w oczekiwaniu na odpowiedź. – Kim my jesteśmy... – dodał ciszej, ściskając moje palce.

– Nie mamy nazwy na istoty, którymi jesteśmy, którymi wy się stajecie – zaczął Arapaggio. – Chociaż ludzkość przez wieki nadawała nam różne przydomki, ze względu na efekty działań tych z nas, którzy byli nieostrożni, bezzmyślni lub szaleni.

– Efekty? – zacząłem być podejrzliwy. – Jakie efekty?

– Cena mocy, którą wam podarowaliśmy, jest wysoka – Aleksander uśmiechnął się smutno. – Początkowy zastrzyk naszej krwi, którą poiliśmy was przez ostatnie noce, nie wystarczy, żeby utrzymać wasze ciała w stanie, w jakim są obecnie.

Nagle przypomniałem sobie wpis z pamiętnika Blanche, obraz Huntingtona, który wyłonił się z ciemnego zaułka, przykładając chustkę do splamionych krwią ust.

– Co stało się ze zbirami, którzy zaatakowali Blanche Avoy? – spytałem cicho, ale wiedziałem już, jak zabrzmie odpowiedź.

– Zabiłem ich – Huntington spojrzał mi prosto w oczy. – Poderżnąłem im gardła i wysysałem krew z ran tak długo, aż razem z nią wchłonąłem w siebie ich życie.

Poczułem zawroty głowy i jednocześnie przypływ pragnienia, pożądania i siły; wszystko to mieszało się we mnie i spowodowało, że poczułem chęć mordy. Tak jak wówczas, gdy obserwowałem chłostę niewolnicy na naszej plantacji. Chociaż miałem zaledwie kilka lat, okrucieństwo nadzorcy rozbudziło okrucieństwo we mnie, pragnąłem wyrwać mu pejcz i sam zadawać razy, słyszeć, jak rzemień przecina skórę.

– Nasze życie karmi się życiem ludzi – Huntington usiadł w fotelu naprzeciwko nas i przenosił wzrok ze mnie na Lothara. – Życiem, które wraz z krwią musimy im odbierać.

Zapadła cisza.

Aleksander ziewnął i tym razem tak mnie to rozbawiło, że parsknąłem śmiechem.

– Tylko człowiek, który będzie w stanie regularnie zadawać śmierć innym ludziom, może zostać przeprowadzony na drugą stronę – Edgar był śmiertelnie poważny, więc i ja się uspokoilem. – Morderstwo w teorii wygląda czasem kusząco, szczególnie jeśli pozbawiamy życia niegodziwców. Teoria nie ma jednak nic wspólnego z praktyką. Jeśli niewłaściwy człowiek zostanie przeprowadzony na drugą stronę, nie jest później w stanie odbierać życia i sam wkrótce umiera, nie potrafiąc zasilać mocy w sobie.

Spojrzałem na Lothara, którego oczy rozjarzyły się dawnym dzikim ogniem.

– Czy to ty zabiłeś Roberta Collinsa? – spytał zimnym głosem, świdrując Huntingtona spojrzeniem.

Lord przez chwilę milczał, po czym westchnął ciężko.

– Pomyliłem się co do niego – rzekł cicho. – Collins był zbyt słaby, by udźwignąć to brzemie, a ja popełniłem błąd, wyjawiając mu zbyt wiele.

Za szybko mu zaufałem. Nie mógł odejść z wiedzą, jaką posiadał na mój temat. Zagroził, że wyda mnie przed tobą albo że zabierze cię gdzieś, gdzie nigdy was nie odnajdę. Na to nie mogłem mu pozwolić.

Lothar milczał, spuściwszy wzrok.

– Kochałem go... – szepnął po chwili łamiącym się głosem.

– Nie, nie kochałeś go – odrzekł Huntington z mocą. – Zdawało ci się tylko, bo był dla ciebie dobry, wyciągnął cię z rynsztoka. To nie była miłość, tylko wdzięczność.

Lothar chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Wstał i podszedł do okna, rozchylił zasłony i spojrzał w rozgwieżdżone niebo. Obserwowaliśmy go bez słowa.

– Nie można zmienić przeszłości – rzekł w końcu, odwrócony do nas tyłem. – I zbyt mocno cię kocham, by mieć do ciebie teraz pretensje za śmierć Collinsa. Dałeś mi nowe życie i chcę jak najszybciej poznać, czym ono jest. Nigdy nie byłem człowiekiem patrzącym w przeszłość. Moja przeszłość to sieroctwo, ubóstwo i przymieranie głodem – odwrócił się i podszedł do Huntingtona. – Ty wymazałeś moją przeszłość, mimo że stało się to bardzo wysokim kosztem – niespodziewanie zamachnął się i wymierzył Huntingtonowi siarczasty policzek. Trzask uderzenia rozległ się w ciszy jak grzmot, a lord zachwiał się na nogach, odruchowo chwytając się za twarz. – Jesteśmy kwita, ojciec – chłopak uśmiechnął się jadowniczo, a Edgar, odzyskawszy równowagę, oplótł go ciasno ramionami.

Jakieś intensywne wzruszenie ścisnęło mi gardło.

– A teraz zabierz mnie do kogoś, kogo ja mógłbym zabić... – usłyszałem głos Lothara gdzieś spod włosów lorda i dreszcz ekscytacji przebiegł po moim kręgosłupie.

XXVI

– Jak wszystkie nocne istoty, unikamy światła dnia – Huntington instruował nas przez całą drogę do stajni. W posiadłości nie było nikogo, kto mógłby przygotować nam powóz, musieliśmy zrobić to sami. – Blask słońca osłabia nas fizycznie i zaćmiewa nasze umysły. Doświadczyliście już tego, poczuliście niemożliwą do opanowania senność. Tak się dzieje zawsze o świcie, choć nikt z nas nie wie dlaczego.

Zapach koni był intensywny i bardzo przyjemny, wszedłem do boksu i przytuliłem się do końskiej szyi. Zwierzę nie protestowało.

– Stopniowo przestaniecie odczuwać głód i pragnienie – kontynuował lord, wyprowadzając wierzchowce. Arapaggio mu pomagał, a Aleksander stał oparty o ścianę boksu i zaplatał włosy w warkocz, jakby nie zamierzał zniżyć się do jakiegokolwiek fizycznej pracy. Na widok tańca jego dłoni puściłem konia, rzuciłem się w stronę chłopaka i zatopiłem twarz w jego włosach, na co pozwolił mi ze śmiechem.

– Chcę cię pocałować – szepnąłem, przywierając do niego całym ciałem, na co również zezwolił mi, machnąwszy od niechcenia ręką. – Jesteś taki piękny... Nigdy nie widziałem równie pięknej istoty...

Arapaggio stracił cierpliwość i odciągnął mnie za kołnierz marynarki, jakby chwycił za kark niesforne go psiaka.

– Wystarczy, chłopcze – strofował mnie, ale nie było w jego głosie złości.

Czy Lothar również odczuwał wszystko tak intensywnie? Czy również czuł potrzebę nieustannego dotykania, wączania i smakowania świata wokół siebie?

Korzystając z tego, że Huntington i Arapaggio zajęci byli wyprowadzaniem na podjazd powozu, rzuciłem się na Lothara i obaliłem go na siano przy wtórze śmiechu Aleksandra.

– Lothar, muszę cię natychmiast mieć! – gruchałem w jego szyję, szarpałem jego koszulę, aż dostałem się do ciała, czując jego twardość i siłę w nim drzemiącą. Błądziłem ustami i językiem po jego piersi, jakbym chciał go zjeść. Byłem w amoku.

Lothar był tak samo niecierpliwy i po chwili spleśliśmy się półnaczy, ze spodniami owiniętymi wokół kostek, wrzeszcząc niemal z rozkoszy, tak bardzo intensywna się stała. Świadomość tego, że Aleksander stoi tuż obok

i przygląda się nam, była dodatkowo stymulująca i nie minęła chwila, a szczytowałem w ciele Lothara, który wił się z rozkoszy pode mną, zagrzebany do połowy w sianie.

Gdy upadliśmy bez tchu, zdałem sobie sprawę z tego, że nie odczułem spełnienia, satysfakcji, jaka zwykle rozlewała się w takich chwilach po moim ciele. Pragnąłem czegoś innego, pragnienie paliło mnie w piersi i początkowo nie mogłem pojąć, co to było, aż w końcu zrozumiałem.

To musiało być pragnienie ludzkiego życia...

Gdy Aleksander wygrzebał mnie z siana i postawił na nogi, zacząłem się pospiesznie ubierać, Lothar robił to samo i zdążyliśmy w ostatnim momencie, bo usłyszeliśmy, jak powóz wyjeżdża z wozowni. Stukot kopyt po brukowanym podejździe zdał mi się piękną, rytmiczną muzyką. Arapaggio siedział na koźle, a Huntington wyglądał przez uchylone drzwi.

– Wystarczy tych zabaw, gołąbeczki – Aleksander szybko i zręcznie wybierał z naszych włosów źdźbła siana. – Zaraz poznacie, co to prawdziwa rozkosz. Jedziemy na łowy!

XXVII

Chociaż był środek nocy, zdawało mi się, że jechaliśmy w blasku dnia. Szeptaliśmy z Lotharem do siebie, wskazując na las, zabudowania, zwierzęta przemykające tuż przed końmi i kołami powozu; noc nie miała przed nami żadnych tajemnic.

Arapaggio powoził jak szalony i zanim się obejrzeliśmy, wjechaliśmy do pogrążonego we śnie miasta. Wiedziałem jednak zbyt dobrze, że spokój był tylko pozorny. Doskonale słyszeliśmy ludzi poruszających się ukradkiem w ciemnościach i w ciągu chwili stałem się czujny jak drapieżnik, który wyszedł na polowanie. Nie patrzyłem na Lothara siedzącego obok ani na Aleksandra, który rozparł się na siedzeniu naprzeciwko, obok lorda. Zbyt zaabsorbowały mnie własne doznania, by zwracać na nich uwagę. Zdawało mi się, że zapachy i dźwięki rzucają się na mnie wszystkie jednocześnie.

Huntington wyciągnął ze schowka za siedzeniem powozu nieduże sztylety o rzeźbionych rękojeściach i wręczył je nam.

– Uważnie wybierzcie swoje ofiary – rzekł grobowym głosem. – Nie rzućcie się na pierwszego lepszego człowieka gdzieś w świetle latarni. Będziemy tuż obok, żeby wam pomóc. Ale im szybciej nauczycie się polować samodzielnie, tym lepiej. Jesteście już dużymi chłopcami, którzy niejedno widzieli i przeżyli, wykorzystajcie to. Nie musimy prowadzić was za rękę, nieprawdaż?

– Chcę zobaczyć, jak zabijasz... – szepnął Lothar, zatrzymując wzrok na Huntingtonie. – Chcę patrzeć ci w oczy, gdy odbierasz życie. Chcę wiedzieć, jak wyglądała twoja twarz, gdy mordowałeś Roberta.

Huntington patrzył na niego bez słowa.

– Myślałem, że w tej sprawie jesteście kwita – rzekł po chwili, niemal nie otwierając ust. Trwała między nimi jakaś próba sił, z której ja i Aleksander byliśmy wykluczeni.

– Jesteście kwita – Lothar nie przestawał wwiercać się spojrzeniem w twarz Edgara. – Mimo tego chcę zobaczyć. Chcę trzymać cię za rękę, gdy będziesz zabijał.

Powóz zatrzymał się i poczułem, jak Arapaggio zeskakuje z kozła.

– W porządku – rzekł lord, otwierając drzwiczki. – Jestem ci to winien – rzucił, wychodząc.

Staliśmy w zaułku, na tyłach jakiegoś dużego budynku. Konie były niespokojne, Arapaggio głaskał jednego z nich po chrapach.

– Rozdzielamy się – rzucił krótko. – Poprowadzimy Armagnaca – rzekł do Huntingtona – a wy załatwcie z Lotharem swoje sprawy.

Aleksander chwycił mnie za rękę i pociągnął w ciemność.

Poruszali się w niej zręcznie i bezszelestnie, ledwie za nimi nadążałem, ale uważnie ich obserwując i naśladując, szybko nauczyłem się, jak pokonywać przeszkody, aby nie robić hałasu. Z każdą mijającą sekundą przyzwyczajałem się stopniowo do nowej siły i zręczności, jakie przepełniały moje ciało, a których jakby instynktownie umiałem używać. Wkrótce przemykaliśmy już niezauważeni wśród najpodlejszych szczurów Londynu, gotowych zabić nas za buty, koszule, pieniądze w kieszeniach.

Ale tym razem to nie my byliśmy ofiarami.

W ciągu kilku chwil znaleźliśmy się w dokach i zauważyłem, że panujący tutaj jak zawsze smród już nie wywoływał we mnie mdłości. Arapaggio zatrzymał się na nabrzeżu.

– Zaczniemy od czegoś prostego – oznajmił. – Złodzieje, stręczyciele, gwałciciele to najłatwiejsza zdobycz. Gdy nabierzesz wprawy, zapolujemy na salonach. Teraz jest jednak na to za wcześnie...

Aleksander tymczasem wyszedł z ciemności i stanął tak, aby było go dokładnie widać z każdego zaułka. Nie minęła minuta, a dwóch obdartusów skradało się w jego stronę i nagle rzucili się na niego biegiem. Udawał, że ucieka, ale pozwolił się pochwycić i zawlec między stos szalup na kamiennym nabrzeżu.

– Musimy mu pomóc! – krzyknąłem, zaskoczony siłą swojego głosu, ale Arapaggio chwycił mnie za rękę, zanim zerwałem się z miejsca.

– Nie żartuj, to przecież tylko zabawa – uśmiechnął się i ruszył spokojnie w stronę odgłosów szarpaniny między szalupami, a ja tuż za nim.

Mogłem się tego spodziewać, a jednak się nie spodziewałem.

Jeden z mężczyzn leżał na stercie lin z przetrąconym karkiem. Łypał na nas przerażonymi oczyma, nie mógł jednak się poruszyć, tylko jego ręce podrygiwały nieskoordynowanie. Aleksander zerował na drugim, z gracją pochyliwszy się nad jego ciałem, a posoka spływała na szalupę. Usłyszałem, jak myśliwy wzdycha przeciągle, zdawało mi się, że słyszę szum krwi przepływającej do jego gardła, aż w końcu ciało chłopaka wyprężyło się i z przeciągłym jękiem pociągnął ostatni haust, podnosząc się i odrzucając trupa, który upadł jak brudna szmaciana lalka.

– Nigdy nie będę miał dość! – na twarzy Aleksandra malowała się błogość, usta, szyję i koszulę miał splamione krwią. – Unieruchomiłem drugiego dla ciebie – rzekł po chwili, otwierając oczy. – Dalej, Armagnac, wyciągnij sztylet i bierz go, zanim wyzionie ducha i nie będzie się już do niczego nadawał!

Patrzyłem na bezradnego mężczyznę i serce mi łomotało, chciałem jednocześnie zabić go i uciekać, obnażyłem sztylet, ale nie mogłem się poruszyć. Poczułem dłoń Arapaggia popychającą mnie w stronę leżącego ciała. Z ust bezwładnego opryszka wydobyło się gulgotanie, a jego ręce zatrzepotały bezradnie.

– Nie wahaj się, chłopcze – ponaglił mnie malarz. – On nie zawahałby się ani chwili, gdyby był na twoim miejscu.

Ukląkłem nad ciałem i uniosłem dłoń, kurczowo ściskając sztylet. Nigdy w życiu nie zabiłem nawet kurczaka na rosół. Byłem artystą, byłem muzykiem, byłem...

Byłem drapieźnikiem.

Szybkim ruchem wbiłem sztylet w gardło, a gdy krew trysnęła mi w twarz i poczułem jej smak na ustach, coś we mnie pękło. Poczułem tak nieodparte pragnienie, nie tyle wypicia tej krwi, co zamordowania tego nieszczęśnika, że nie było już odwrotu. Przywarłem ustami do brudnego ciała, szczecina kilkudniowego zarostu kłuła mnie w wargi, ale nie miało to żadnego znaczenia. Krew zalała mi gardło, była mdła i słona jednocześnie, jej intensywny, żelazisty posmak, który przecież znałem, jak każdy, kto kiedykolwiek skaleczył się w język, wydał mi się nagle najwspanialszy i najbogatszy na świecie. Wypełniły mnie światło, ciepło i rozkosz tak nieziemską, że poczułem, jak całe moje ciało drętwieje, jak moje ręce zaciskają się wokół mężczyzny, miażdżąc mu żebra, ale nie dbałem o to. Ssałem łapczywie, wsłuchany w odgłos własnych pomrukiwań, a biedak skonał w moim uścisku. Poczułem, jakby przetaczała się przeze mnie kula ognia i lodu jednocześnie. Uczucie było tak intensywne i wszechogarniające, że suma wszystkich moich miłosnych spełnień nie mogła się z nim równać.

Potem nagle wszystko ustało.

Otworzyłem oczy i spojrzałem w dół, na zmiażdżone, śmierzące zwłoki, które przed sekundą przytulałem do siebie. Odrzuciłem je z obrzydzeniem, czując nagły przypływ strachu i łyzy przyćmiły mi wzrok. Cały byłem uwalany krwią, czułem na sobie smród trupa. Mój oddech niebezpiecznie przyspieszał, a serce waliło jak oszalałe.

– Zabiłem go... – szepnąłem, cofając się, aż oparłem plecy o pierś

Arapaggia. – Ja go naprawdę zabiłem...

Aleksander zaśmiał się.

– I to bardzo zręcznie jak na pierwszy raz – pochwalił, przekraczając ciała i rozglądając się czujnie wokół.

Poczułem wściekłość.

– Bawi cię to? – syknąłem przez zaciśnięte zęby.

– A ciebie nie? – spytał, unosząc brwi. Zbliżył twarz do mojej twarzy. – Cudowne uczucie, nieprawdaż? – spytał, dotykając mojego policzka, a cały mój gniew natychmiast gdzieś uleciał.

Utonąłem w jego lazurowych oczach po raz kolejny. Nawet rozmazana po twarzy krew nie odbierała mu urody.

– Prawda – odrzekłem cicho. – Nigdy w życiu nie poczułem niczego podobnego.

– I nigdy nie poczujesz, jeśli znowu nie zabijesz – Aleksander rozejrzał się ponownie, a gdy w ciemności coś się poruszyło, skinął głową w stronę Arapaggia, a ten zniknął w mroku.

– Weź swój sztylet. I nigdy, przenigdy nie zapominaj go zabrać – ostrzegł mnie chłopak, po czym wyciągnął z kieszeni kilka banknotów i rozrzucił je wokół ciała. Pochylił się, przeszukując ich kieszenie, jeden miał za pazuchą nieduży nóż. Aleksander rzucił go na ciało tego, którego zabiłem. – Zwykła sprzeczka portowych zbirów o łupy. Nikt nie będzie dochodził, co się tutaj naprawdę stało. Nie ma nic prostszego niż polowanie w takiej podłej okolicy.

Nie minęła chwila, a Arapaggio wrócił, ocierając usta chustką. Jego ubranie i fryzura były nienaruszone, podczas gdy my dwaj wyglądaliśmy tak, jakbyśmy wytarzali się w rynsztoku na jatkach.

– Nie ma jak porządny posiłek po długim poście, a co dopiero po odstąpieniu wam takiej ilości krwi... – mruknął mężczyzna, mijając nas. Ruszyliśmy za nim.

– Arapaggio jest tak silny, że nie musi szamotać się ze swoimi ofiarami. Nie ma szamotaniny, nie ma rozchlapywania krwi – Aleksander wzruszył ramionami. – Ale dla mnie wówczas nie ma i zabawy.

Znów przypomniałem sobie wpis z pamiętnika, w którym Huntington wracał z polowania, nieskazitelnie czysty, z dłonią przy twarzy. A więc on był równie silny i to już pół wieku temu. Miałem do niego tak wiele pytań, że nie wiedziałem, od czego powinienem zacząć.

Podążyłem za nimi bez słowa, próbując zetrzeć krew z ubrania i twarzy, ale po chwili przypomniałem sobie, że choć my tak wyraźnie widzieliśmy

w ciemności, nie byliśmy równie widoczni dla ludzi. Dla ludzkich oczu mrok był nieprzenikniony i szczelnie nas skrywał.

– Mówicie o zabijaniu tak lekko, jakby to była zabawa... – rzekłem po chwili.

– A nie jest? – Aleksander spojrział na mnie, a widząc moją markotną minę, objął mnie ramieniem. – Powiedz mi, cudny chłopcze, czy to, co poczułeś, gdy życie tego bandyty wlewało się w ciebie, nie było najbardziej zabawowym odczuciem w twoim życiu?

Było, ale nie chciałem tego przyznać głośno. Tak niesamowite i ekstatycznie przyjemne, iż miałem ochotę zabić znowu. I to natychmiast. Wspomnienie tej przyjemności wyprało mnie z wszelkich wyrzutów sumienia.

– To jeszcze nic – ciągnął Aleksander. – Nie zdążyłeś nawet odczuć ekscytacji z samego polowania. To nie sztuka wystawić się na przynętę w podłej dzielnicy i po chwili mieć kolację podaną pod nos. Sztuką jest przyrzadzić ją samemu.

Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodziło.

– Wyobraź sobie teraz, że twoja kolejna ofiara jest cudnej urody dziewczicą. Albo nie, one zawsze szybko ulegają – Aleksander rozmarzył się na chwilę. – Wyobraź sobie młodego, butnego chłopca, dopiero wkraczającego w dorosłość. Kogoś, kto ma wszystko i komu wydaje się, że już wkrótce zawładnie światem, jak ty sam jeszcze niedawno. Wyobraź sobie postawienie go pod ścianą i ukazanie mu jego niechybnego końca. I wyobraź sobie w końcu, jak zawzięcie walczy o swoje życie. Smaku takiego życia już sobie nie wyobrazisz, musisz go po prostu poczuć...

Moja wyobraźnia zaczynała pracować. Przed oczyma stanął mi młody myśliwy, z którym Lothar tak beztrosko mnie zdradzał, siedząc tuż obok podczas orgietki Huntingtona. Chęć pozbawienia go życia choćby dlatego, że śmiał na chwilę przyciągnąć uwagę mojego kochanka, stała się przemożna.

– Właśnie o to chodzi – Arapaggio skręcił w zaułek, w którym zostawiliśmy powóz. Huntington stał przy koniach. – A życie smakuje jeszcze lepiej, gdy odbierasz je w chwilach ekstazy, w miłosnym uścisku – dodał, otwierając drzwiczki.

Wszedłem do środka. Lothar siedział wbity w kąt powozu, z głową odchyloną na oparcie i zamkniętymi oczyma.

– Wszystko w porządku? – spytałem, sadowiąc się obok niego.

– Tak – rzekł cicho. – Po prostu zabiłem człowieka i w ogóle się tym nie przejąłem. Wiem, że powinienem odczuwać jakieś wyrzuty sumienia,

powinienem sobą pogardzać albo czuć, że jestem złym człowiekiem – otworzył oczy i spojrzał na mnie – ale nie czuję. Nie czuję nawet, że wciąż jeszcze jestem człowiekiem. Mało tego, chcę znów zabić i to jak najszybciej. To chyba czyni mnie potworem. I wiesz co? – pochylił się nade mną. – Uwielbiam to!

Uśmiechnąłem się i dotknąłem jego twarzy, ale nic nie powiedziałem. Jego słowa zapadły jednak głęboko w moją pamięć i nigdy już mnie nie opuściły.

Byłem potworem i uwielbiałem to.

XXVIII

Wróciliśmy do posiadłości na godzinę przed brzaskiem. Zmyliśmy z siebie krew i spaliliśmy zniszczone ubrania.

Gdy kończyłem się przebierać, Huntington stanął w progu naszej sypialni. Lothar spojrział na niego przelotnie, nic jednak nie powiedział. Nie zapytałem, co wydarzyło się podczas ich wspólnego polowania. Nie chciałem mieszać się do sprawy śmierci Collinsa i komplikacji, jakie zrodziły się w jej wyniku w relacji Edgara i Lothara.

– Nigdy nie zapominajcie szczelnie zasłonić okien – lord oparł się o parapet.
– Wówczas gdziekolwiek zastanie was poranek, będziecie bezpieczni. Zdziwilibyście się, jak często zapomniałem o upływie czasu i kładłem się gdzie popadnie, gdy za oknami nie było nawet widać jutrzeńki. Budziłem się potem na schodach czy w korytarzach, z dala od bezpiecznego leża, takiego, jakie mam tutaj, w podziemiach.

– A co się stanie, jeśli zaśniemy przy rozsuniętych zasłonach? – spytałem.

– Bezpośrednie światło słoneczne może spalić nasze ciała.

– Spalić? – Lothar wyłonił się z przyległego saloniku. – Jak to „spalić”?

– Z pewnością zdrzemnąłeś się kiedyś, leżąc na słońcu w letni dzień, i obudziłeś poparzony, nieprawdaż? Wyobraź sobie teraz ten proces wielokrotnie przyspieszony. Leżysz półświadomy i nie możesz się poruszyć, a słońce stopniowo pali twoją skórę, wnętrzości i w końcu kości. Tak właśnie by się stało.

– Nie podoba mi się taki koniec – burknąłem, siadając na łóżku. Przypomniał mi się sen, w którym ciało Huntingtona spopielalo wśród wyznawców voodoo.

– Nikomu się nie podoba, dlatego właśnie jesteście stworzeniami nocnymi. A teraz zapraszam do leża, nie możecie tutaj zostać. Nie będę ryzykował, że jakaś nieostrożna pokojówka zamieni was nieopacznie w kupkę popiołu. Za chwilę wraca służba.

Podążyliśmy za nim korytarzem i przez ukryte za bibliotecznym regałem przejście zeszedliśmy schodami w dół. Ściany lochów były starsze od budynku.

– To ruiny poprzedniego zamku, który przed wiekami wznosił się w tym miejscu – Huntington stanął przed okutymi drzwiami, które były uchylone,

a Arapaggio i Aleksander czekali na nas za nimi. Rozpoznałem komnatę, w której nas przeprowadzili. Zastygła wszędzie krew była niemal czarna, ale nie wydzielala żadnego zapachu, co przyjąłem z niemalą ulgą.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, że moje zmysły uspokoiły się, kiedy zabiłem. Znow postrzegałem świat z bardziej ludzkiej perspektywy, jedynie mój wzrok był nadzwyczaj wyostrzony.

– Ludzkie życie ciągnie nas ze sobą z powrotem w ludzkie postrzeganie – Aleksander rozglądał się po sypialni, jakby szukając jakiegoś czystego miejsca. – Im dłużej pościsz, tym bardziej dziczejesz – przysiadł w końcu na brzegu łoża, ale po chwili wstał. – Wybaczcie mi, ale nie zostanę tutaj. Arapaggio, wychodzimy! – wyciągnął rękę w stronę kochanka. – Zabarykadujemy się w którejś sypialni w głębi domu. Jest na poddaszu taka nieduża, z jednym małym oknem.

– Dobrze już, dobrze – Huntington gestem wskazał im wyjście, a gdy drzwi z głośnym skrzypieniem zamknęły się za nimi, ciężko opadł na łóżko.

– Przepraszam za wszystko – rzekł cicho, ukrywszy twarz w dłoniach, a jego głos brzmiał zupełnie zwyczajnie, jak niski, zmęczony głos młodego chłopca. – Nie mogłem postępować inaczej...

Czekaliśmy, nie przerywając mu, choć miałem ochotę zadać dziesięć pytań na raz.

– Teraz, gdy jesteśmy tacy sami, postrzegamy świat i siebie nawzajem tak samo – głos Huntingтона błędził gdzieś w przestrzeni. – Nie mam już nad wami takiej władzy, jaką miałem, gdy byliście jeszcze zwykłymi ludźmi. Pamiętam, pod jakim wrażeniem mego ojca byłem niegdyś. Mówię „ojca”, ale mam oczywiście na myśli mężczyznę, który mnie przeprowadził.

Moja ciekawość została dziko pobudzona.

– On także doprowadził mnie niemal do szaleństwa swą tajemniczością, tym, że potrafił odczytywać moje pragnienia i zamiary, wkładać mi do głowy wizje, sterować niemal moim ciałem jak marionetką. Byłem bliski obłądu, ale nie poddałem się mu. I podobnie jak wy przeszedłem próbę konfrontacji z własną cielesnością. Były to oczywiście zamierzchłe czasy, w których ciało postrzegano zupełnie inaczej niż obecnie, dlatego odkrywanie, jak wiele przyjemności może mi ono dać, było dla mnie o wiele większym szokiem niż dla was. Nasz gatunek jednak od zarania dziejów pozwala prowadzić się ciału i jego pragnieniom. Im bardziej czasy są liberalne, tym łatwiej jest wybraćcom pogodzić się ze swoją cielesnością.

I to mówił lord Huntington, który unikał cielesnych igraszek? Nie bardzo

wiedziałem, dlaczego mówił akurat o tym, zaraz jednak wszystko stało się jasne:

– Zwracam wam na to uwagę, ponieważ nadejdzie czas, że uzależnicie się od odbierania ludziom życia i jedynie nieustanne i bogate zmysłowe przyjemności będą mogły was od tego odwieść. Nikt z nas nie może mordować nieustannie, a ci, którzy tak właśnie postępowali, marnie kończyli.

– Marnie? – Lothar, który stał oparty o ścianę, poruszył się nieznacznie. – Co to znaczy?

– Potrzeba odbierania życia rośnie wprost proporcjonalnie do liczby ofiar. Jednym słowem: im więcej zabijasz, tym większą masz na to ochotę. Bardzo szybko może to stać się tak silnym uzależnieniem, że wszystko inne przestaje się liczyć. Widziałem wielu z nas, którzy stali się nieostrożni i sami wydawali się na pastwę słońca lub padali łupem ludzi.

– Łupem ludzi? – teraz ja stałem się bardziej czujny. Jakoś do tej chwili nie postrzegałem ludzi jako zagrożenia.

– W czasach, w których stałem się tym, kim teraz jestem, szalała inkwizycja. Wielu z nas stało się jej ofiarami właśnie dlatego, że pozwalali żądzy mordy zawładnąć sobą i przez to stali się bardzo łatwym celem dla inkwizytorów.

– Więc to, co opowiedziałeś mi o portugalskim inkwizytorze ścigającym twojego przodka...

– De Cunha i jego najwierniejszy współpracownik, Julius Dictaris, ścigali mnie i mi podobnych, a przed nimi i po nich próbowało dopaść nas wielu innych. To były ciężkie czasy dla większości z nas – Huntington westchnął. – Nowo przeprowadzony wówczas Arapaggio z trudem wymknął się z rąk prześladowców. Jego ojciec, Zygfyrd, padł ich ofiarą i został spalony na stosie. Spotkaliśmy się wówczas i Arapaggio przygarnął mnie pod swoje skrzydła, choć byłem starszy od niego o kilka dekad. Od tego momentu staliśmy się serdecznymi przyjaciółmi i spędziliśmy razem niemal stulecie, zanim nasze drogi się rozeszły.

Ciekawość jeżyła mi włosy na karku, nie wiedziałem, czy najpierw chcę pytać Huntingtona o czasy, w których był jeszcze człowiekiem, czy o jego ojca, czy o wspólne życie z Arapaggiem. Gdy tak deliberowałem i przepychałem się z własną ciekawością, Edgar podszedł do mnie i ujął mnie pod brodę, ale tym razem nie odebrałem tego gestu jako władczego i pretensjonalnego.

– Przepraszam, że przymusiłem was do uprawiania miłości na moich oczach – rzekł głosem pełnym skruchy. – Przepraszam, że sprawiłem, iż czuliście się poniżeni. Nie o to mi wówczas chodziło – pogładził mnie po policzku, a ta wszechogarniająca miłość, którą do niego czułem, nagle wydała mi się dobra,

czysta i całkowicie naturalna. – To była właśnie moja ucieczka przed zabijaniem. Lothar i jego kochanki, Lothar i jego kochankowie, to wy byliście moją ucieczką – spojrzał na chłopaka, który przyglądał się nam z kamienną twarzą. – Obserwowanie Lothara, który intrygował, uwodził, a potem przygwaźdżał do łoża coraz to nowe ofiary, stało się moim nowym uzależnieniem, odciągając mnie od ciągłego zadawania śmierci... Chociaż żyję już bardzo długo, wchłanianie ludzkiego życia ma nade mną równie wielką władzę jak pierwszej nocy po przeprowadzeniu. Gdy widziałem Lothara na miłosnych łowach, nie miałem wątpliwości, że bez problemów zdołam go przeprowadzić. Był silny, twardy, bezwzględny i skuteczny – rzekł Edgar cicho, ale nie patrzył na Lothara, jakby bał się przyznać do słabości. W końcu wstał i zbliżył się do niego, a w oczach miał łzy. – Musiałem sprawdzić, czy zniesiecie to wszystko, czy będziecie potrafili normalnie funkcjonować, czy okażecie się na tyle silni, by się po tym podźwignąć. Człowieka najłatwiej zranić, gdy jest nagi i bezbronny. Nie daliście się jednak zniszczyć, nie załamaliście się i dzięki temu wiedziałem, że podołacie. I teraz, moi złoci chłopcy, moi synowie, już na zawsze będziemy razem... – dodał szeptem.

Poczułem nagłą senność i domyśliłem się, że słońce wschodziło gdzieś nad nami. Usiadłem na brzegu łóżka, ignorując poplamioną pościel, po czym położyłem się, czując, jak ktoś poprawia moje nogi na posłaniu.

A potem zapadła nieprzenikniona ciemność.

XXIX

Spałem spokojnie i nic mi się nie śniło, tak jak w noc śmierci mojej ciotki. Gdy się obudziłem, nie wiedziałem jeszcze, że już nigdy więcej nic mi się nie przyśni.

Otworzyłem oczy w ciemności, która nie była ciemnością. Lothar podnosił się z łoża, sprawdzając wyciągniętą ręką, czy na pewno leżę obok. Złożył dłoń na mojej piersi i westchnął.

– Armagnac... – szepnął. – Czy to wszystko naprawdę się dzieje?

– Nie wiem – odrzekłem, wstając. Poczułem nagle, że duszę się w niedużym pomieszczeniu bez okien. Podbiegłem do drzwi i pchnąłem je, odsunawszy przedtem potężną żelazną zasuwę. Kto ją zasunął i jak? Od zewnątrz nie było zamka ani klamki.

Wyszliśmy na korytarz i w górę mrocznymi schodami, aż napotkaliśmy przed sobą ścianę, która ustąpiła pod dotykiem naszych rąk. Za nią była biblioteka, w której nasi ojcowie, jak ich w myślach nazywałem, już czekali na nas, wystrojeni jak najwytworniejsi dandysi. Byli piękni i promieniejący w blasku płonącego w kominku ognia. Aleksander leżał lubieżnie rozparty na sofie, z rozpuszczonymi włosami rozsypanymi na poduszkach, Arapaggio siedział za biurkiem, a Huntington z uśmiechem podszedł do nas i po kolei uściskał.

Słyszałem, jak służba krząta się po posiadłości i wyobraziłem sobie, jak dopadam w jakimś opuszczonym pokoju jedną z soczystych pokojówek, najpierw biorę ją brutalnie, a w chwili ekstazy rozplątuję jej gardło sztyletem. Wizja opanowała mnie do tego stopnia, że przysiadłem na fotelu, wspominając rozkosz ubiegłej nocy.

– Najpierw udamy się na kolację – rzekł Huntington. – Jeszcze przez długi czas będziecie funkcjonować jak zwyczajni ludzie, będziecie jeść, pić i wydalać, a jeśli nie zachowacie ostrożności, nawet chorować. Proces przeprowadzenia trwa dość długo, a czas jest różny u różnych osób. Celebруйте wszystkie te doświadczenia, póki możecie, bo – wierzcie mi – za jakiś czas za nimi zatęsknicie.

Aleksander ziewnął.

Zacząłem nabierać przekonania, że nudziło go wszystko oprócz miłości

i zabijania. Przez chwilę miałem ochotę rzucić się na niego, ale podświadomie czułem, że nasze miłosne zespolenie było jednorazowe i Arapaggio więcej na to nie zezwoli, przecież odciągnął mnie od niego zeszłej nocy.

– Nie słyszałem jeszcze, jak śpiewasz – wypaliłem zamiast tego, patrząc chłopakowi w oczy: ogromne, lazuruowe, przepiękne. – Blanche Avoy zakochała się w tobie, wiesz o tym? – dodałem, ale po chwili pożałowałem swoich słów, widząc spazm na twarzy Huntingtona.

– Wszyscy się we mnie zakochują – chłopak poprawił się na sofie, ruchem odbijającym się głębokim echem w dole mojego ciała. – Przyzwyczailem się już do tego. Ale to nie jest bezpieczne – dodał, z przebiegłym uśmiechem patrząc na Arapaggia, który podniósł głowę znad jakichś zapisków i zdawał się podobny drzemiącemu wulkanowi. Był moim ojcem, owszem, ale nie zamierzałem już nigdy więcej stawać pomiędzy nim i jego złotowłosym kochankiem.

– Jesteś próżną bestią – odrzekłem, nie mogąc uwierzyć, że wypowiedziałem to na głos.

– Och, tak... – Aleksander wstał, cały złożony ze złotych włosów i nóg, opiętych prążkowanymi spodniami. Pod szyją miał fular, zbliżony kolorem do jego oczu, a wysoki kołnierz koszuli odcinał się jedynie ostrymi cieniami od bieli jego twarzy. Każdy jego ruch wprowadzał moje ciało niemal w rezonans, to było nie do zniesienia! Nie panowałem nad sobą zupełnie w jego obecności.

– Pamiętaj, chłopcze, że mnie stworzono po to, bym zachwycał – przeciągnął się, a ja spuściłem wzrok, tak bardzo chciałem uwolnić się spod jego wpływu. – Najpierw mnie okaleczono, a później przez dekadę uczono, jak mam chodzić, mówić, śpiewać, żeby świat padł mi do stóp, żeby kobiety mdlały na mój widok, a mężczyźni zgrzytali zębami z pożądania – podszedł do mnie i obrócił się w taki sposób, że jego włosy musnęły moją twarz. I w tym momencie zacisnąłem zęby tak, jak to przed sekundą opisał.

– Ciebie to bawi – szepnąłem, cofając się.

– Oczywiście, że go to bawi – Arapaggio wstał zza biurka, a uśmiech zniknął z twarzy Aleksandra. – Kończ te gierki, ptaszyno – mężczyzna stanął pomiędzy nami, instynktownie skuliłem ramiona, choć przecież nie mógł już wyrządzić mi żadnej krzywdy. Przynajmniej tak mi się wydawało...

– Jeśli w tej chwili się nie uspokoisz – zagrzmiał – zabiorę cię stąd i pokażę, gdzie twoje miejsce – dokończył, a na chłopaka podziałało to jak płachta na byka. Przyłgnął do piersi malarza i pocałował go w ten łapczywy, zachłanny sposób. Zanim się obejrzelśmy, już wytoczyli się z biblioteki, zatraskując

za sobą drzwi.

– No to pokaż mi, gdzie moje... – usłyszałem z korytarza.

– I tak to trwa od półtora wieku... – Huntington westchnął.

Lothar zdawał się nieświadomy całego tego przedstawienia. Siedział, zapatrzony w ogień, głuchy i ślepy na wszystko, co działo się wokół niego.

– Wiem, że pragniesz zabić – Edgar usiadł w fotelu naprzeciwko niego. – Ale pamiętaj o tym, co ci wczoraj powiedziałem. Nie pozwól, by to pragnienie zmaćło ci umysł, by zamieniło cię w bezwolną bestię. Nie jesteś mordercą i nigdy nie możesz nim zostać. Niech odbieranie życia stanie się tylko koniecznością podtrzymania twojego istnienia, a nie jego istotą.

– Mówisz tak, jakby to było proste – chłopak poluzował krawat.

– Mówię tak, bo nieustannie walczę z tym samym pragnieniem, a trawi mnie ono od wieków. To jest właśnie ta wysoka cena, o której mówiliśmy.

Lothar wstał i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem przed kominkiem.

– Chcę poznać twoją historię – rzekł w końcu. – Chcę wiedzieć, kim byłeś i kim naprawdę teraz jesteś.

– Dobrze więc – Edgar nakazał mu gestem, żeby usiadł. – Opowiem wam wszystko, co pamiętam, i to, o czym wolałbym zapomnieć.

Poczułem dreszcz emocji i rozparłem się wygodnie w fotelu.

XXX

Historia Edgara Francisa Huntingtona

Aleksander nie mylił się, mówiąc, że urodziłem się w tym samym roku co Elżbieta, córka Henryka VIII. Mówiąc ściślej, urodziliśmy się tego samego dnia.

Gdy miałem kilka lat, doszły mnie słuchy, że niektórzy uważali mnie za królewskiego bękartą, ale nikt nigdy nie potraktował tego poważnie, a ja byłem zbyt mały, by cokolwiek z tego zrozumieć.

Moja matka była niewiele znaczącą służącą jednej z ponad sześćdziesięciu dam dworu Anny Boleyn, nigdy jednak nie znajdowała się na tyle blisko królewskich intryg, by w jakikolwiek sposób wpłynęły one na nasze życie. Urodziłem się, gdy miała szesnaście lat, i nigdy nie dowiedziałem, kto naprawdę był moim ojcem – lokaj, paź, chłopak stajenny czy król.

Byłem urodziwym i pojętym dzieckiem, dzięki czemu wkrótce zostałem towarzyszem zabaw małej Elżbiety. Nie jestem pewien, czy w ogóle to pamiętam, czy to wszystko jest prawdą, czy może moja matka snuła fantazje, którymi karmiła mnie od małego. Według niej zostaliśmy odesłani z dworu po ścięciu Anny Boleyn.

Być może jest to wspomnienie, być może tylko sen, który nawiedzał mnie pod wpływem opowieści matki, ale mam przed oczyma moment, w którym miecz spadł na kark nieszczęsnej królowej. Ten sen prześladował mnie do chwili przeprowadzenia, a później przestałem w ogóle śnić, jak my wszyscy.

Gdy słucham teraz własnych słów, wydają mi się nieprawdopodobne. Świat, w którym się urodziłem, osoby, które mnie otaczały, są teraz tylko nazwiskami na kartach historii, a jak wiadomo, ludzie lubią manipulować historią. Może rzeczywiście jestem synem króla, a może tylko wiejskim chłopcem, któremu wmówiono, iż mógł znaczyć więcej, niż w rzeczywistości znaczył.

Po odesłaniu ze dworu wróciliśmy na wieś, do domu rodzinnego mojej matki, gdzie jej rodzice ciągle jeszcze uprawiali niewielki skrawek ziemi. Ich pozostałe dzieci dawno już umarły, a i oni sami stali nad grobem.

Bardzo szybko zapomniałem, że kiedykolwiek mieszkałem poza zagrodą, że robiłem cokolwiek innego oprócz karmienia zwierząt czy przynoszenia jajek

z kurnika, że otaczali mnie ludzie, którzy tak bardzo nie cuchnęli i mieli więcej niż parę zębów. Życie na wsi kilka wieków temu było krótkie, brudne i męczące.

Gdy opowiadam o tym teraz, jestem niemal przekonany, że nigdy nie było żadnego dworu, że moja matka nigdy nie była służącą dwórki, a ja jestem tylko dzieckiem wieśniaczki, którą gdzieś kiedyś przydybał jakiś chłop. Miło jest jednak wyobrazić sobie, że było inaczej, tym bardziej że moja matka umiała czytać po angielsku i francusku, trzymając w domu kilka książek, a gdzieś na dnie kufra ukrywała starannie złożony uniform z cienkiego muślinu.

Mijały lata, a ja powoli dorastałem, opierając się wszechobecnym chorobom. Matka była urodziwa, co wówczas oznaczało, że posiadała wszystkie kończyny, większość zębów i włosy dające zapleść się wokół głowy. Kobiety w owych czasach, rodząc dzieci jedno po drugim, w jej wieku były już łysiejącymi i bezzębnymi staruszkami. Matka była piękną kobietą, a ja na szczęście odziedziczyłem po niej delikatną urodę.

Matka była na tyle intrygująca, że zainteresował się nią dobrze prosperujący kupiec, wdowiec handlujący materiałami i zaopatrujący królewskich krawców. Nazywał się Bertrand Smithes. Był przekonany, że jestem młodszym bratem jasnowłosej dziewczyny, która opierała się upływowi czasu. Mając dwadzieścia cztery lata, moja rodzicielka została jego żoną. Wróciliśmy do miasta i nasze życie znów zaczęło ocierać się o dwór, a ja zyskałem szansę na wykształcenie i lepsze życie.

Ojczym, którego oficjalnie tytułowałem wujem, był człowiekiem łagodnym, skrupulatnym i skupionym na swojej pracy, miał renomę rzetelnego i uczciwego człowieka, a co najważniejsze, szanował moją matkę i był w niej szaleńczo zakochany, a ona, mimo że był niemal dwukrotnie starszy, szybko odwzajemniła jego uczucie.

Byliśmy szczęśliwą rodziną i w ciągu następnych lat moja matka powiła jeszcze czworo dzieci, z których przeżył jedynie ostatni syn, Johnas. Mieszkaliśmy w kamienicy, mieliśmy nawet kucharkę i służącą, a wuj Bertrand przywoził plotki z królewskiego dworu, które chłonałem jak gąbka. Marzyłem o tym, by zostać wysłanym na dwór, chociaż jako chłopiec stajenny, a Bertrand, skupiony całkowicie na swoim jedynym synu, był bardzo przychylny temu pomysłowi.

I nagle pewnego upalnego lata, gdzieś w połowie wieku, przyszedł pomór i odebrał mi całą rodzinę. Stałem się żebrakiem, gdyż formalnie nie byłem nawet synem Bertranda Smithesa i – jak to bywało w takich sytuacjach – nie odziedziczyłem nic. Zostałem dwunastoletnim sierotą i po kilku tygodniach

beznadziejnej walki o życie trafiłem do jakiegoś sierocińca, w którym łatwiej było umrzeć niż na ulicy.

Następne dni, tygodnie czy miesiące, nie wiem, jak długo tam egzystowałem, pamiętam jak przez mgłę. Wszędzie dookoła mnie były choroby, śmierć i głód, ja jednak nie chciałem umierać, walczyłem o każdy kęs jedzenia, wykazując przeogromną wolę życia. Bo życie tam było ciągłą walką, której nie chcę pamiętać.

Niechybnie zginąłbym jak całe rzesze bezimiennych dzieci, po które grabarz przybywał niemal co dzień. Brudne twarze wokół mnie co chwilę zastępowane były przez inne. Moje człowieczeństwo powoli zmieniało się w bestialstwo, szybko zapomniałem, że umiem czytać, że być może kiedyś wiedziałem, co to muzyka czy malarstwo, że potrafiłem mówić, a nie tylko warczeć i krzyczeć.

Pewnej chłodnej letniej nocy, gdy zaraza kończyła zbierać swoje żniwo, a pozostali przy życiu odzyskiwali nadzieję na to, że być może przeżyją kolejny rok, w sierocińcu pojawiła się tajemnicza postać odziana w czarną pelerynę z kapturem.

Obudziłem się i widziałem ją niewyraźnie w blasku świecy niesionej przez opiekunkę, podążającą niespiesznie wśród rzędów drewnianych łóżek, na których młodsze dzieci tłoczyły się parami i trójkami. Gdy z zawojów peleryny wyłonił się długi biały palec i wskazał na mnie, byłem przekonany, że to śmierć przybyła, by zabrać mnie ze sobą. Nigdy w życiu tak się nie bałem, nawet wówczas, gdy po śmierci Smithesa i jego syna, przytulając mnie do siebie resztkami sił, skołała moja matka.

Wywleczono mnie z łóżka i wierzgającego ze strachu zaciągnięto do powozu na tyłach budynku. Uścisk postaci, która kościstą, jak mi się zdawało, dłonią chwyciła moje przedramię, był tak stanowczy i silny, że zamarłem z przerażenia, wiedząc, że nie ma przed nią ucieczki. Czułem łzy płynące po twarzy, gdy wsiadaliśmy do powozu i drzwiczki za nami zatrzasnęły się jak wrota piekieł. W dobie nieustannych walk między katolikami i protestantami, których oczywiście jako dzieci nie byliśmy świadomi, na każdym kroku karmiono nas obrazami piekła, wizjami potępienia i kary za grzechy. Próbowałem doszukać się wśród swoich czynów przewin tak wielkich, iż posłano po mnie osobiście samą śmierć, nie mogłem jednak ich znaleźć.

Powóz w końcu ruszył, a śmierć zdjęła kaptur i usłyszałem melodyjny, delikatny głos, a na białej, połyskującej w ciemności twarzy pojawił się uśmiech.

– Nie bój się mnie, chłopcze. Nie jestem śmiercią. Jestem kimś, kto podaruje

ci długie i wspaniałe życie. Jestem kimś, kto podaruje ci wieczność.

Nie zrozumiałem jego słów, ale sam dźwięk głosu, jakże innego od wszystkich, które do tej pory słyszałem, wlał w moją duszę spokój i poczucie bezpieczeństwa, jakich nigdy wcześniej nie zaznałem.

Tak oto zostałem uczniem czarnoksiężnika.

Izydor był doradcą, astrologiem i trucicielem na usługach najbardziej wpływowych postaci na królewskim dworze. Nikt tak jak on nie znał panujących tam układów i sojuszy. W ciągu kilku następnych lat przekonałem się, iż to praktycznie on stał za wszystkimi politycznymi decyzjami ówczesnych czasów. Z pewnością miał wpływ na króla, a później i na Elżbietę, moją domniemaną przyrodną siostrę. Ja jednak przekonałem się o tym dopiero wtedy, gdy sam przejąłem jego stanowisko wiele lat później.

Gdy został moim opiekunem i mentorem, nie obarczał mnie jednak takimi sprawami. Zamieszkałem w przepięknej komnacie gdzieś wśród dworzan, szybko stając się ulubieńcem całego dworu, a ze względu na dość młody wiek trzymano mnie poza nawiasem intryg. Byłem beztroskim młodzieńcem, uczyłem się tańczyć, śpiewać i grać na lutni, mówić po francusku i hiszpańsku, a nocami znikaliśmy wraz z Izydorem w sekretnych lochach, o których istnieniu wiedział tylko on. Uczyłem się tam sporządzać leki i trucizny ze składników, na których wspomnienie do tej pory przechodzą mnie dreszcze.

W ten sposób mijały miesiące, a potem lata.

Zdawało mi się, że nic już nie jest w stanie mi zagrozić, jednak pewnej upalnej nocy zaraza zakradła się do miasta i poczułem na karku oddech prawdziwej śmierci.

Cały dwór był już w letniej rezydencji, my jednak nigdy nie opuszczaliśmy zamku. I gdy wieczorem Izydor jak zwykle przybył do mojej komnaty, zastał mnie zdjątego zarazą, więc przeprowadził mnie, aby wyrwać ze szponów kostuchy.

Miałem wtedy szesnaście lat i byłem dorastającym młodzieńcem, wyglądałem tak jak mnie widzicie teraz przed sobą. Byłem do tego stopnia zafascynowany Izydorem i ufałem mu tak bezgranicznie, że proces mojego przeprowadzenia oraz późniejsze wtajemniczenie w naszą morderczą naturę wydały mi się czymś zupełnie naturalnym. Byłem przecież alchemikiem i trucicielem, dla którego zabijanie nie miało w sobie grozy. To były jednak inne czasy, śmierć czaiła się wszędzie, a odbieranie ludzkiego życia nie stanowiło nic trudnego. Ludzie, którzy przeżyli trzy czy cztery dekady, byli bezzębnymi i zżartymi chorobami wrakami, a ulice miast, kanały i fosy, szczególnie podczas

zarazy, szybko zapełniały się trupami. Dokładaliśmy zaledwie ułamek do żniwa wszechobecnej śmierci.

Podzieliwszy się ze mną wszystkimi sekretami naszej mrocznej egzystencji, Izydor zaczął przyuczać mnie do życia dworskiego intryganta. Zanim się obejrzałem, byłem niemal równie zręcznym mącicielem co on. W czasach zabobonów i wojen religijnych ludźmi było zdecydowanie łatwiej sterować niż obecnie.

Czuliśmy się wszechmocni, a nasza zdolność wpływania na decyzje innych, a także umiejętność manipulacji światem, który postrzegali, sprawiała, że wiedliśmy dostatnie i bezpieczne życie przez niemal pół wieku. Chyba właśnie te cechy pozwoliły nam uniknąć pułapki, w którą wpadło przez lata tylu nam podobnych w całej Europie. Pułapką ową była niemożność znalezienia sobie miejsca i zajęcia, które odwracałoby uwagę od zabijania, gdyż zabijanie, od którego tak łatwo mogliśmy się uzależnić, nieuchronnie prowadziło do zguby.

Inkwizycja zbierała swoje żniwo wśród przyjaciół Izydora, którzy nie potrafili odnaleźć się wśród nieustannych walk o dominację w Europie. Zdawać by się mogło, że dla istot żerujących na ludzkim życiu wojna stanowiła naturalne środowisko, jednak to tylko złuda. W ogniu walki mogliśmy zginąć równie łatwo co zwykli ludzie i wielu z nas tak właśnie skończyło.

Pozostali przy życiu, pamiętający często starożytne czasy, uchodzili przed wiekami za bóstwa w świecie, który nie znał chrześcijan, protestantów, hierarchii i religijnych prześladowań. Kult natury, pór roku, Słońca czy Księżyca zginął bezpowrotnie, a wraz z nim umierały nocne bóstwa, które kiedyś zapewniały powodzenie w zamian za krwawe ofiary.

Malcolm, który przed kilkoma wiekami przeprowadził Izydora, stał się niegdyś takim właśnie bóstwem i do takiego życia próbował przystosować swojego syna. Izydor jednak nie potrafił patrzeć w przeszłość. Widział za to swoją szansę na zaistnienie wśród ówczesnych prominentów i gdy Malcolm w przypiływie szaleństwa i rozpaczycy porzucił swego syna, Izydor zaczął podróżować po świecie, poznając, czym jest polityka, która okazała się okrutniejsza od jego własnej natury.

Wyruszywszy na podbój europejskich dworów, w ciągu wieków stał się powiernikiem niemal wszystkich władców. Pojawiał się wśród królów i cesarzy, przez kilka dekad będąc ich najskuteczniejszym doradcą, po czym zniknął bez śladu, czekając na śmierć króla i triumf jego następcy, którego mógłby od siebie uzależnić. Dla niektórych był aniołem stróżem, alchemikiem, astrologiem,

wróżbitą, dla innych stawał się katem. Dostosowywał się do roli, jaką mu wyznaczali, i gdy wysłuchiwałem jego opowieści, byłem przekonany, że to, jak wyglądała Europa, było w większości jego zasługą.

Po latach prosperity i jego dopadł jednak głód ludzkiego życia. Widziałem, jak stopniowo oddalał się ode mnie, jak wracał półprzytomny z nocnych polowań, pijany krwią i życiem, które wchłonął. W jego lśniących orzechowych oczach czaiło się szaleństwo, a krew zasychała mu na ciemnych długich włosach. Był wówczas podobny diabłom, którymi straszono mnie w dzieciństwie. Wiedziałem, z jakimi wewnętrznymi demonami walczył, bo sam walczyłem z podobnymi pragnieniami.

Coraz więcej obowiązków Izydora spadało na mnie, lecz nie czułem się gotów, by je udźwignąć. Potajemne audiencje u starzejącej się królowej Elżbiety, która każdą swoją decyzję uzależniała od naszych słów, były dla mnie udręką. Świadomość, że być może byłem przyrodnim bratem tej zaszuszonej wiedźmy, władającej połową znanego mi świata, mroziła krew w moich żyłach.

Wiedziałem już wówczas, że mój mentor był jej kochankiem, że „dziewiczka królowa” od lat nie była dziewicą, a wyobrażenie wiecznie młodego i prężnego ciała Izydora w uścisku jej zwiędłych ramion doprowadzało mnie do szaleństwa. Zazdrość jednak nigdy nie zachwiała mojej lojalności, bałem się jedynie tego, że pozerająca Izydora drapieżność sprawi, iż w końcu zabije on królową Anglii. Co wówczas stałoby się ze światem? Co stałoby się ze mną?

Co wieczór otwierałem oczy pełen niepokoju, bojąc się tego, co żądza krwi i odbierania życia uczyni z moim nauczycielem, aż pewnej nocy obudziłem się zupełnie sam. Izydor nie pojawił się nad ranem, aby udać się wraz ze mną na spoczynek, nie wrócił także kolejnej nocy i następnej. Królowa szalała z niepokoju, a ja nie byłem w stanie jej ukoić. Zacząłem obawiać się o swoje życie, więc opuściłem zamek, zabierając ze sobą jedynie kilka najcenniejszych ksiąg, uprzednio zniszczywszy w lochach to, co wskazywałoby na mnie jako czarownika. Zabarykadowałem sekretne przejście do naszego podziemnego królestwa, wydostałem się na powierzchnię tunelem daleko za murami zamku i zawałem wyjście tak, że żaden człowiek nigdy nie mógłby go odnaleźć.

Nie było już powrotu, a mnie czekała długa i niebezpieczna podróż po Europie, gdzie zamierzałem odnaleźć przyjaciela Izydora, o którym mój mentor wspomniał, zanim zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością.

Ów przyjaciel miał na imię Zygfryd.

Na kontynencie szalała inkwizycja. Widziałem stosy, na których płonęli moi bracia, musiałem porzucić wszelkie dotychczasowe zajęcia, gdyż posądzenie

o nie niechybnie i mnie doprowadziłoby do śmierci w płomieniach. Gdziekolwiek się znalazłem, deklarowałem się jako zwolennik najsilniejszej w danym państwie religii, jeśli ktoś mnie o to zapytał. Generalnie jednak nie wdawałem się z nikim w żadne dyskusje, stałem się skrytym, nocnym podróżnikiem. Zadawałem pytania w taki sposób, aby nikt nie zorientował się, że szukam nocnych łowców, jak z Izydorem nazywaliśmy istoty nam podobne. Nigdzie jednak nie trafiłem na ich ślad, nie licząc płonących stosów. Dla tych nieszczęśników jednak nie było już ratunku.

Nie wiem, ile lat minęło. Zdążyłem już przyzwyczać się do samotności, ale ból, który odczuwałem, gdy widziałem śmierć swoich pobratymców, był za każdym razem niemal nie do zniesienia. Bałem się, że być może Izydor również skończył w ten sposób, że Zygfyrd, którego poszukiwałem, także spłonął, że być może jestem ostatnim, który wymknął się takiej okrutnej śmierci.

Stałem przepełniony ponurymi myślami w centrum jakiegoś wiedeńskiego placu, wpatrując się w gorejący stos, na którym konał jeden z nas. „Gdzie jesteś, Zygfyrdzie?” – szeptałem, próbując opanować ból duszy, i wówczas poczułem, że ktoś mnie obserwuje.

Uczucie było tak przemożne, jakby lodowata dłoń spoczęła na moim nagim karku. Odwróciłem się i napotkałem spojrzenie szmaragdowych oczu wpatrujących się we mnie intensywnie spod obszernego ciemnego kaptura. Choć wysoka postać stała na drugim krańcu placu, skryta za plecami rozhisteryzowanych gapiów, miotających przekleństwa i odpadki w stronę płomieni, przysiągłbym, że usłyszałem słowa, które wypowiedziała bladymi ustami niskim, grzmącym głosem:

– Zygfyrd płonie na stosie, nieznajomy...

Serce skoczyło mi do gardła. To był nocny łowca, jak ja! Prawdziwy, żywy, nocny łowca, patrzący na mnie zażawionymi, zmrużonymi oczyma, oplakujący śmierć Zygfyryda.

Czy on także go szukał? Czy go znał? Kim był?

Nie mogłem poskromić galopujących myśli, odczuwałem jednocześnie przerażenie z powodu śmierci kogoś, kogo tak bardzo chciałem odnaleźć, i euforię na myśl o tym, że po raz pierwszy spotkałem istotę podobną do mnie, która teraz zniknęła w tłumie, gdzieś w zaułku.

Rzuciłem się w pościg; jeśli rzeczywiście na stosie płonął Zygfyrd, to nic już nie mogłem dla niego zrobić. Przepychałem się między ludźmi, wypatrując wysokiej postaci, i w końcu dostrzegłem, jak zakapturzony osobnik niespiesznie oddala się ciemną, pustą uliczką, pomiędzy wysokimi na kilka pięter

kamienicami. Dogoniłem go i niewiele myśląc, chwyciłem za kaptur, zerwałem go, uwalniając burzę ognistych włosów. Mężczyzna odwrócił się gwałtownie i chwycił mnie za ramiona, świdrując spojrzeniem zielonych oczu, a wyraz jego twarzy mówił jedno: „Zabiję cię!”.

– Mam na imię Edgar – wyszeptałem szybko. – Izydor, który mnie przeprowadził, znał Zygryda.

Nieznajomy puścił mnie, a na jego twarzy odmalowało się najpierw zdziwienie, a potem bezgraniczny smutek.

– Izydor? – zapytał cicho, a jego niski głos zabrzmiał jak odległy grzmot. – Izydor? – powtórzył, patrząc mi w oczy. Był wysoki i potężny, górował nade mną, ale byłem zbyt podniecony tym spotkaniem, aby się bać. – Mój stwórca, Zygryd, miał brata krwi o imieniu Izydor.

Serce we mnie zamarło, nieznajomy natomiast chwycił mnie za rękę i zaciągnął głęboko w zaułek, gdzie nie paliła się żadna pochodnia.

Czy to było możliwe? Czy właśnie spotkałem kogoś, kto w naszym świecie, w świecie istot, przekazujących sobie życie w ciemnościach za pomocą własnej krwi, był moim jakże bliskim kuzynem?

– Jeśli prawdą jest to, co mówisz – zagrzmiął mężczyzna, przypierając mnie do muru i pierwszy raz poczułem ukłucie strachu – oznaczałoby to, że jesteśmy niemal braćmi.

– Niemal braćmi... – powtórzyłem i poczułem nagle przyływ tak wszechogarniającej miłości, że łzy przyćmiły mi wzrok. Ulga, jaką nagle odczułem, była tak obezwładniająca, że osłabłem w jego uścisku i zanim zorientowałem się, co robię, uniosłem ręce, przyciągnąłem jego twarz do siebie i pocałowałem w wąskie blade usta.

Tak oto poznałem Arapaggia.

XXXI

Edgar zamilkł i wpatrzył się w ogień.

Czułem się jak wyrwany z transu, przed chwilą byłem wraz z nimi gdzieś w zimnym, ciemnym, wiedeńskim zaułku, a teraz znów siedziałem w bibliotece, wpatrując się w zdjętą smutkiem twarz Edgara Francisa Huntingtona. Przeniosłem oczy na Arapaggia, który zdawał się patrzeć na nas wszystkich i na nikogo jednocześnie. Tylko istota nam podobna mogła mieć tak nieruchomy i zarazem tak pełen emocji wyraz twarzy. Nie zauważyłem nawet, że wrócił do biblioteki i przysłuchiwał się historii opowiedanej przez Huntingtona. Aleksandra nie było w pokoju i mogłem tylko domyślać się, gdzie i w jakim stanie się znajdował.

Chciałem zadać wiele pytań, nie wiedziałem jednak, od czego zacząć. Co stało się z Izydorem? Czy Zygryd, ojciec krwi Arapaggia, istotnie spłonął na stosie? Jeśli tak, to co spowodowało na niego tę okrutną śmierć?

Lord jakby wyczuł moją rozpaloną ciekawość i uniósł dłoń, chcąc mnie uciszyć, choć nie powiedziałem przecież ani słowa. On tymczasem westchnął, zamknął oczy na dłuższą chwilę, po czym głębiej zapadł się w fotel. Uniósł wzrok i spojrzał na nieruchomego jak posąg Lothara, o którego obecności też zdążyłem zapomnieć. Jego twarz była biała i pozbawiona wyrazu, jak pośmiertna maska. Wzdrygnąłem się, ale głos Huntingtona rozwiął mój niepokój i znów poprowadził mnie w przeszłość.

– Arapaggio nie poddał się moim pocałunkom, zamiast tego chwycił mnie żelaznym uściskiem, tak dobrze mi przecież znanym, i zaczął ciągnąć za sobą mrocznymi ulicami Wiednia z prędkością i zręcznością, które zupełnie zbiły mnie z tropu. Nie wiedziałem, że możemy poruszać się w ten sposób, nie wiedziałem, czy sam byłbym do tego zdolny. Pozwalałem mu się wlec jak szmaciana lalka, nie mając pojęcia dokąd. Po pewnym czasie wbiłem stopy w błoto, ze zdumieniem odkrywając, że mogę mu się oprzeć i być może jestem równie silny. Wyrwałem więc ramię z uścisku i warknąłem:

– Dokąd mnie ciągniesz? Kim jesteś?

– Pytanie powinno brzmieć „Kim ty jesteś” i dlaczego beztrąsko obserwujesz egzekucje swoich pobratymców, nie usiłując nawet się ukryć? – odrzekł olbrzym, patrząc na mnie z góry, tym razem jednak już się nie

przeląkłem.

– A dlaczego niby miałbym się ukrywać? Nie zrobiłem przecież niczego godnego potępienia... – zacząłem, zdając sobie nagle sprawę z tego, jak absurdalnie zabrzmiały moje słowa. Byłem nocnym łowcą, aby przeżyć, zabijałem ludzi, pochłonałem już setki, jeśli nie tysiące istnień.

– No właśnie – rzekł mężczyzna, jakby odczytując moje myśli, i uśmiechnął się ironicznie. – Zasługujesz na śmierć w płomieniach tylko dlatego, że jesteś, kim jesteś, tak samo jak ja. Za to właśnie spłonął Zygryd, za to, że był „nocnym łowcą”, jak nas nazywasz.

– Przecież nie powiedziałem...

– Nie musiałeś. Swoją drogą to bardzo poetyckie określenie na kogoś naszego pokroju... Wierzyć mi się nie chce, że Izydor nie nauczył cię, jak przetrwać w dzisiejszych czasach.

– Czy ty znasz jakieś inne określenie na istoty nam podobne? – spytałem, taksując go wzrokiem.

– Nie znam i nigdy go nie potrzebowałem. Mam swoje imię, które się przecież nie zmieniło, choć ja się zmieniłem. Szukasz dla siebie innej nazwy, jakbyś nie był już człowiekiem. Uważasz, że już nim nie jesteś?

Nie odpowiedziałem, choć jego słowa zmusiły mnie do myślenia. Czy byłem jeszcze człowiekiem? Jakoś nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem.

A jeśli chodziło o Izydora... Z pewnością niegdyś nauczył mnie wszystkiego, jednak lata samotności i bezowocnych poszukiwań, lata frustracji na widok spopielonych ciał moich braci, wszystko to sprawiło, że niemal zapomniałem o tym, że kiedykolwiek odczuwałem szczęście z powodu swojej mrocznej natury.

– Znałeś Izydora? – zapytałem cicho, szybko się poprawiając. – Znasz go?

– Nie znam. Drogi naszych stwórców rozeszły się na długo przed moim przejściem na stronę nocy. Zygryd jednak często wracał do ich wspólnego życia i zastanawiał się, co się z nim stało. Liczę na to, że ty opowiesz mi o jego losach.

– Chciałbym to zrobić, ale Izydor zniknął bez śladu wiele lat temu, zostawiając mnie bez słowa wyjaśnienia. Był wówczas doradcą królowej Elżbiety, mieszkaliśmy na jej dworze i...

– Mieszkaliście na królewskim dworze? – mężczyzna uniósł brwi w zdumieniu. – Wśród ludzi? Pod nosem królowej, toczącej przez całe życie religijne wojny? – zaśmiał się. – Nie wierzę w ani jedno twoje słowo! – huknął w końcu, rozglądając się dookoła. – Ale tutaj nie będziemy rozmawiać, musimy schronić się gdzieś, gdzie Dictaris nas nie wywęszy. Ten szaleniec ma lepszego

nosa niż wszystkie psy piekielne razem wzięte! – mężczyzna znów chwycił mnie za rękę i pociągnął w mrok, ale tym razem dotrzyzymałem mu kroku.

– Dictaris? Kto to? – spytałem.

– Wąchasz dymy stosów i nie wiesz, kim jest Julius Dictaris?

– Nic nie wiem, choć wydaje mi się, iż od wieków już krążę po całej Europie w poszukiwaniu istot mi podobnych. Niestety, dotychczas, jak to określiłeś, wahałem jedynie dymy z ich stosów. Straciłem kontakt ze światem i rzeczywistością, nie wiem nawet, który mamy rok.

– Zbliża się zima 1624 roku, według obowiązującego tutaj kalendarza.

Minęło więc dopiero nieco ponad pół wieku, odkąd przybyłem na kontynent. Zdawało mi się, że tułałem się o wiele, wiele dłużej.

– Mam na imię Arapaggio – rzekł mężczyzna, zwalniając kroku. – A Julius Dictaris to inkwizytor, który obrał sobie za cel zniszczenie mnie, ciebie i wszystkich nocnych łowców. Co gorsza, jest jednym z nas.

– Jak to „jednym z nas”? – przystanąłem. – On także jest...?

– Tak. Jednym ze starożytnych łowców, który postradał najwyraźniej zmysły i postanowił wystąpić przeciwko swoim braciom. A może właśnie jest najsprytniejszy z nas, bo jako jedyny stanął po stronie naszego obecnie największego wroga, Świętej Inkwizycji, tym samym odsuwając od siebie wszelkie podejrzenia. I z pewnością jest najpotężniejszy, skoro potrafi skutecznie działać i wzbudzać zaufanie dostojników Kościoła, pokazując się publicznie jedynie nocą.

To wszystko brzmiało przerażająco i fascynująco zarazem. Nie przypuszczałem dotąd, że można mówić o nas w kategorii potęgi, że panowała wśród nas jakaś hierarchia, dyktowana wiekiem, siłą czy umiejętnością wpływania na ludzi.

Byliśmy z Izydorem pochłonięci polityką do tego stopnia, że nie zastanawialiśmy się nawet, co robią nasi pobratymcy, gdzie i jak żyją. O Zygfydzie dowiedziałem się przypadkiem, gdy na kilka nocy przed zniknięciem mój mentor, opity krwią i życiem swoich ofiar, mamrotał bez większego sensu. Uczepiłem się tych kilku mętnych zdań jak ostatniej deski ratunku, wyruszając na kontynent. Wówczas nie byłem nawet pewien, czy Zygfyd kiedykolwiek istniał, a teraz jedynym dowodem na jego przeszłą już niestety egzystencję był Arapaggio, od którego w ciągu kilku chwil poczułem się całkowicie zależny.

– Nie możemy udać się do domu, który dzieliłem z Zygfydem – mówił Arapaggio bardziej do siebie niż do mnie, skręcając gwałtownie w kolejną

z labiryntu uliczek. – Ludzie Dictarisa splądrowali go, ledwie uszedłem z życiem. Z pewnością czekają tam teraz, aż wrócę po obrazy czy psy...

– Psy?

– Później ci wyjaśnię, teraz musimy znaleźć miejsce, do którego ten kundel na usługach papieża się nie zapuści... Idziemy do Frau Sieger.

– Frau Sieger?

– Do burdelu.

Edgar przerwał na chwilę opowieść, uśmiechnął się i spojrzał na Arapaggia, który także miał rozbawioną minę.

– Frau Sieger... – rzekł zamyślony malarz, odgarniając z twarzy ognisty kosmyk włosów. – Przez lata żerowaliśmy z Zygfydem na tych jej klientach, którzy bili czy okaleczali jej kurwy. To były łatwe, brutalne przyjemności, pozbawione ciężaru wyrzutów sumienia. Wiedziałem, że Dictaris nie odważy się jej nachodzić, choć większość kleru przychodziła potajemnie do jej lokalu, żeby się zabawić. Jej dziwki były w miarę zdrowe, a niektóre nawet dość ładne. Dictaris uchodził jednak za idealnie czystego i przestrzegającego celibatu, nigdy nie zapuszczał się do takich miejsc. Ja sądziłem jednak, że zaślepiony nienawiścią, często nie myślał racjonalnie.

Arapaggio podszedł do nas i usiadł na kanapie obok Lothara, przejmując opowieść Huntingtona.

– Dictaris ścigał Zygfyda od dwóch wieków. Mój stwórca był niemal równie stary, co on. Zygfyd pochodził ze skandynawskich fiordów, gdzie był wojownikiem na długo przed tym, zanim zawitało tam chrześcijaństwo. Został porwany z jakiegoś anonimowego statku i przeprowadzony na stronę nocy gdzieś w głuszy, po czym pozostawiony samemu sobie. Tysiąc lat temu jego stwórca, a potem i Zygfyd, byli niemal równie dzicy, co bestie z tamtejszych puszczy. Dzieliliśmy się wówczas na dwa plemiona: tych, którzy byli podziwiani i czczeni przez ludy pogańskie – byli to najstarsi z nas, pamiętający czasy starożytne – i tych, którzy jak dzikie bestie grasowali na bezludziach, polując na podróżników i zagubionych kupców – ciągnął wspomnienia Arapaggio. – Julius Dictaris wywodził się z ubóstwianych łowców, Zygfyd zaś z dzikusów. W dawnych wiekach oba te odłamy bez przeszkód koegzystowały aż do czasów, gdy stare wierzenia zaczęły ginąć pod butami chrześcijaństwa i dawni bogowie musieli przeobrazić się w coś innego lub zginąć. Ci, którzy nie potrafili się przystosować, płonęli na stosach albo byli mordowani przez swoich niedawnych, a teraz nawróconych wyznawców. Wkrótce przy życiu pozostali tylko ci z nas, którzy nigdy nie opuszczali dzikich ostępów, oraz ci, którzy

podobnie jak Izydor i Edgar odważyli się wkroczyć na powrót do świata ludzi.

Zygfyrd, mimo że z dzikusa przeobraził się w światowca, od wieków żył w ukryciu. Poznawał świat, ale nigdy nie zdecydował się zamieszkać wśród ludzi.

Pod koniec szesnastego wieku, gdy zaraza zdziesiątkowała mieszkańców jakiegoś niewielkiego germańskiego dworu, na którym żyła moja rodzina, los rzucił mnie w objęcia bandy leśnych rozbójników. Bardzo szybko zapomniałem, że moja matka była włoską arystokratką, a ojciec majątym ziemianinem, byłym żołnierzem, zarabiającym na posag dla dwóch córek i wykształcenie mnie, jedyne i najstarszego syna.

Arapaggio uśmiechnął się tylko pod nosem i kontynuował:

– Gdy banda zdecydowała się mnie przygarnąć, byłem już rosnącym młodzieńcem, przygotowującym się jeszcze niedawno do pasowania na rycerza, dlatego szybko stałem się przydatny. Potrafiłem walczyć za pomocą miecza i lancy, do tego celnie strzelałem z łuku i kuszy. Aby się dopasować, musiałem zapomnieć o swojej ogładzie i zdziczałem, stając się okrutnym zabójcą i złodziejem. Mordowałem, rabowałem i gwałciłem bez litości, myśląc o swojej rodzinie, która gniła gdzieś w zbiorowej mogile, i damie mego serca, dla której chciałem niegdyś zwyciężyć turnieje rycerskie. Zaraza zabrała także ją, zanim zdążyłem skraść jej choćby pocałunek. Gwałcąc zamożne mieszcanki, miałem przed oczyma jej twarz.

Pewnej nocy zaatakowaliśmy jednak niewłaściwy konwój – powóz eskortowany przez pół tuzina konnych, którym podróżował Zygfryd ze swoją świtą. Byli oczywiście przygotowani na nasz atak i wyrznęli całą bandę. Zygfryd pozostawił przy życiu tylko mnie i zabrał do swojej ukrytej w leśnej głuszy fortecy, gdzie żył pod strażą zaufanych żołnierzy.

Podobnie jak Izydor, o którym wiele mi opowiadał przez następne lata – byli w końcu braćmi krwi – w swoich laboratoriach bezowocnie poszukiwał środka, który zapobiegałby utracie przytomności o wschodzie słońca. Wolałem nie wiedzieć, jakich ingrediencji do tego używał i co robił z miksturami, które powstawały na skutek jego eksperymentów. Na szczęście nie próbował sprawdzać ich skuteczności na mnie. Podczas gdy on zniknął w podziemnym laboratorium, ja czuwałem nad naszym małym grodem i jego mieszkańcami.

Losy mój i Edgara były w zasadzie podobne, przekonaliśmy się o tym jednak dopiero później, gdy stosy zgasły i mogliśmy przestać uciekać przed prześladowaniami inkwizycji. Wówczas mieliśmy czas na całonocne opowieści.

Przez kilka lat żyłem w zamku Zygfyryda, wkrótce zarządzając całym

samowystarczalnym dworem. Na powrót zacząłem czytać, pisać poezję, tańczyć i adorować kobiety, które nie wiadomo skąd pojawiały się od czasu do czasu, a potem równie nagle znikwały. Nie pytałem, kim były i dokąd odchodziły.

Życie na uboczu bardzo mi odpowiadało. Pod okiem Zygryda, który okazał się bardzo zręcznym nauczycielem, zacząłem malować pierwsze obrazy. Później stały się one swoistą kroniką moich podróży.

Gdy Dictaris znów wypłynął w Europie jako morderca swoich pobratymców, Zygryd przeprowadził mnie i razem uciekliśmy na północ kraju, gdzie zaszyliśmy się w leśnej wieży. Zabraliśmy ze sobą kilka obrazów, na których Zygryd uwiecznił najbardziej urokliwe miejsca, które odwiedził, oraz kilka szczeniąt potężnych mastiffów, które karmiliśmy ciałami naszych ofiar.

Przeszedł mnie dreszcz. Arapaggio spojrział mi w oczy i uśmiechnął się.

– To były inne czasy, w których śmierć i ciało człowieka były postrzegane zupełnie inaczej niż obecnie. Sprawy, które teraz wydają się wam szokujące, dla nas były całkowicie naturalne. Ćwiartowanie ciał nie było dla mnie nowością. Gdy wymagała tego sytuacja, zmieniałem się w rzeźnika, by po chwili umyć ręce i recytować sonety swojego autorstwa wątlym, nieśmiałym damom.

Gdy Dictaris zniknął z pola widzenia i dowiedzieliśmy się, że wyjechali do Rzymu, po dwudziestu latach na wygnaniu postanowiliśmy osiedlić się w Wiedniu.

Teraz wiem, że to spowodowało na nas zgubę.

Przez kilka lat żyliśmy nie niepokojeni przez nikogo za murami starego domu, który kupiliśmy za zgromadzone przez dekady bogactwa. Zygryd jednak nie potrafił odnaleźć się w tak dużym i prężnie rozwijającym się mieście, w którym zabijanie było łatwiejsze niż w zamkniętym środowisku naszego niedużego dworu i okolicznych wiosek. To może wydawać się dziwne, zważywszy na fakt, że chodził po świecie od kilku wieków, ale pochłanianie ludzkiego życia wciągnęło go tak szybko i nieodwracalnie, jak mogłoby pochłonąć kogoś tuż po przeprowadzeniu. Niestety, w tę pułapkę mogą wpaść nawet najstarsi i najsilniejsi z nas, dlatego będziemy powtarzać wam tak często, jak tylko się da, że zabijanie nie może stać się osiã waszego życia – twardym tonem zwrócił się do mnie i Lothara. Kiwnąłem tylko głową, a Arapaggio mówił dalej. – Zygryd wymykał się z domu tuż po zachodzie słońca, gdy ja jeszcze spałem i szalał na ulicach, zostawiając po sobie tuziny trupów z rozplatanymi gardłami. Na miasto padł blady strach, a ja bezskutecznie próbowałem wpłynąć na niego, uspokoić go, zająć czymś, co odwróciłoby jego uwagę od odbierania

życia. Kiedy wydawało mi się, że udało mi się namówić go do powrotu do naszego opuszczonego przed laty grodu w głuszy, zniknął tuż przed świtem, gdy ja spałem, a następnej nocy pochłonęły go płomienie. Gdy zorientowałem się, że inkwizytorzy prowadzą na stos właśnie jego, było już za późno na działanie. Ujawniając się, ryzykowałbym tylko własne życie, a wiedziałem, że Zygryd zrobiłby wszystko, aby mnie ocalić.

Stałem więc bezsilny w tłumie, zdjęty zgrozą i lękiem o własne życie, płacząc po stracie ojca, nauczyciela i jedyne przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałem, i wówczas dojrzałem płowowłosego chłopca, bez wątpienia będącego jednym z nas, który stał tuż przy stosie, nie próbując nawet ukryć się przed ewentualnym inkwizytorem obserwującym tłum. Wiedziałem, że jest jednym z nas, choćby ze sposobu, w jaki jego świetliste, jasne włosy wymykały się spod kapelusza, i nagle usłyszałem jego głęboki głos, sięgający do mnie w ciemności niby długie, białe palce:

„Gdzie jesteś, Zygrydzie?”

Chłopiec odwrócił się w moim kierunku i ujrzałem przepiękną, delikatną twarz, zielone oczy zbliżone kolorem do moich. Poczułem strach, zdziwienie, niepokój, miłość i ciekawość, wszystkie te uczucia skłębiły się we mnie i pomyślałem, że chciałbym powiedzieć mu, iż to właśnie Zygryd, mój ojciec i przyjaciel, płonie na stosie tuż przed nim. Wówczas chłopak rzucił się w moim kierunku, a ja w pierwszym odruchu próbowałem uciec. Co było potem, już wiecie.

Skrzypnięcie drzwi przerwało opowieść i do biblioteki wkroczył Aleksander, powolnym, tanecznym krokiem, rozkosznie rozczochrany i w niedbale narzuconej, rozchełstanej koszuli. Nigdy wcześniej nie wydawał mi się równie ponętny. Bez ceregieli wpakował się na kolana Arapaggia i zapytał dźwięcznym głosem:

– Znowu pławicie się w tych koszmarnych historiach z przeszłości? Czuję niemal swąd stosów... Jesteście relikdami historii, obaj – zbliżył twarz do twarzy Arapaggia, którego wyraźnie zdenerwowało to stwierdzenie, ale usta kochanka ukoily jego gniew. Poczułem zażenowanie i spazm pożądania rozlewający się w dole brzucha.

– Czy wszyscy, którzy mieli spłonąć, już spłonęli? Doprawdy, karmicie naszych chłopców zabobonami sprzed wieków. Dictarisa nikt nigdy nie widział, założę się, że jest jedynie legendą, potworem stworzonym po to, by straszyć nowo przeprowadzonych. Zabierzmy ich lepiej na polowanie, zabierzmy ich na dziwki, pozwólmy nacieszyć się resztkami dogorywającego w nich

człowieczeństwa – zaproponował chłopiec.

– To bardzo dobry pomysł – rzekł Edgar, chwytając za rękę Lothara, który przez cały czas nie drgnął i nie odezwał się ani słowem. – Lothar, oprzytomnij, proszę, i wyciągnij naukę z tego, co wam opowiadamy. Jedziemy do miasta na kolację, potem wynajmiemy najdroższe prostytutki i jeśli będziecie mieli jeszcze siłę, dokończymy opowieść przed świtem.

XXXII

Siedzieliśmy przy najlepszym stoliku w najbardziej renomowanej restauracji w mieście. Ostatni klienci właśnie wychodzili, ale właściciel zgodził się przygotować dla nas wykwintny posiłek po sówitej zapłacie. Nocne wizyty lorda Huntingtona i jego przyjaciół nie były dla niego niczym nowym.

Patrzyłem na pojawiające się kolejno na stole potrawy i miałem ochotę pożreć je wszystkie naraz, Lothar natomiast spoglądał beznamiętnym wzrokiem na półmiski, jakby w ogóle nie był zainteresowany jedzeniem. Wtedy po raz pierwszy zorientowałem się, że coś było nie tak, że proces jego przeprowadzenia jest jakiś niepokojąco inny. Nie ja jeden zresztą to zauważałem.

– Lothar, powinieneś jeść, jest o wiele za wcześnie, by z tego rezygnować – Huntington patrzył na niego stroskanym wzrokiem, a Aleksander i Arapaggio mieli grobowe miny.

Zbyt jednak byłem głodny, aby logicznie myśleć, rzuciłem się na potrawy i byłem gotów sam je pochłonać. Obudziły się we mnie najprymitywniejsze instynkty, miałem ochotę objadać się, aż zrobi mi się niedobrze, następnie wypić duszkiem kilka butelek wina, a potem zajechać tuzin dziwek, klnąc i bijąc je po twarzach i pośladkach. Pragnąłem stać się brutalem, którym nigdy nie byłem, chciałem być złym, złym chłopcem! Na samą myśl o tym zaśmiałem się w głos, ledwie utrzymując jedzenie w ustach.

– Nie jestem głodny... – rzekł Lothar, patrząc na mnie z niesmakiem. – Ale na kobietę mam ochotę, i owszem.

Moi towarzysze łaskawie zaczekali, aż najem się, napiję i wypalę cygaro, po czym wyszliśmy odwiedzić zaprzyjaźnioną z Huntingtonem Miss Maggot, której lokal słynął w mieście z najpiękniejszych nierządnic, najczystszej pościeli i najlepszego opium. Zażywali w nim rozkoszy najbogatsi i najbardziej wpływowi obywatele miasta: politycy, arystokraci, bankierzy i biskupi, którzy oczywiście nie rozpoznawali się nawzajem, przemykając mrocznymi korytarzami burdelu.

Czułem się lekko i świeżo mimo obfitego posiłku i wypitego wina, jakby moje ciało w ogóle tego nie zauważyło.

Weszliśmy do lokalu po podaniu odpowiedniego hasła i wręczeniu komu trzeba odpowiednio grubego pliku banknotów. Po chwili mogliśmy przebierać

wśród takiej różnorodności dziewczyn, jakiej nie widziałem nigdy przedtem.

Miałem wcześniej różne kochanki, owszem, ale nigdy nie stanąłem przed tak trudnym wyborem. Każda z nich była inna, niektóre były chude, inne grube, rude, ciemnoskóre lub piegowate, każda jednak, półnaga, wulgarna i krzykliwie wymalowana, wydawała mi się na swój sposób piękna.

Wybrałem Anabelle, kruchą, śniadą mulatkę, oraz jasnowłosą Lorelei o ogromnych piersiach. Poprowadziły mnie schodami na piętro, do niedużego pokoju, którego jedyne umeblowanie stanowiło masywne łóże z baldachimem. Byłem tak głodny ich ciał, że nie obchodziło mnie, gdzie i z kim byli moi towarzysze.

Pozwoliłem dziwkom zerwać z siebie ubranie, co uczyniły, chichocząc jak podlotki, wdzięczne zapewne, że nie muszą obsługiwać kolejnego zatłuszczonego starca, jakich tłum dojrzałem rozrzucony po zakamarkach salonu na parterze, zanim zacząłem wybierać dziewczyny.

Po kilku minutach szamotaliśmy się w pościeli i było tak rozkosznie i intensywnie, jak tylko mogło być. Nie bałem się całować ich ust, nie bałem się zagłębiać w nie palców czy języka i żałowałem, że mam tylko jeden organ, którym mogłem przygwaźdzać je do łóżka. Ich jęki i krzyki stały się najśłodszą muzyką dla moich uszu, karmiłem je najnamiętniejszymi pocałunkami i psotnymi klapsami, które echem odbijały się od powały. Byłem w niebie, jak mały chłopiec w sklepie ze słodyczami.

Choć zdawało mi się, że nigdy nie będę miał dosyć, w końcu straciłem siły i chyba nawet zdrzemnąłem się na moment, a gdy otworzyłem oczy, dziwki spały splecione obok mnie. Ubrałem się i rzuciwszy na pościel wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie, nie małą fortunę, której nie zarobiłyby tutaj przez rok, wyszedłem na korytarz.

– Wychodzimy, natychmiast! – Aleksander wyrósł przede mną jak spod ziemi. – Nic nie mów, szybko do wyjścia!

Posłusznie pognałem schodami w dół i wymknęliśmy się z lokalu. Aleksander pociągnął mnie w stronę światła pobliskiej ulicy i skinął na powóz, a gdy siedzieliśmy bezpiecznie ukryci w jego ciemnym wnętrzu, rzekł półgłosem:

- Lothar zabił dziewczynę...
- Co zrobił? – spytałem, półprzytomny jeszcze od niedawnej rozkoszy.
- Zabił prostytutkę. Miał przy sobie sztylet, rozplątał jej gardło i opił się krwią. Skonała w jego uścisku, zanim Arapaggio sforsował drzwi.
- Boże! – opadłem na siedzenie. – Tak po prostu...?

– Tak po prostu. Arapaggio i Huntington próbują załagodzić sprawę, wolę nie myśleć, ile to będzie kosztowało.

– Ale to przecież morderstwo, przyłapano go na gorącym uczynku?

– Nie przyłapano. Huntington i Arapaggio zaaranżowali wszystko tak, jakby jeden z gości rzucił się na dziewczynę, a Lothar stanął w jej obronie. Musieli zabić nieszczęśnika i podrzucić go do pokoju, zanim zaalarmowane dziwki podniosły krzyk. Lothar w tym czasie doprowadzał się do porządku, półprzytomny od wchłoniętego życia. Dobrze, że cię przy tym nie było, to cud, że wszystko się udało. Mogliśmy wpaść w poważne tarapaty... – Aleksander przysłonił okienko i ściszył głos. – W dawnych czasach grupa łowców wyrzęłaby po prostu wszystkich świadków i pewnie podpaliła lokal. Dawne czasy jednak już minęły.

Jechaliśmy bez słowa, a w mojej głowie myśli kłębiły się jak walczące kocury. Czy to możliwe, aby Lothara dopadła gorączka zabijania, tak szybko, tuż po przemianie? Wszystko na to wskazywało: jego nieobecny wzrok, brak zainteresowania czymkolwiek i teraz to bezsensowne, ryzykowne zabójstwo. Bałem się o niego, o siebie, o nas wszystkich. Co mogliśmy zrobić, aby mu pomóc?

– Co teraz będzie? – spytałem cicho, ale Aleksander nie odpowiedział. Milczał również, gdy przekraczaliśmy próg posiadłości Huntingtona.

Przebraliśmy się i oczekiwaliśmy na przybycie pozostałych przez godzinę, która zdawała mi się wiecznością. Na dwie godziny przed wschodem słońca drzwi otworzyły się z hukiem i Huntington, miotając przekleństwa, wpadł pomiędzy nas:

– Nie pozwolę ci narażać nas wszystkich! – krzyknął, aż szyby w oknach zadrżały. – Za długo o was walczyłem, aby teraz wszystko stracić!

Arapaggio prowadził szamoczącego się Lothara, mamroczącego pod nosem niemieckie wyzwiska.

– Nie zabronisz mi... – zaczął chłopak, ale Edgar w ułamku sekundy dopadł go i wymierzył mu siarczasty policzek, od którego chłopak aż się zatoczył.

– A właśnie, że ci zabronię! Nie będziesz mordował kogo popadnie w mieście, w którym ustalałem swoją pozycję przez tyle lat! Takie beztroskie zabójstwa zagrożą nam wszystkim! W najlepszym razie będziemy musieli wynieść się z Londynu. Jesteś młody i głupi, wiedziałem o tym od początku, ale wydawało mi się, że zrobię z ciebie dżentelmena!

Lothar zacisnął zęby.

– Już wczoraj powinienem był wziąć cię w karby, gdy zabiłeś tego żebraka

bez mrugnięcia okiem, bez chwili zawahania, z przyjemnością! Przyjemność może sprawiać ci wchłanianie życia, ale nie patrzenie na cierpienie ludzi!

– A to nie to samo? – chłopak usiadł na sofie, nonszalancko zakładając nogę na nogę.

– Nie!!! – huknął Huntington. – Walka o własne życie a niepotrzebne zadawanie śmierci to nie to samo!

Przypomniał mi się wyraz twarzy Aleksandra, gdy oderwał się od ciała złodzieja, i moja własna ekstaza, gdy mordowałem drugiego rabusia. Czy Huntington wiedział, że być może zbyt wiele przyjemności sprawiły nam te morderstwa...? Spojrzałem na Aleksandra, ale on patrzył na Lothara zimnym wzrokiem, nic nie mówiąc. Huntington tymczasem chwycił go za kołnierz i wysyczał:

– Przysięgam, że jeśli nie będziesz posłuszny, nie zawaham się poświęcić cię, aby ocalić nas wszystkich...

Uniosłem dłoń do ust. Czy Huntington właśnie zagroził Lotharowi śmiercią? Chciałem, żeby ten koszmar się skończył, nagle wszystkie groźby, wszystkie niebezpieczeństwa stały się zbyt realne, a życie, które pokochałem w kilka chwil po przeprowadzeniu, w ułamku sekundy wydało mi się jakimś koszmarem.

Czy istniała jakaś szansa na to, że mogę na powrót stać się normalnym człowiekiem? Może nie było jeszcze za późno na to, aby odwrócić proces...?

– Chodź z nami, Armagnac – Arapaggio złożył mi zimną dłoń na karku. – Nie pora teraz na takie rozważania, zresztą, nie cofniesz już czasu. Zdamy jeszcze wrócić do miasta.

– Miejcie Armagnaca na oku przez kilka nocy, poślę po was, gdy... gdy dojdziemy z Lotharem do porozumienia – Huntington spojrzał na mnie. – Pamiętaj, Armagnac, nie pozwól się porwać żądzy mordy – szepnął, a mnie zachciało się płakać. Przypomniałem sobie, że mnie również przez myśl przemknęło, aby zabić którąś z dziwek, ale odegnałem od siebie ten pomysł.

Usłyszałem jeszcze, jak Lothar woła mnie po imieniu, jak wtedy nad rzeką, ale Arapaggio nie pozwolił mi się cofnąć. Objął mnie ramieniem i poprowadził przez główne wejście na podjazd, na którym czekał powóz.

Siedząc w ciemności pomiędzy nim i Aleksandrem, poczułem wszechogarniającą pustkę i pojąłem, że przyjdzie mi zapłacić bardzo wysoką cenę za tę mroczną egzystencję, która stała się moim udziałem.

XXXIII

Udaliśmy się do mieszkania Huntingtona, które rozpoznałem jako lokal zamieszkiwany niegdyś przez Blanche Avoy. Nie wiem, skąd to wiedziałem, po prostu poczułem jej obecność, gdy tylko przekroczyłem próg. Czy meble i bibeloty, na które patrzyłem, należały kiedyś do mojej babki? Nie dostrzegłem jakichś reliktyw przeszłości, które wskazywałyby na to, że mieszkała tu kobieta, mimo tego czułem, że musiała tu kiedyś być.

Usiadłem na szezlongu i pogrążyłem się w zadumie, próbując odegnąć niepokój, który mnie nie opuszczał. Nie zauważałem służby, która przemykała pod ścianami. Dochodziły do mnie jakieś dyspozycje, które wydawał Aleksander, posyłając po nasze rzeczy do posiadłości za miastem, ale nie zwracałem na to większej uwagi. Bałem się, nie wiedziałem jednak czego.

Martwiłem się o Lothara. Zatęskniłem nagle za jego uściskiem, za jego dotykiem i głosem. Poczułem się bardzo, bardzo samotny, zerkając ukradkiem na krzątających się po mieszkaniu Arapaggia i Aleksandra, którzy obdarzali się muśnięciami dłoni czy uśmiechami za każdym razem, gdy się mijali.

Zajęli główną sypialnię, a ja zostałem w salonie i leżąc na dużej, wygodnej kanapie, bezpieczny w ciemnym pomieszczeniu o szczelnie zasłoniętych oknach, zastanawiałem się, czy ja także potrafiłem tak czysto, namiętnie i bezinteresownie kochać. Czy tak właśnie kochałem Lothara? Co pocznę, gdy stanie mu się coś złego?

Chciałem zerwać się z miejsca i uciec do swojego mieszkania, znajdowało się jednak zbyt daleko, abym dotarł tam przed świtem, a poza tym ogarnęła mnie tak przemożna senność, że nie mogłem już otworzyć oczu i po chwili zapadłem w spokojny, pozbawiony snów letarg.

Obudziłem się wieczorem, targany jakimś nieznanym mi bólem, czułem mdłości i zawroty głowy. Dawno nie czułem się tak źle, chyba ostatni raz wówczas, gdy jako dziecko złapałem jakąś tropikalną febrę.

Przez kolejne noce walczyłem ze swoim człowieczeństwem, które za wszelką cenę starało się zwyciężyć. Miałem gorączkę, bolało mnie całe ciało, a posiłki, na które nie mogłem wkrótce patrzeć bez odczuwania torsji, zaczęły smakować jak ocet. Po kilku nocach w malignie mogłem już pić jedynie wodę. Krzyczałem, gdy dziwne w konsystencji i zapachu płyny wydostawały się

ze mnie wszystkimi otworami mojego ciała, miałem wrażenie, że wydalłam sam siebie i wkrótce zostanę tylko pustą, kruchą skorupą. Przez większość czasu, gdy byłem przytomny, odczuwałem przerażenie i strach przed śmiercią.

Aleksander i Arapaggio zajmowali się mną niby najtroskliwsi pielęgniarze, uspokajając mnie słowami i gestami jak małe dziecko. Zanosili mnie do kąpieli i przebierali, byli przy mnie, gdy budziłem się wieczorem i zasypiałem o świcie. Wstydziłem się swojej bezradności, byłem jednak zbyt słaby, by protestować.

Chwilami umysł miałem na tyle jasny, by znów zamartwiać się o Lothara. Czy on także przechodził takie męki? A może Huntington go zabił? Na myśl o tym płakałem niekontrolowanie, a moi opiekunowie pozwalali mi na to, powtarzając, żebym się nie martwił i że wszystko będzie dobrze.

Gdy byłem już zbyt słaby, by podnieść się z łóżka, przyprowadzili do mnie młodego chłopca, obdartusa z ulicy, zapewne sierotę, od jakich roiło się na ulicach Londynu. Patrzyłem na niego jak na jakieś dzikie, niewinne stworzenie, które przypadkiem zawędrowało do jaskini lwa, a gdy dojrzałem błysk sztyletu Arapaggia, chciałem niemal błagać go o darowanie chłopcu życia, kiedy jednak ostrze zagłębiło się w jego szyi, wiedziałem już, że życie to jest moje.

Z każdym łykiem jego gorącej, gęstej krwi, czułem, jak wracają mi siły i kiedy lodowo-ognista kula jego życia wtoczyła się do moich trzewi lub tego, co miałem teraz w ich miejscu, poczułem, że ekstaza dźwiga mnie z pościeli. Jak za pierwszym razem, gdy zabiłem, zgmiotłem ciało chłopca w stalowym uścisku. Patrzyłem na jego brudną, nieruchomą, spokojną twarz i zachciało mi się płakać, ale jednocześnie byłem mu niesłychanie wdzięczny za ten najcenniejszy dar, jaki mógł mi ofiarować. Znów poczułem miłość do całego świata, znów byłem szczęśliwy i beztroski.

I wówczas przypomniałem sobie o Lotharze.

Porzuciliśmy ciało chłopca w pobliżu sierocińca i udaliśmy się do dworu Huntingtona. Po drodze dowiedziałem się, że moja przemiana była już zakończona i trwała szesnaście nocy. Dla mnie była to jedna, niekończąca się noc, pełna cierpienia i strachu. Bałem się zapytać, co lord zrobił z Lotharem, aż w końcu Arapaggio uspokoił mnie, gdy siedzieliśmy już w powozie niosącym nas ciemną drogą do dworu.

– Nie martw się, Armagnac, wszystko się ułoży. Zbyt wiele znaczący dla Edgara, by pozwolił, aby stała się wam jakakolwiek krzywda. Czasem jednak nie można być miękkim, a okrucieństwo należy zwalczać okrucieństwem.

Zbyt byłem zdenerwowany, by zapytać, co dokładnie miał na myśli.

Dwór był opustoszały, jak w noc naszej pierwotnej przemiany.

Huntington, ponury i wymęczony, w rozpiętej koszuli, poprowadził nas schodami do piwnicy, do komnaty, w której ukrywał się za dnia, tej samej, która była miejscem naszej przemiany. Gdy stanęliśmy pod drzwiami, wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia z Arapaggiem i obaj wrócili schodami na górę, Aleksander natomiast bez wysiłku otworzył potężne drzwi i pociągnął mnie za sobą do środka.

W komnacie panował półmrok, a mnie lęk zacisnął się na gardle, gdy dojrzałem Lothara, przywiązanego do zasłanego świeżą pościelą łoża. Nie poruszał się i zdawał się w ogóle nie żyć. Aleksander uspokoił mnie gestem i podszedł do łóżka, przysiadając na jego krawędzi. Z niepokojem patrzyłem, jak pochyla się nad nieruchomym ciałem chłopaka. Oparłem się o kamienną ścianę i zastygłem w oczekiwaniu.

– Znam balsam, który ugasi twoje pragnienie – Aleksander dotknął umęczonej twarzy Lothara. – Rozwiążę cię teraz i razem udamy się na łowy. Tylko ty, Armagnac i ja – dokończył, zręcznymi palcami uwalniając lewy nadgarstek Lothara. Ten nie poruszył się, mimo że w ciągu kilku chwil jego ręce były już oswobodzone. – W ubiegłym stuleciu upodobałem sobie pewien szczególny rodzaj polowania – ciągnął Aleksander, rozwiązując kostki mojego przyjaciela – na które zawsze udawałem się sam. Arapaggio jest istotą z zamierzchłych czasów, podobnie jak Edgar. Mimo pozornego wyrafinowania gustują w prostocie, szczególnie jeśli chodzi o zadawanie śmierci. Ja zawsze lubiłem kokieterię, gierki, przebieranki, w takim świecie dorastałem i przeniósłem swoje zwyczaje do obecnego życia.

Poczułem rosnącą ekscytację. Przypomniałem sobie pierwsze polowanie w towarzystwie Aleksandra, jego zabawę z portowymi zbirami. Co miał teraz w zanadrzu?

– Udamy się dzisiejszej nocy do burdelu szczególnego rodzaju. Słyszeliście zapewne o Mollies? – spytał, podając Lotharowi dłoń i unosząc go z pośłania. Chłopak usiadł jak bezwolna lalka.

Słyszałem o takich miejscach i o chłopcach oddających się za pieniądze mężczyznom. Nigdy nie odwiedziłem takiego lokalu, bo nie posądzałem się o skłonność do chłopców, dopóki nie poznałem Lothara. Moja ciekawość została jednak skutecznie pobudzona.

– Będziemy zabijać Mollies? – spytałem.

Aleksander zaśmiał się dźwięcznie, odrzucając głowę do tyłu.

– O nie, moi chłopcy, dzisiejszej nocy to my będziemy Mollies! – odrzekł,

unosząc słaniającego się Lothara. – No dalej, Lothar, stań na nogi! Wiem, co przeżyłeś, bo sam przeszedłem to samo. Za kilka chwil pożywisz się najśłodsza krwią sodomitów – ojców i mężów, którzy sprzedali dusze za moment rozkoszy w objęciach grzesznych cherubinów. Czy to nie ekscytujące? – dokończył, spoglądając krytycznie na jego zszargane ubranie. – Przebierzemy się teraz za owych cherubinów i zobaczymy, jacyż to dżentelmeni zechcą się z nami zabawić!

Miałem mieszane uczucia, w końcu sam od niedawna byłem sodomitą... Nie zdradzałem jednak żony, nie oszukiwałem dzieci, nie wymykałem się potajemnie, by kupować miłość chłopców. Poczuję się częściowo usprawiedliwiony.

Gdy wyszliśmy z piwnicy, Edgara i Arapaggia nigdzie nie było widać.

Aleksander poprowadził nas do swojej garderoby sąsiadującej z sypialnią, którą dzielił z malarzem. Podśpiewując pod nosem, zaczął przerzucać ubrania, przestawiać buteleczki i pudełeczka na toaletce, której pozazdrościłaby mu każda próżna kobieta.

Wsluchiwałem się chciwie w jego pieśń, w której mieszały się trele jakiegoś egzotycznego ptaka, świergolenie cykad i cały chór chłopięcych głosów, jakbym wysłuchiwał hymnu w kościele w głębi tropikalnego lasu budzącego się do życia.

– Nie słyszałem jeszcze, jak śpiewasz – rzekłem, przypominając sobie, że niedawno wypowiedziałem identyczne zdanie.

– Przyjdzie na to pora – Aleksander rzucił we mnie koszulą o bardzo szerokich rękawach i sutym żabocie, po czym podszedł do Lothara i kilkoma zręcznymi ruchami obwiodł jego oczy czarną kreską kawałkiem węgla, a następnie delikatnie uróżował mu policzki. Lothar poddał się tym zabiegom bez słowa protestu i po chwili jego twarz nabrała tak kuszącego, subtelnego piękna, że gdybym go nie znał, nie mógłbym stwierdzić, czy jest mężczyzną, czy kobietą.

Gdy narzuciłem frywolną koszulę, Aleksander i mną się zajął. Spojrzawszy na siebie w lustrze, uśmiechnąłem się mimowolnie: moje spojrzenie nabrało głębi, a na policzki rzucił się subtelny rumieniec.

Aleksander zaśmiał się i rzekł głosem, który przebiegł dreszczem po moim kręgosłupie:

– Żaden z tych starych durniów wam się nie oprze! A teraz, moi piękni, który z was zasznuje mi gorset?

Wsiedliśmy do powozu tuż przed północą. Na samą myśl o tym, jak

wyglądaliśmy, czułem, że włosy na karku stają mi dęba. Odczuwałem lekki wstyd i dziką ekscytację.

Aleksander, przebijając się na naszych oczach, stał się kobietą o niedbale upiętych, przyozdobionych fioletową wstążką włosach, a takie uczesanie kusząco obnażało łabędzią szyję. Jego talię, którą ścisnąłem gorsetem, okrył śliwkowy aksamit, a pierś przykryły spienione koronki, dając złudzenie kobiecego biustu. Teraz, w dusznym wnętrzu powozu, sam dotyk spódnic jego sukni na udzie doprowadzał mnie do szaleństwa. Obaj z Lotharem mieliśmy rozpuszczone włosy, ubrani byliśmy w rozpięte koszule i obcisłe spodnie, podkreślające kształt naszych ciał. Jeśli do tej pory nie uświadamiałem sobie tego, że byłem niezwykle urodziwym młodzieńcem, teraz dotarło to do mnie w pełni.

Zanim zajechaliśmy pod osławiony męski burdel, Aleksander wtajemniczył nas w plan polowania. Mieliśmy skusić, uwieść, a potem wyprowadzić z przybytku najbardziej zdeprawowanych mężczyzn, którzy tam zawitali. Początek nie powinien nastęrczać problemów, najtrudniejszym zadaniem było jednak wywabienie z budynku mężczyzn, którzy obawiali się zdemaskowania i przydybania w nieodpowiednim towarzystwie.

Czekaliśmy z Lotharem w powozie, aż Aleksander zapłaci burdelmamie za nasze wejście do środka. Wyłonił się z wnętrza pojazdu i niby sama królowa podążył do dyskretnego głównego wejścia, z dumnie uniesioną głową, przyciągając spojrzenia wszystkich mężczyzn i chłopców, którzy czekali w ciemnościach na odpowiedni moment, aby wemknąć się do środka. Spoglądaliśmy za nim i gdy po wymianie kilku zdań przez szparę w drzwiach odwrócił się i skinął nieznacznie w naszą stronę, wyszliśmy z powozu i weszliśmy przez uchylone drzwi do lokalu.

W środku panował zgiełk, grała muzyka, a dym cygar i opiumowych fajek spowijał duży salon i scenę, na której wdzięczny się ubrany w krzykliwą suknię chłopak o kwadratowej szczęce, nieudolnie naśladowując falsetem kobiecy głos. Na jego widok Aleksander parsknął dźwięcznym śmiechem, rozkładając przed twarzą czarny wachlarz. W porównaniu z nim chłopiec na scenie wyglądał groteskowo i topornie, jego gesty były przerysowane, a piskliwy głos ledwie wybijał się ponad rzepolącego pianistę, nawet niestarającego się grać porządnie. Gościom jednak nikły talent śpiewaka zdawał się nie przeszkadzać, gdyż głośnymi okrzykami i gwizdami zachęcali go do większej śmiałości.

– Mam pomysł – Aleksander pochylił się w moją stronę. – Zapłać temu klezmerowi i siadaj do pianina. Ja idę uratować przed totalną kompromitacją tę

lalunię na scenie. I o nic się nie martw, jesteśmy połączeni więzami krwi, będę słyszał każdy dźwięk, zanim nawet go zagrasz. Po tym występie panowie będą się o nas pojedynkować!

Pomysł wydał mi się wyborny.

Lothar usiadł na wolnym krześle tuż pod sceną. Wręczyłem pianiście kilka banknotów, a ten spojrzał na mnie z wdzięcznością i ochoczo ustąpił mi miejsca. Usiadłem przed instrumentem i spojrzałem w górę, gdzie Aleksander negocjował z naburmuszonym artystą jego zejście ze sceny. Obrażona fałszywa primadonna ustąpiła w końcu po odebraniu z jego dłoni zwitka banknotów.

Aleksander wkroczył w światła rampy, a po sali przemknął szmer uznania. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę sceny, na której ta idealna imitacja kobiety wykonała powolny obrót, ukazując wszystkie swoje wdzięki, po czym spojrzała na mnie uczernionymi oczyma i skinęła nieznacznie głową.

Zaintonowałem jakąś frywolną arię z najbardziej znanej opery ostatniego sezonu i gdy wstęp przebrzmiał, głos Aleksandra wypełnił salę dźwiękiem tak przejmującym, lekkim i potężnym zarazem, że wszystkie rozmowy ucichły w ciągu sekundy.

To, co słyszałem w swoich nocnych majakach i snach, nie było nawet w połowie tak cudowne, jak śpiew, który dobył się z jego ust. Nie byłem do końca świadom, co grałem, zasłuchany w dźwięk jego głosu, rozbrzmiewający niby chór anielski w tym podłym przybytku. Aleksander wyglądał i brzmiał jak anioł, który zstąpił z niebios, by swym niezwykłym śpiewem nawrócić zgromadzonych tu grzeszników.

Kątem oka widziałem, jak twarze mężczyzn się zmieniały, jak ich rysy najpierw miękły, a potem tężały, ścinane niedającym się ukryć pożądaniem. Tracili nagle zainteresowanie kokietującymi ich chłopcami, którzy mimo złości również ulegali głosowi Aleksandra i spoglądali na niego niby na nadprzyrodzone zjawisko.

On tymczasem przechadzał się po scenie, wyśpiewując jakieś nedorzecznosci o niespełnionej miłości, zawiedzionych nadziejach i niewiernych kochankach. Karkołomne obiegniki, tryle i glissanda w jego wykonaniu zdawały się dziecinną igraszka, ja jednak na tyle dużo wiedziałem o muzyce, by być pewnym, że żaden z żyjących sopranistów nie byłby w stanie wykonać ich z taką lekkością i zręcznością. Nawiedziła mnie wizja Aleksandra w pełnym scenicznym kostiumie, z pióropuszem na głowie, na scenie opery, czarującego publiczność magią głosu. Wizja była tak przekonująca, że niemal zapomniałem, gdzie się znajdowaliśmy.

Aleksander zakończył arię dźwiękiem tak wysokim, że szkło na tacy stojącej na pianinie zdrzało. Byłem przekonany, że gdyby tylko się wysilił, roztrzaskałby głosem wszystkie kieliszki, butelki i szyby w lokalu. Zagrałem jeszcze kilka akordów i zakończyliśmy ten absurdalny występ.

W sali zapanowała grobowa cisza, a po chwili grzmiący aplauz zagłuszył chrzęst przesuwanych po posadzce krzeseł i szeslongów, gdy sponsorzy rzucili się ku scenie, by poznać tę zniewalającą primadonnę, o której wiedzieli przecież, że nie może być kobietą.

Spojrzałem na Lothara, który śmiał się w głos, uwiesiwszy na ramieniu jakiegoś otyłego dżentelmena z bujnymi bokobrodami. Rozpoznałem w nim sędziego, którego widywałem na salonach. Zaiste, poznawałem coraz to nowe twarze i nagle zaniepokoiłem się, że i my również zostaniemy odkryci. Jeśli jednak ktokolwiek wiedział, kim byliśmy, nie dał tego po sobie poznać.

Mężczyźni istotnie przepychali się i tłoczyli przy nas, przebijając nawzajem swoje oferty. Aleksander musiał czuć się jak rasowy koń na aukcji, ale najwyraźniej świetnie się odnajdował w tej roli. Uśmiechał się z za wachlarza i kokietował walczących o niego mężczyzn, a ja stałem obok i ich zainteresowanie zaczęło mi przeszkadzać. Byli nachalni i czułem niemal smród zepsucia, gdy patrzyłem w ich odurzone, spocone twarze i oczy roziskrzone niezdrowym pożądaniem.

Cała ta scena wydała mi się absurdalna i poczułem, że mam ochotę stamtąd uciec. Aleksander chwycił mnie za rękę i szepnął coś do ucha roslemu mężczyźnie stojącemu obok, rzucił uśmiech w stronę dwóch podstarzałych dżentelmenów i pociągnął mnie w stronę wyjścia.

Odetchnąłem z ulgą, gdy wydostaliśmy się z zadymionego korytarza na ulicę. Lothar podążył za nami, wciąż skręcając się ze śmiechu, i we trzech wycofaliśmy się do pobliskiego zaułka.

– Co teraz? – spytałem, przekonany, że polowanie się nie udało.

– Poczekaj chwilę, a zobaczysz – Aleksander stanął tak, by światło latarni padło na rąbek jego spodnicy.

Nie minęła minuta, a z budynku wyłonili się trzej mężczyźni, którym dał przyzwolenie. Z przerażeniem rozpoznałem jednego z nich, wysokiego i łysiejącego, usiłującego schować się pod rondem cylindra, gdy przemykał pod murem w naszą stronę.

Był to Samuel Greenbourgh, ojciec Lenory, mojej niedawnej uczennicy i kochanki.

– To Greenbourgh! – szepnąłem, na co Lothar zareagował nowym spazmem

śmiechu.

– Faktycznie! – rzucił cicho. – Wybornie!

– Wybornie? Nie mogę zabić ojca Lenory! – syknąłem, skrywając się za plecami Lothara. – Na pewno nas rozpozna!

– Nie rozpoznałby własnej żony, upalił się opium tak, że nie poznałby nawet swojego odbicia w lustrze.

Istotnie, Greenbough ledwie trzymał się na nogach, a wzrok miał szklany i nieprzytomny. Poczułem do niego niewypowiedzianą odrazę, szczególnie gdy przypomniałem sobie, z jakim szacunkiem opowiadała o nim Lenora.

Aleksander skinął na woźnicę i gdy powóz podjechał, zagonił nas do jego wnętrza, po czym wsiadł, gestem zapraszając mężczyzn, by zrobili to samo. Nagle w środku zrobiło się tłoczno i duszno, a ja poczułem się jak w pułapce.

Nie czekając na pozwolenie, obnażyłem sztylet i tak dyskretnie, jak tylko potrafiłem, zagłębiłem ostrze w szyi lorda Greenbough. Nie wiem, jak długo trwała nasza szamotanina. Powóz niebezpiecznie kiwał się na resorach, a jego wnętrze wypełniły zduszone krzyki i jęki ekstazy, gdy Aleksander i Lothar rzucili się na pozostałych mężczyzn, rozpruwając im gardła i dopadając ustami ran na tyle zręcznie, by krew nie zachlapała całego wnętrza i nas.

Gdy wszyscy, którzy mieli umrzeć, byli już martwi, Lothar zastukał w sufit i powóz się zatrzymał. Za bajońską sumę wynajęliśmy wóz na godzinę, zostawiwszy woźnicę przy najbliższej czynnej tawernie i opłaciwszy mu sutą kolację.

Lothar starł krew z twarzy i poprawił rozchełstaną koszulę, po czym zasiadł na koźle i po chwili jechaliśmy niespiesznie w stronę doków, gdzie najłatwiej było porzucić ciała, upozorowawszy napad rabunkowy. To niewdzięczne zadanie spadło na mnie i Lothara, gdyż Aleksander, odziany w gorset i suknię, nie zamierzał taszczyć zwłok. Podejrzywałem jednakże, iż nawet w męskim stroju nie zaszczyliłby nas swoją pomocą.

Zwróciliśmy powóz i ukrywszy splamione koszule pod marynarkami ściągniętymi z naszych ofiar, udaliśmy się na poszukiwanie innego woźnicy, chętnego do zawiezienia nas do domu.

XXXIV

Kołysanie powozu niemal mnie uspiło. Siedziałem oparty o ramię Aleksandra, odczuwałem rozkoszną bliskość jego ciała. Chciałem oprzeć głowę na jego ramieniu, onieśmielało mnie jednak całe to jego teatralne przebranie. Czułem się syty i bezmyślnie szczęśliwy, mimo że przed chwilą zabiłem człowieka, którego przecież znałem.

– Jeśli czujecie, że musicie zabić, wybierzcie kogoś, kto zasłużył na śmierć lub jest u schyłku życia – Aleksander wyplatał z włosów wstążkę i ścierał palcami makijaż, stając się na powrót sobą. – Nawet po wiekach sumienie może doprowadzić was do szaleństwa, jeśli będziecie zabijać niewinnych ludzi. Nasze zmysły, nasze postrzeganie świata, wszystko to się zmienia, ale nasze dusze i serca pozostają ludzkie. Będziecie kochać, tak jak kochaliście jeszcze do niedawna, i tak samo nienawidzić. Jeśli mielibyście rodziny, cierpielibyście po śmierci ich członków, płakalibyście po stracie przyjaciół. Bardzo ciężko jest żyć pośród ludzi i patrzeć, jak starzeją się i umierają. Nie możemy jednak przeprowadzać każdego, do kogo zapałamy afektem.

Jego słowa docierały do mnie jak ze studni, czułem się, jakbym był rozkosznie podchmielony. Istotnie, krew sodomitów była jak wyborna whisky.

– Naprawdę uważasz, że mamy dusze? – spytałem cicho, odsuwając się nieco i obserwując szybkie ruchy jego palców, gdy przegarniał włosy.

– Jeśli wierzysz w to, że ją masz, nie widzę powodu, dla którego mógłbyś sądzić, że ktoś lub coś jest w stanie ci ją odebrać. Ja od dziecka zaznałem w życiu zbyt wiele cierpienia, by wierzyć w to, że czuwa nade mną jakikolwiek bóg. A skoro boga nie ma, nie ma też powodu, dla którego miałbym mieć duszę.

– Nie przeraża cię to? – wyprostowałem się i próbowałem wyostrzyć wzrok, ale jego profil wciąż był zamglony.

– A dlaczego miałoby? Wolę żyć na ziemi jako istota cielesna niż męczyć się w jakichś niebiosach, których istnienia nikt nie jest w stanie dowieść, jako bezcielesna dusza. A zresztą, jeśli już rozmawiamy o tych bredniach, jakimi są piekło czy niebo, to z pewnością niebiosa byłyby dla mnie zamknięte, za to w piekle przywitano by mnie z otwartymi ramionami! – Aleksander zaśmiał się, strząsając burzę loków, która musnęła wyperfumowaną chmurą moją twarz.

– Czy my kiedyś umrzemy? – spytałem, przymykając oczy i przenosząc

wzrok na Lothara, spoglądającego w mrok przez okienko powozu.

– Nie znałem nikogo nam podobnego, kto umarłby śmiercią naturalną. Wszyscy, którzy odeszli, zostali zabici lub sami odebrali sobie życie.

– Czy to znaczy, że będziemy żyć wiecznie? – odezwał się Lothar tak cicho, że ledwie go usłyszałem.

– Jeśli opanujecie dwie podstawowe zasady, czyli umiar w zabijaniu i dyskrecję, macie na to bardzo duże szanse – Aleksander odwrócił się do mnie plecami i gestem poprosił o rozsznurowanie gorsetu.

– Jak często musimy zabijać, by zachować siły? – spytałem, manipulując przy sznurówkach. Nie mogłem skupić się na tym, co robiłem.

– To zależy – Aleksander wydał usta. – A może raczej nie zależy od niczego. Niektórzy zabijają niemal co noc, inni raz na kilka tygodni, a znam i takich, którzy potrafią obyć się bez tego miesiącami.

– A ty? – Lothar pochylił się w jego stronę.

– A ja, mój drogi chłopcze, przedkładam nad zabijanie inne rozrywki... – szepnął Aleksander, niemal dotykając ustami jego twarzy, na co Lothar cofnął się, zażenowany.

Powóz z chrzęstem kół na żwirze zatrzymał się przed wejściem do domu. Wszystkie okna rozbłyskiwały światłami, a odźwierny rzucił się biegiem, by otworzyć drzwiczki.

Edgar i Arapaggio czekali na nas w bibliotece.

Aleksander udał się do swojej garderoby, aby pozwolić służącym, którzy znów krzątali się po całym domu, wyplatać się z pogniecionej sukni, a my usiedliśmy przy wygaszonym kominku. Zdałem sobie sprawę z tego, że wciąż wyglądaliśmy jak męskie prostytutki.

– Widzę, że Aleksander wciągnął was w swoje gierki – Arapaggio zamknął książkę, którą trzymał na kolanach i odłożył ją na stół. – Powiedźcie mi jeszcze, że zaśpiewał.

– Owszem – odrzekłem, usiłując zetrzeć róż z policzków. – Akompaniowałem mu nawet.

– Od półtora wieku nie było sceny, na którą by się nie wdarł – mimo ironicznego wydzwięku głos Arapaggia wydał mi się smutny. – Przeprowadziłem go, gdy stał u progu światowej kariery. Mam wrażenie, że popisując się, gdzie tylko może, daje mi do zrozumienia, że odebrałem mu szansę na sławę – spojrzałem na niego pytająco, ale nie kontynuował, po chwili jednak dodał: – Gdy przyjdzie pora, Aleksander wam opowie, jak to się odbyło. Myślę, że usłyszeliście już zbyt wiele naszych opowieści w tak

krótkim czasie. Pora, abyście zaczęli tworzyć własną historię.

– Co masz na myśli? – Lothar podszedł do nas i usiadł tak, aby znajdować się jak najdalej od Huntingtona. Dostrzegłem zgryzotę na twarzy lorda.

– Wracamy do Wiednia, nasze zadanie tutaj jest zakończone. Pomogliśmy Edgarowi w waszym przeprowadzeniu i teraz musicie znaleźć swój sposób na dalsze życie.

Poczułem ukłucie żalu jak wtedy, gdy ojciec powiedział mi, że nadeszła pora, abym opuścił rodzinny dom. Wówczas jednak miałem przed sobą mnóstwo perspektyw, a teraz czułem się jak błędzące we mgle dziecko. Czy będę potrafił sam ogarnąć wieczne życie? Czy najpierw Arapaggio i Aleksander, a potem również Edgar i Lothar mnie opuszczą?

– Nie martw się, mój chłopcze, teraz czeka was bodajże najprzyjemniejsza część przeprowadzenia, czyli poznanie rodziny.

– Rodziny? – spytałem, unosząc brwi.

– Bytujących na kontynencie łowców – wyjaśnił Edgar, uśmiechając się nieznacznie. – Rozpocniemy tournée po Europie, a gdy wszyscy ludzie w Londynie, którzy nas obecnie znają, będą już starcami lub umrą, powrócimy jako nasi synowie. To bezpieczny i sprawdzony sposób na powrót do miasta, które się pokochało. Ja z pewnością wrócę tutaj, a co zrobicie wy, czas pokaże.

– A co z naszymi koncertami? Kiedy jest ślub Maggie MacLowley? Mieliśmy przecież...

– Zapomnij o Maggie, zapomnij o swoich kochankach i ludziach, którzy was podziwiali. Nie ma już w waszym życiu miejsca na bycie rozpoznawanymi, nie ma miejsca na sławę.

Poczułem się, jakby ktoś odebrał mi ukochaną zabawkę. Podobnie musiał czuć się Aleksander, gdy Arapaggio oznajmił mu, że jego kariera sceniczna zakończyła się, zanim na dobre się zaczęła. Spojrzałem na Huntingtona zimno i nagle wydał mi się samolubnym, chciwym potworem.

– Jestem zmęczony – rzekłem, wstając. – Wybaczcie, ale muszę się wykąpać i położyć – rzuciłem przez ramię i wyszedłem z biblioteki.

Czułem się zdradzony i wykorzystany. Lord podarował nam cały przepych i blichtr życia na salonach tylko po to, by po kilku miesiącach nam go odebrać! Co niby teraz mieliśmy robić? Przygrywać mu, gdy się nudził, i czekać, aż dopadnie nas głód zabijania?

Lothar dogonił mnie na schodach.

– Huntington ogłosił w towarzystwie, że wyjechaliśmy organizować koncerty we Francji, a nasz powóz spadł z jakiegoś klifu w drodze do Paryża –

rzucił, zatrzymując się na ich szczycie.

– Co? – nie mogłem uwierzyć w jego słowa. – Co?? – powtórzyłem głośniejsz, chwytając go za koszulę na piersi.

– Zabił nas, oficjalnie już nie żyjemy – Lothar chwycił mnie za nadgarstki. – Uspokój się, to nic nie da. Nie pojawimy się przecież na salonach jako zjawy z zaświatów...

Wściekłość szarpała mną i miałem ochotę się wyżyć, uderzając Lothara w twarz, jednak jego lodowaty wzrok mnie powstrzymał.

– Co wydarzyło się przez te wszystkie noce, które z nim tutaj spędziłeś? Co zrobił i co powiedział? – furia zaciskała mi szczęki. Znow miałem ochotę zabijać, a co gorsza, przez moment miałem ochotę zabić Huntingtona.

Lothar odwrócił wzrok i jego twarz znow przybrała ten nieprzenikniony, pusty wyraz, jaki często się na niej pojawiał od momentu przeprowadzenia.

– Obiecałem mu, że nic ci nie powiem... – rzekł cicho, zmierzając w stronę naszej sypialni. – Znam go już tyle lat, że jestem mu winien przynajmniej lojalność.

– Ja już nie wiem, co do niego czuję – otworzyłem drzwi i zajrzałem do przylegającej do pokoju łazienki, odkrywając, że kąpiel dla mnie była już przygotowana. – Chwilami wydaje mi się, że nie poradzę sobie bez niego w tym nowym życiu, a czasami mam ochotę po prostu uciec i nigdy więcej go nie oglądać. Jestem zamknięty w złotej klatce! – zdjąłem z siebie zniszczoną koszulę Aleksandra i spodnie. Czułem się brudny i grzeszny, chociaż przecież nie wierzyłem w to, że istniało coś takiego jak grzech. – Rozbieraj się, weźmiemy kąpiel razem – rzekłem w stronę Lothara, który chodził po pokoju, jakby się zgubił i go nie rozpoznawał.

Leżałem w wannie w jego objęciach jak wiele miesięcy temu. Zdawało mi się, że nie byłem już tamtym młodym mężczyzną, że stałem się... No właśnie, czym się stałem?

– Mam ochotę zabrać cię gdzieś daleko, gdzie Huntington nigdy nas nie odnajdzie – szepnąłem, opierając się na jego ciele, które było teraz jeszcze twardsze i prężniejsze niż wówczas, gdy objąłem je po raz pierwszy.

– To nie tak miało być... – Lothar westchnął głęboko, jego pierś uniosła mnie w wodzie. – Lord kocha nas w sposób, którego na razie nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Widział i doświadczył rzeczy, o których nigdy nie będziemy mieć bladego pojęcia, które bezpowrotnie przeminęły. Lata samotności i ucieczki przed zagrożeniem sprawiły, że stał się zaborczy i chciwy miłości, której zawsze miał zbyt mało. Przeprowadził nas po to, abyśmy wiecznie

go kochali, a tymczasem... – zamilkł i mocniej objął mnie ramionami. – Moja wdzięczność za to, że z ulicznika i sieroty pomógł mi stać się dżentelmenem, już dawno przerodziła się w miłość. Jest to jednak bardzo trudna miłość, granicząca z nienawiścią. Teraz nie jesteśmy już od niego zależni, choć on chciałby, żeby tak właśnie było. Jeśli zostaniemy z nim, to z własnej woli i na naszych warunkach. On o tym wie i jest mu bardzo ciężko pogodzić się z myślą, że nie będzie ustalał reguł. Pragnę poznać wszystkie jego tajemnice, ale nie po to, by mieć nad nim przewagę. Chciałbym móc w pełni go pokochać, tak samo jak pokochałem ciebie...

Przywarłem do Lothara całym ciałem.

– Gdy wyjeżdżałem z Ameryki, nigdy nie przypuszczałem, że spotkam mężczyzn, którzy tak bardzo zmieniają moje życie – rzekłem cicho. – Nigdy nie przypuszczałem, że można kochać mężczyznę inaczej niż kochałem ojca. Nigdy nie przypuszczałem, że mężczyzny można pożądać. Byłem przekonany, że po ukończeniu nauki osiadę na jakiś czas w winnicach dziadka albo wrócę do Ameryki i znajdę kobietę lub raczej zostanę z nią zeswatany. Zakładałem, że nigdy nie będę jej kochał, a gdy już urodzi mi wystarczająco dużą gromadę dzieci, znajdę sobie kreolską kochankę, w której ramionach poznam, co to namiętność. Tak to właśnie odbywało się w Ameryce i nie wyobrażałem sobie nawet, że może być inaczej. Tymczasem wojna, strata rodziny i majątku, a w końcu poznanie ciebie wywróciły mój plan na życie, ustalony zresztą nie przeze mnie, do góry nogami. Ani przez moment nie żałowałem jednak, że tak się stało – obróciłem się w ten sposób, że leżałem na nim, a nasze twarze się zetknęły. – Kocham cię nad życie, Lothar, poprzednie i obecne. Chcę spędzić z tobą wieczność i nikt, nawet Huntington, nigdy pomiędzy nas nie wejdzie, nie pozwolę na to...

Wyszliśmy z wanny i wciąż mokrzy rzuciliśmy się na łożo, po czym oddaliśmy najdelikatniejszym pieścizotom, jakie potrafiliśmy wymyśleć. Chciałem zapomnieć o przemocy, która wdarła się pomiędzy nas w czasach salonowych triumfów. Aleksander i Arapaggio twierdzili, że uprawianie miłości może zdusić w nas pragnienie zabijania. Chciałem się o tym przekonać.

– Jeśli kiedykolwiek zechcesz mnie opuścić, powiedz mi o tym – rzekłem cicho, gdy tuż przed świtem spoczywałem przy Lotharze, bawiąc się jego włosami. – Nie odchodź bez pożegnania, nie zostawiaj mnie samego bez słowa...

– Nie zrobię tego – mój kochanek przysunął mnie do siebie i pocałował w czubek głowy. – Nigdy cię nie opuszczę, przysięgam!

Wiedziałem jednak, że ta chwila nieuchronnie nadejdzie.
Nic bowiem nie było wieczne, z wyjątkiem wieczności.

XXXV

Aleksander i Arapaggio odjechali następnego wieczora.

Patrzyłem na oddalający się powóz, zdjęty lękiem, że być może nigdy ich już nie zobaczę, choć przecież zapewnili, że będą oczekiwać nas w Wiedniu, gdzie mieszkali od ponad stulecia.

W ciągu dnia służba spakowała nedorzeczne sterty strojów i sukien Aleksandra, dowieziono też te, z których korzystali w londyńskim mieszkaniu, więc teraz zarówno garderoba, jak i sypialnia, którą zajmowali, wyglądały, jakby od dawna nikt w nich nie rezydował. Podobną pustkę odczuwałem w sercu.

Huntington stał tuż obok, obejmując mnie w pasie, Lothar natomiast zamknął się w bibliotece, chcąc uniknąć tkliwego pożegnania.

– Nie jest prawdą to, co Lothar powiedział ci zeszłej nocy – lord patrzył w ciemność, w której zniknął powóz. – Nie chcę was zmuszać do miłości.

– Nie wiem, co mam teraz zrobić – rzekłem, patrząc na niego. Był nieco niższy ode mnie. – Chciałbym cię kochać i jednocześnie nienawidzić, ale tak naprawdę nie wiem, co czuję. Pomóż mi to zrozumieć, na pewno wiesz, jak to zrobić.

– Nie wiem – odrzekł cicho, dotykając mojej twarzy. – Wiem tylko, że błądziłem w ciemności, a wy, podobnie jak pół wieku temu Blanche, nagle ją rozjaśniliście. Nie chcę drugi raz popełnić tego samego błędu, ale mam wrażenie, że właśnie to robię. Nie chcę, żebyście mnie znienawidzili.

Nie wiedziałem, co mógłbym mu odpowiedzieć.

– Dokończ swoją historię – rzekłem w końcu. – Opowiedz o latach spędzonych z Arapaggiem i o tym, dlaczego się rozstaliście. Opowiedz o waszym ponownym spotkaniu. Opowiedz o Blanche, gdyż znam tylko jej wersję wydarzeń. Opowiedz o tym, jak spotkałeś Lothara i dlaczego wybrałeś właśnie nas, abyśmy wyprowadzili cię z mroku. Muszę w twojej historii znaleźć odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

W tamtej chwili wiedziałem, że jeśli nie pokocham go całym sercem po wysłuchaniu, to nigdy już się to nie stanie.

Gdy usiedliśmy w bibliotece, usłyszałem, jak Lothar zaczął grać na skrzypcach gdzieś w przepastnych czeluściach dworu. Lord uśmiechnął się nieznacznie, słysząc jego rzewną muzykę, i podjął swoją opowieść.

Historia Edgara Francisa Huntingtona – część druga

Tak jak przewidział Arapaggio, szabrownicy na usługach inkwizycji złupili jego dom – zabili psy, spalili obrazy i książki. Nie było do czego wracać, poza tym ryzykowalibyśmy tylko własnym życiem, zapuszczając się na teren, który patrolowali.

Arapaggio był jednakże przekonany, że Dictaris nie wiedział o jego istnieniu. Siepacze byli zaś zbyt tępi, aby zorientować się, że w plądrowanym przez nich domu mieszkała więcej niż jedna osoba.

Staliśmy ukryci w uliczce, obserwując płomienie strzelające z okien domu Zygryda.

– Straciłem wszystko... – rzekł Arapaggio, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. – Nie mam już nic. Nie mam dokąd pójść.

– Pomogę ci – rzekłem, kładąc dłoń na jego ramieniu, wiedziałem jednak, że to on musi mi pomóc. – Tak jak mówiłeś, jesteśmy niemal braćmi, musimy się wspierać.

Czułem jego smutek i wściekłość, bałem się, że może się rozgniewać, nie chcąc okazywać słabości, że odepchnie mnie i odejdzie w noc, a ja znowu zostanę sam.

Nic takiego jednak się nie stało.

Udaliśmy się do burdelu Frau Sieger, która przyjęła nas z otwartymi ramionami, a stała się jeszcze życzliwsza, gdy wręczyłem jej ciężką od złota sakiewkę. Po chwili w najdyskretniejszych komnatach przybytku mogliśmy się przebrać i odpocząć, kokietowani przez jej najlepsze dziewczęta. Arapaggio ufał jej na tyle, że zdecydowaliśmy się spędzić tam dzień, zaryglowawszy drzwi i zasłoniwszy szczelnie okna. Ja oczywiście bałem się, że jeśli w ogóle się obudzimy, będziemy doszczętnie obrabowani.

Arapaggio wyśmiał mnie, twierdząc, że Frau Sieger ma u Zygryda i u niego dług, którego nie spłaci aż do śmierci. Gdyby nie ich interwencja przed kilkoma laty, miałyby twarz oblaną kwasem przez jakiegoś szaleńca. Ze szczegółami opowiedział mi, jak zmusili napastnika do wypicia tego kwasu, a potem niespiesznie pozbawili go życia. Byłem nieco zszokowany, ale nie dałem tego po sobie poznać. Przypomniałem sobie nagle wszystkie trucizny, które niegdyś sam sporządziłem, wypalające wnętrzności i mieszające umysły.

Frau Sieger, doskonale znająca plotki, uświadomiła nas, że Dictarisa nie było w mieście, a skazaniec spalony dzisiaj wieczora został schwytany

przypadkiem, gdy mordował żebraczkę na schodach jakiejś katedry.

Arapaggio śmiał się przez łyzy. Tyle wieków polowania na Zygryda zakończyło się w tak trywialny sposób, a Dictaris nie był nawet świadkiem jego śmierci! Jeśli jednak jego sługusy doniosą mu, że Zygryda już spalono, mogliśmy liczyć na to, że inkwizytor na dłuższy czas odpuści sobie węszenie w tej części kraju.

– Czy nie ma sposobu, aby go zgładzić? – spytałem cicho, odpędzając od siebie natrętną dziewczynę. Wyszła z pokoju, obrażona.

– Jeśli byłoby to możliwe, już dawno byśmy to zrobili – odrzekł Arapaggio, sprawdzając szczelność kotar.

– Zrobilibyśmy? Ty i Zygryd?

– Ja, Zygryd, Izydor czy ktokolwiek z pozostałych łowców, którzy osiedlili się na kontynencie.

– To znaczy, że jest nas więcej?

Arapaggio spojrzał na mnie i prychnął:

– Chyba nie sądziłeś, że ty i Izydor jesteście jedynymi rozumnymi istotami waszego pokroju?

Jeszcze kilka godzin wcześniej tak właśnie sądziłem.

– Przez dziesięciolecia nie spotkałem nikogo mi podobnego, a ci, których widziałem na stosach, zdawali mi się bezrozumnymi bestiami...

– W ogniu każdy z nas straciłby rozum – Arapaggio raz jeszcze sprawdził zasuwę. Była to prywatna komnata dziewczyn. Pokoje, w których obsługiwały klientów, nie miały zamków.

– Świta już prawie – rzekł cicho. – Jutro musimy podjąć decyzję, co dalej. Twoich pieniędzy nie wystarczy na długo.

Następnego wieczora ustaliliśmy, czy raczej Arapaggio ustalił, że udamy się do wieży, w której schronił się z Zygrydem, gdy Dictaris szalał w kraju dwadzieścia lat wcześniej. Mieszkali tam jeszcze przed dwoma laty, przed feralną przeprowadzką do Wiednia. Zabrali ze sobą do miasta tylko część złota i jeśli nikt nie odnalazł wieży, to odzyskalibyśmy miejsce do życia i bogactwa, dzięki którym mielibyśmy zapewniony byt przez następne dziesięciolecia.

Za moje ostatnie pieniądze kupiliśmy konie i ciepłe ubrania, gdyż w powietrzu czuć już było pierwsze chłody. Czekala nas kilkudniowa podróż przez ogołoczone z liści lasy. Obawiałem się rabusiów, ale Arapaggio uspokajał:

– Nie zapominaj, że trudniłem się tym fachem, gdy byłem jeszcze człowiekiem. Znam wszystkie ich sztuczki i kryjówki, a poza tym pamiętaj, że powinniśmy raczej liczyć na to, iż zostaniemy napadnięci. Zaoszczędzi nam

to trudów poszukiwania ofiar.

Podróż trwała niemal tydzień, ale żadna banda nas nie zaatakowała i zaczynałem odczuwać potrzebę odebrania życia na długo przed dotarciem na miejsce. Nie przyznałem się jednak do tego, czułem przed Arapaggiem respekt, mimo że został przeprowadzony zupełnie niedawno.

Za dnia ukrywaliśmy się w jaskiniach lub szczelinach skalnych, gdzie słońce nie mogło nas dosięgnąć. Całym naszym dobytkiem były ubrania, które mieliśmy na sobie, i siodła, które zabieraliśmy ze sobą na spoczynek. Konie puszczaliśmy luzem nad ranem, by pasły się w pobliżu, po czym odnajdowaliśmy je wieczorem. Mieliśmy wiele szczęścia, że nie zostały pożarte przez odzywające się w leśnych ostępach wilki. Staraliśmy się jednak wybierać swoje kryjówki na tyle blisko ludzkich siedzib, aby drapieżniki nie miały jeszcze śmiałości tam się zapuszczać.

To była ryzykowna i męcząca droga.

Obudziliśmy się ostatniej nocy i odkryliśmy, że wszystko pokryła warstwa śniegu, który wciąż padał, a na domiar złego udało nam się odnaleźć tylko jednego konia. Arapaggio posadził mnie przed sobą w siodle; czułem się mocno zażenowany tą sytuacją, na szczęście podróżowaliśmy w ten sposób niezbyt długo i w końcu na ciasnej przełęczy uwolniliśmy zwierzę od naszego ciężaru.

– Dalej musimy ruszyć pieszo – rzekł Arapaggio, rozpinając siodło i zdejmując wierzchowcowi munsztuk. – Niedaleko jest wioska, może jacyś chłopcy znajdą konia, zanim wilki go wyczują – klepnął zwierzę, które odbiegło kilka kroków, wierzgnęło i zaczęło ryć kopytem w śniegu, próbując znaleźć ściętą mrozem trawę.

– Tędy – rudowłosy wskazał na szczelinę w skale, która zdała mi się zbyt wąska, by ktokolwiek się w nią wcisnął.

– Nie przejdziemy tędy... – spojrzałem na rozpadlinę skalną, która ginęła gdzieś nad nami w stromej skale. Czerwonawe śniegowe chmury odbijały się w zalegającej na ziemi warstwie śniegu, mógłbym więc bez trudu dostrzec, jak wysokie były skały, nawet jeśli byłbym zwykłym człowiekiem.

– Tędy rzeczywiście nie przejdziemy – Arapaggio zadarł głowę i chwycił wystający tuż nad nim kamień. – Musimy wdrapać się wyżej – dodał, podciągając się bez wysiłku na rękach i w ciągu chwili znalazł się jakieś trzy metry nade mną. – Dalej, nie będę czekać na ciebie, aż zacnie świtać!

Uchwyciłem się skały i ze zdumieniem odkryłem, że potrafię wspinać się równie zręcznie. Moje ciało samo wiedziało, jakie ruchy wykonać, abym bezpiecznie wspiął się po skale, a potem wcisnął w szczelinę i podążył

za Arapaggiem w zupełnych ciemnościach, przytrzymując się skalnych ścian po obu stronach szerokiej rozpadliny. Chwilami wpadałem w panikę i wołałem go cicho, na co zatrzymywał się i naprowadzał mnie głosem na właściwą drogę. Wolę nie myśleć, co by się stało, gdybym spadł i zaklinował się między skałami, na szczęście po kilkudziesięciometrowej przeprawie dostrzegłem czerwony blask nieba i zeskoczyliśmy na ziemię.

Śnieg przestał tymczasem padać i mroźny wiatr rozwiął chmury. Moim oczom ukazała się skąpana w blasku księżyca potężna kamienna wieża, wyrastająca z ziemi na środku polany niby gigantyczny starożytny obelisk. Taka konstrukcja nie miała tu racji bytu i wyglądała nierzeczywiście, otoczona skałami z trzech stron. Za wieżą ciągnęła się ściana potężnych sosen.

– Za tymi drzewami jest urwisko – Arapaggio otrzepał płaszcz z na wpół stopionego śniegu i okruchów skalnych. – Tylko tak można się tutaj dostać. Żaden człowiek nie jest w stanie tego zrobić. Jesteśmy tutaj bezpieczni.

– Kto zbudował tę wieżę? Jak? I kiedy? – nie mogłem wyjść z podziwu.

– Kilka wieków temu stała tutaj cała forteca, do której prowadziła wąska, stroma droga od strony obecnego urwiska. Gdy skały się osunęły, została tylko ta wieża. W ciągu następnych lat sosny zupełnie przysłoniły widok z doliny, a ludzie, którzy wiedzieli o jej istnieniu, umarli. Teraz już nikt prócz nas nie wie, że tu stoi. Zygfyrd znalazł ją na początku zeszłego wieku i uczynił tu swoją kryjówkę. Ja po raz pierwszy trafiłem tutaj ćwierć wieku temu, tuż po swojej przemianie, gdy uciekliśmy tu przed Dictarisem – brnąc przez zalegający śnieg, Arapaggio wydobył z kieszeni pęk kluczy, co wydało mi się bardzo zabawne. – Ostrożności nigdy za wiele... – mruknął, zrywając ze ściany jakieś pnącza i winorośl, ukrywające potężne, okute żelazem odrzwia. Klucz zachrząścił w zardzewiałym zamku i Arapaggio z niemałym wysiłkiem otworzył drzwi. – Wejdziemy schodami na górę, do części mieszkalnej. Bądź ostrożny, schody są strome – ostrzegł, wspinając się po śliskich stopniach.

Na szczycie wieży znajdowało się kilka obszernych komnat. Mój towarzysz po kolei otwierał okiennice w wąskich, wysokich oknach. Łączone ołowiem szybki były nienaruszone, a w palenisku głównej sali leżały nawet zamknięte polana.

– Nie byłem tu od prawie dwóch lat – Arapaggio rozglądał się po pomieszczeniu. – Nie sądziłem, że tak szybko tu wrócę. Gdy wyjeżdżaliśmy do Wiednia, mieliśmy w perspektywie długie i szczęśliwe życie. Miejmy nadzieję, że drewno nie jest całkiem zamknięte i uda mi się odszukać jakieś porządne krzesiwo.

Opuścili to miejsce, myśląc, że nieprędko tutaj wrócą, mimo to zabezpieczyli je na tyle, żeby żywioty wszystkiego nie zniszczyły.

Usiadłem na kamiennej ławie i długo czekałem, aż Arapaggio wróci z krzesiwem. W końcu wszedł do komnaty, dzierżąc w dłoni płonąca pochodnię.

– Mamy szczęście – rzekł wesoło. – Dolna komnata sypialna jest nienaruszona, będziemy mogli spokojnie się wyspać, a w skrzyni jest wystarczająco dużo złota, byśmy kupili wszystko, co niezbędne.

Arapaggio oprowadził mnie po wieży, pokazując bibliotekę, w której część zbiorów niestety zamokła, oraz sypialnię w podziemiach, w której stały dwa proste, nagie łóżka. W skrzyniach u ich stóp zostało kilka strojów, których dotykał z rozrzewnieniem, w milczeniu. Zastygł w bezruchu, trzymając je w dłoniach, a ja nie miałem odwagi zapytać, czy należały do Zygfyryda.

Na poddaszu, w okrągłej komnacie o wielkich oknach, znajdowało się studio malarskie. Obrazy i sztalugi stały oparte o ściany, a pędzle i resztki farb, olejów i pigmentów zalegały na komodzie i masywnym drewnianym stole, obłożonym osprzętem, który jak się domyśliłem, służył do sporządzania blejtram i obramowań gotowych obrazów. Poza tym w pokoju nie było innych mebli.

– Tutaj malowaliśmy... – rzekł Arapaggio, jakby nie było to dość oczywiste i ujął w dłoń nieduży, pokryty resztkami farby pędzel. – Nigdy nie byłem w tym zbyt dobry, ale Zygfyryd uparł się, abym nauczył się tej sztuki. Twierdził, że malowanie pomaga mu zapomnieć o tym, iż jest mordercą. Chciał zostawić po sobie jakiś ślad i teraz te kilka obrazów to wszystko, co po nim mam...

Chciałem go jakoś pocieszyć, ale powiedziałem tylko:

– Dziękuję ci, Arapaggio. Dziękuję, że pozwoliłeś mi iść razem z tobą, że zabrałeś mnie w bezpieczne miejsce.

Spojrzał na mnie smutno, a blask pochodni, którą zatknął w uchwycie na kamiennej ścianie, odbijał się w jego wąskich, groźnych, zielonych oczach.

– Nie zrobiłem tego tylko dlatego, że łączą nas więzy krwi. Jestem zabójcą i gdybym wyczuł, że mi zagrażasz, już byś nie żył. Zygfyryd w ciągu wieków nie raz zabił istotę sobie podobną, jeśli stanowiła dla niego zagrożenie. Ja bez wahania zrobiłbym to samo.

Umilkł, unosząc do światła obraz przedstawiający jakieś antyczne ruiny.

– Jest w tobie jednak coś, co sprawia, że chce mi się żyć – szepnął. – Gdy patrzyłem na płonący stos, na którym konał Zygfyryd, byłem o krok od rzucenia się w płomień, by zginąć razem z nim. Wtedy jednak zobaczyłem ciebie i wydałeś mi się aniołem, który zstąpił na ziemię, żeby mnie uratować – jego głos był coraz cichszy. – Nigdy nie przyznawałem się do słabości, ani przed

Zygfydem, ani przed nikim innym, teraz jednak czuję, że ty mnie zrozumiesz... – dokończył i zapłakał, a ja podszedłem do niego, wyjąłem z jego rąk obraz i opłotłem go ramionami. I choć był ode mnie o wiele wyższy i potężniejszy, w moim uścisku stał się małym, osieroconym chłopcem.

To był jedyny raz, gdy widziałem Arapaggia naprawdę płaczącego. Jego oczy zachodziły wprawdzie łzami, gdy przez kolejne noce opowiadał mi o życiu z Zygfydem, jednak już nigdy, ani podczas naszych pierwszych wspólnych nocy, ani przez następne lata, nie pozwolił sobie na tak ewidentne okazanie słabości.

Następnej nocy udaliśmy się do pobliskiego miasteczka, gdzie mróz zaczynał zbierać swoje żniwo wśród bezdomnych i żebraków, mogliśmy więc bez trudu pożywić się ich życiem. Za złoto z kiesy Zygfyda kupowaliśmy wszystko, co tylko zdołaliśmy przetransportować do wieży przez skalną rozpadlinę, którą wkrótce nauczyłem się pokonywać w ciągu kilku chwil, nawet obciążony tobołami. Po kilku tygodniach nasz azyl stał się przytulnym domem, w którym spędziliśmy następne pięćdziesiąt lat.

Arapaggio znów zaczął malować i na ścianach zawisły obrazy, których część przetrwała do dziś i zdobi ściany tej rezydencji. Ja w tym czasie zajęty byłem czytaniem zbiorów z obszernej biblioteki Zygfyda.

Arapaggio opowiedział mi ze szczegółami historię swojego życia, którą wam streścił w kilku zdaniach, a ja opowiedziałem mu wszystko o sobie. Odkryliśmy wówczas, jak wiele wspólnych wątków miały nasze losy. Wspólnie zastanawialiśmy się nad tym, co mogło stać się z Izydorem, i doszliśmy do wniosku, że zapewne zginął tak samo jak Zygfyd.

Mijały lata, potem dziesięciolecia, podczas których inkwizycja straciła zęby i pazury, poczuliśmy się więc na tyle bezpiecznie, by myśleć o przeprowadzce. Kupiliśmy dom w Wiedniu i szybko przekonałem się, że mimo traumatycznych wspomnień związanych z tym miastem Arapaggio nie zechce żyć gdzie indziej.

Początkowo sądziliśmy, że bardzo wiele nas łączy, stopniowo jednak zaczęliśmy dostrzegać dzielące nas różnice. On był cichy i skryty, ja natomiast chciałem wychodzić do ludzi i poznawać zmieniający się świat, podnoszący się jak feniks z popiołów z największego w historii pomoru – czarnej śmierci. Zaraza zdawała się zabrać ze sobą dawną, skostniałą, czarno-białą mentalność ludzi i coś w ich świadomości się zmieniało, a ja bardzo chciałem dowiedzieć się co. Postanowiłem wybrać się w podróż do kraju uznanego za centrum kultury ówczesnego świata.

Na pierwszą wyprawę do Włoch, które były uważane za terytorium

Dictarisa, udałem się sam i spędziłem tam całą zimę 1687 roku. O dawnym inkwizytorze nikt już nie słyszał. Przedstawienia operowe cieszyły się teraz większym posłuchem niż kazania księży.

Wiosną roku 1688 wróciłem do Wiednia, gotowy na siłę zaciągnąć Arapaggia w następną podróż. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu dał się namówić i ruszyliśmy do Wenecji, a potem do Neapolu. On stał się jeszcze większym niż ja miłośnikiem opery. W ciągu następnych lat podróżowaliśmy po całej Europie, rozkoszując się wzlotami i upadkami gwiazd sceny i kompozytorów.

Gdy dotarliśmy do Londynu, zwabieni sukcesem Haendla i Farinello, tym razem to ja poczułem, że znalazłem swoje miejsce na ziemi. Wtedy po raz pierwszy zapragnąłem zostać mecenasem młodych artystów, co stało się powodem naszego jedyne go poważnego sporu i ostatecznie naszego rozstania. Arapaggio nie wyobrażał sobie wpuszczenia pod nasz dach ludzi, obawiał się zdemaskowania i wkrótce zdecydował, że sam wróci do Wiednia. Nie było to burzliwe, ostateczne rozstanie, po prostu nasze drogi się rozeszły. Pożegnaliśmy się jak najserdeczniejsi przyjaciele, którymi przecież wciąż byliśmy.

Zostałem sam w Londynie, tym razem jednak był to mój wybór.

W ciągu kilku miesięcy zasłynąłem w mieście jako hojny i życzliwy patron młodych artystów i wkrótce mój dom w sercu miasta, który niestety nie przetrwał do dzisiejszych czasów, stał się centrum kulturalnym Londynu. Zbliżała się połowa osiemnastego wieku i ludzie wyrwali się już wpływowi Kościoła, otwierając się na muzykę, malarstwo i cielesne przyjemności.

Listy od Arapaggia przychodziły regularnie i korespondencja szybko załagodziła nasze niedawne niesnaski. Niedługo po tym, jak na dobre zadomowiłem się w Londynie, otrzymałem wiadomość, że Arapaggio poznał i pokochał młodego śpiewaka operowego, który rozpoczynał właśnie karierę w Neapolu pod pseudonimem Uccellino – Ptaszyna.

Byłem zdziwiony, gdyż do tej pory nie wyobrażałem sobie, że jako łowca mógłbym pokochać jakiegoś człowieka. Darzyłem wprawdzie sympatią moich podopiecznych, na których łożyłem i których sukcesy wspólnie świętowaliśmy, o miłości nigdy jednak nie mogło być mowy. Sądziłem, że Arapaggio, stroniący przecież od ludzi, podzielał mój pogląd na te sprawy. Jakże bardzo się w tej kwestii pomyliłem...

Ludzie niesłychanie mnie ciekawili, czułem się jednak oderwany od ich świata, byłem obserwatorem i nie potrafiłem angażować uczuć w ich kruche

istnienie. Przyglądałem się setkom z nich, jak dorastali, osiągnęli sukcesy, a potem starzeli się i umierali. Jak mógłbym ulokować uczucia w tak ulotnych istotach?

Nie minęło kilka miesięcy, gdy Arapaggio poinformował mnie, że przeprowadził swojego kochanka na stronę nocy. Początkowo nie skojarzyłem, co miał na myśli, i dopiero, gdy obaj przybyli do Londynu, zrozumiałem.

Uccellino, młody złotowłosy kastrat, był teraz łowcą, tak jak my.

Wiedziałem bardziej niż pamiętałem, że ja kiedyś także przeszedłem taką przemianę, nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że sam mógłbym takowej dokonać. Nie byłbym w stanie wyrwać człowieka z jego życia i zmusić do tego, by zabijał, aby kontynuować swoją egzystencję. Wydawało mi się to potwornością i absurdem. Czułem, że nie mam prawa skazywać nikogo na takie życie. Jednakże gdy przyjaciel opowiedział mi, jak przeprowadził chłopca po tym, gdy ten został śmiertelnie raniony w czasie napadu, zasiał we mnie ziarno niepokoju i jakieś niewyraźne pragnienie odnalezienia towarzysza, który dzieliłby ze mną mroczny sekret mojej egzystencji, tak jak kiedyś Izydor, a po nim on sam.

Jak się zapewne domyślasz, owym śpiewakiem był Aleksander, wówczas siedemnastoletni anioł o namiętym sercu, chciwy uwagi i sławy, jednocześnie zrozpaczony i zachwycony nowym życiem, które otrzymał. Zabijał okrutnie i bezmyślnie, więc szybko musieliśmy się rozstać, gdyż Arapaggio nie chciał kierować na mnie nawet najmniejszych podejrzeń. Byłem w końcu znanym i szanowanym mecenasem, musiałem zachować nieskazitelną reputację.

Wyjechali, a we mnie pozostało to niezdefiniowane pragnienie. Na wspomnienie czułości, jaką Arapaggio obdarzał tego nieposłusznego, bezczelnego, niezdyscyplinowanego chłopca, i namiętności, z jaką przywierali do siebie przy każdej okazji, czułem nigdy wcześniej nieznaną tęsknotę.

Przez niemal dwieście lat żyłem jak mnich i nawet przez myśl mi nie przeszło, aby dotknąć w pożądliwy sposób jakiegokolwiek człowieka, kobiety czy mężczyzny. Nie mogłem zmusić się do tego, aby skrzywdzić tych, których przecież platonicznie kochałem, aby przeprowadzić na stronę nocy któregoś z moich malarzy, muzyków czy poetów. Prosperowali pod moimi skrzydłami i nie wyobrażałem sobie, że mógłbym im to odebrać, zamykając na zawsze w ciemnościach nocy, odbierając im uwielbienie ludzi, sławę i zmysłowe przyjemności, jakich dzięki moim pieniądzom mogli zażywać do woli.

Męczyłem się tak przez następne kilkadziesiąt lat, zmieniając miejsca zamieszkania i tożsamości, aż w końcu stałem się lordem Edgarem Francisem

Huntingtonem, który rzekomo powrócił do Londynu ze znamienitych szkół i miał przejąć rodzinne interesy. Zarówno ta tożsamość, jak i kilka wcześniejszych były całkowitą fikcją, osobą, którą stałem się na najwyżej kilka lat, a później zamierzałem porzucić, jak wszystkie poprzednie. Gdy jednak na nowo zadomowiłem się w dobrze mi znanym mieście, wydarzyło się coś, co na zawsze odmieniło moje życie.

Poznałem Blanche Avoy.

Właśnie rozpoczynał się rok 1812. Minęły ponad dwa wieki od czasu mojego przeprowadzenia i wówczas po raz pierwszy poczułem miłość do człowieka.

Blanche była niewinną, słodką i skromną dziewczyną. Cechy te, jakże niespotykane u ludzi, którzy mnie otaczali, wydały mi się istnym objawieniem. Jak wiesz po lekturze jej pamiętnika, nie potrafiłem sprawić, by przetrwała, a zamiast tego dałem Blanche środki, które doprowadziły do jej zepsucia. Stała się światową i niezależną kobietą, czerpiącą z życia pełnymi garściami, czego wyrazem stały się jej liczne romanse, o które byłem wściekle zazdrosny. Nie wiedziałem jednak wówczas, jak sprawić, by mnie pokochała, zdawało mi się, że jeśli dam jej wszystkie dobra materialne, o których zamarzy, zapala do mnie uczuciem.

Jakże bardzo się myliłem...

Gdy odkryłem w końcu, że przez cały czas skrycie mnie kochała, nie było sposobu, by zdusić tę miłość. Jednocześnie pragnąłem jej i chciałem uchronić przed sobą samym.

Widziałem, jak na mnie patrzyła, czułem w jej przelotnym dotyku pasję, jaką do mnie żywiła, bałem się jednak rzucić w wir tego uczucia. Czytałem w niej jak w otwartej księdze i wiedziałem, jak bardzo mnie pragnęła. Otaczała się coraz to nowymi kochankami, chcąc być może zrobić mi na złość lub wzbudzić moją zazdrość, a może po prostu jak każda kobieta pragnęła miłości i czułości, których tak bardzo jej skąpiłem. Wiedziałem, że gdyby do mojego platonicznego uczucia doszła jeszcze fizyczna bliskość, nic nie powstrzymałoby mnie przed przeprowadzeniem Blanche. Znałem ją jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, iż nie byłaby w stanie zabijać, co niechybnie oznaczałoby jej śmierć. Chcąc zatrzymać ją na zawsze przy sobie, zniszczyłbym ją, byłem tego pewien. Zanim jednak skończyłyby w męczarniach, nie potrafiąc podtrzymać swojej egzystencji morderstwami, znienawidziłyby mnie do cna za to, że tak bardzo ją skrzywdziłem. Nie było więc mowy, abym przychylnie zareagował na jej zawoalowane zaloty.

Mając dość zderzania się z moim nieprzeniknionym chłodem, Blanche rzuciła się w wir romansów. Najpierw zapałała żądzą do Aleksandra, co oczywiście było zupełnie niedorzeczne, więc aby się pocieszyć, wdała się w krótki, acz intensywny romans z tym nadętym śpiewakiem Chiamarinem, o którym z dumą, niby to poufale, mi opowiedział. Mogłem mieć o to pretensje tylko do siebie, w końcu sam namówiłem go, by dawał jej lekcje śpiewu... Zamierzała nawet jechać za nim do Rzymu, ale jak wiesz, nigdy do tego nie doszło. Chiamarino wyjechał, a opuszczona Blanche pozwoliła adorować się jakiemuś młodemu baronowi o kupionym tytule, wkrótce zostając jego kochanką. Byłem tak zaślepiony zazdrością, że sprowokowałem go i zabiłem w pojedynku na szpady.

Wtedy Blanche po raz pierwszy powiedziała mi, że mnie nienawidzi.

Potem było już tylko gorzej. Za dnia wysyłałem za nią szpiegów, którzy donosili mi, gdzie i z kim była, co robiła, dowiadywali się nawet u służby, co i o której godzinie jadła. Chciałem kontrolować jej każdy krok i gdy zrobiła coś, co mi się nie podobało, potrafiłem tak zaaranżować jej poczynania, aby pasowały do schematu, który sobie uroiłem. To było jakieś szaleństwo...

Opanowałem się dopiero wówczas, gdy przyłapałem się na planach wyjazdu do Francji, a co za tym idzie – na chęci zamordowania Louisa Marcata, winiarza, z którym moja ukochana nawiązała korespondencję. Gdybym wprowadził te zamiary w czyn, nigdy byś się nie urodził i nie wiem, czy ja dalej stąpałbym po tej ziemi. Być może oszalałbym i odebrał sobie życie, jak wielu przede mną. Taki los spotykał właśnie tych z nas, którzy nie potrafili zgrać się z ludźmi i ich uczuciami. Mogliśmy albo pokochać człowieka i przeprowadzić go na swoją stronę, albo umrzeć z niespełnionej miłości.

Ja wybrałem jednak drogę pośrednią: pozwoliłem Blanche odejść, wyjechać do Francji, zakochać się w Marcacie, a potem popłynąć z nim do Ameryki i rozpocząć tam nowe życie u jego boku, z dala ode mnie i moich mrocznych knowań. Jak wiesz, obserwowałem Blanche przez jakiś czas, a gdy przekonałem się, że była szczęśliwa i spełniona, wróciłem do Londynu z mocnym postanowieniem odcięcia się od niej i jej rodziny na zawsze.

Przysięgłem też sobie, że nigdy już nie pokocham żadnego człowieka, że jeśli los nie postawi na mej drodze łowcy, z którym mógłbym dzielić życie, na zawsze już zostanę sam.

Po potajemnym powrocie do Anglii poczyniłem odpowiednie kroki, aby zabezpieczyć byt moim podopiecznym, po czym uśmierciłem lorda Edgara Francisa Huntingtona jakąś jadowitą karaibską chorobą, której rzekomo nabawił

się w drodze powrotnej z Ameryki, i na kilka dekad zaszyłem się w jakichś ruinach na odludziu.

Cierpiałem.

Dokuczał mi ból duszy tak dotkliwy, że rozważałem zakończenie swojej egzystencji. Wielokrotnie kładłem się na rozsypujących się blankach w oczekiwaniu na wschodzące słońce, ale gdy tylko odczuwałem zapowiedź jego żaru, palącą moją skórę i mącą mi umysł, jak ostatni tchórz uciekałem do bezpiecznego schronienia w lochach. Polowałem na włóczęgów i wieśniaków, zabijając coraz częściej, i czułem, że wpadam w pułapkę, z której sam się nie uwolnię.

W ostatnim świadomym zrywie i przypiływie desperacji zacząłem znów odwiedzać Londyn i tak jak przed wielu laty zmieniające się oblicze miasta i jego mieszkańców polectało moją ciekawość. Wygrzebałem poukrywane w zakamarkach mojego walącego się schronienia złoto i klejnoty, by wkrótce znów wypłynąć na salony jako Edgar Francis Huntington Trzeci, którego dziadek był niegdyś znanym w mieście mecenasem, a ojciec przyszedł na świat w Ameryce i teraz wysłał mnie, swego jedynaka, na podbój Europy. Niemal wszyscy, którzy znali mnie jako dawnego Huntingtona, dawno już umarli, a ci, którzy mogliby mnie pamiętać, byli zżartymi demencją starcami.

Było to niecałe trzy lata temu, jesienią 1866 roku.

Znałem ojców i dziadów ówczesnych prominentów i wiedza ta, w połączeniu z moimi pieniędzmi, których zaledwie część ulokowałem w bankach i nieruchomościach, szybko pozwoliła mi wyrobić nowe koneksje. Zdobyłem zaufanie oraz respekt polityków i arystokracji, a gdy moja pozycja wśród socjety była już stabilna, zacząłem udzielać się jako mecenas.

Jednym z moich pierwszych podopiecznych został młody i dobrze zapowiadający się tenor, Robert Collins. Opłacałem jego mieszkanie, służbę, stroje i prostytutki. Wykupiłem łożę w operze na cały sezon i dość często bywałem na spektaklach, w których brał udział. Oblicze opery było już wówczas inne niż na początku zeszłego stulecia, kiedy triumfy święcili kastraci. Teraz obecność kobiet na scenach teatrów nie była już niczym zdrożnym.

Zauważyłem jednak, że Collins nie gustował w miłosnych igraszkach z kobietami, a luksusowe kurtyzany, które do niego posyłałem, często zwierzały mi się, że między nimi i przystojnym tenorem do niczego nie dochodziło. Wtedy po raz pierwszy zaświtała w mojej głowie myśl, że skoro Robert unikał kobiet, być może zdołałby zapalać uczuciem do mnie. Zdawało mi się, że może być odpowiednim kandydatem na mojego towarzysza. Zanim jednak zdołałem

sprawdzić, czy żywił do mnie jakieś głębsze uczucia oprócz oczywistej wdzięczności, na scenę wkroczył Lothar.

Domyślałem się, że Robert ukrywa coś przede mną i jak wcześniej w przypadku Blanche, tak teraz posłałem szpiegów za nim. Odkryłem, że utrzymywał młodego chłopca o anielskiej urodzie i sprycie ulicznika. Znowu wpadłem w pułapkę zazdrości, ale nie chciałem, by sprawa skończyła się dla mnie tak niepomysłnie, jak wtedy gdy obdarzyłem miłością moją małą Blanche.

W akcie desperacji pozwoliłem Collinsowi towarzyszyć sobie podczas polowania, co okazało się moim największym błędem. W Robertcie dużo było agresji, miał skłonność do przemocy, co w naszym przypadku jest raczej pożądaną cechą, osiągnąłem jednak odwrotny skutek od zamierzonego. Collins zagroził, że powiadomi o moim morderstwie Scotland Yard, po czym ucieknie ze swoim młodzieńskim kochankiem gdzieś, gdzie nigdy ich nie znajdę, jeśli oczywiście wyjdę kiedykolwiek z więzienia. Aby przekonać się, że mam na niego jeszcze jakiś wpływ, nakazałem mu zgwałcić Lothara na moich oczach, po czym jeszcze tej samej nocy, nad ranem, pozbawiłem go życia, pozorując napad rabunkowy i wrzucając ciało do Tamizy.

Lothar został sam, przerażony zniknięciem kochanka i oszołomiony gwałtem, jakiego Robert dopuścił się na moich oczach. Oszołomienie jednak szybko przerodziło się w fascynację moją osobą i wkrótce zrobiłem z Lothara swojego pupila, jakim Collins nigdy nie mógłby zostać. Poprzysiągłem sobie, że nigdy nie zdradzę mu, jaka naprawdę była moja natura.

Lothar natychmiast stał się przedłużeniem mego pożądanego, mojej niespełnionej miłości do ludzi. Zauważywszy jego talent do gry na skrzypcach, postarałem się, aby odebrał najlepszą z możliwych edukację muzyczną, jaką można było zapewnić młodzieńcowi w jego wieku. Jako zręczny aktor, z zadziwiającą pamięcią do języków, wkrótce nabrał ogłady, opanował francuski i włoski, wyrastając na niezmiernie atrakcyjnego młodego mężczyznę o intrygującej urodzie.

Zaczęliśmy kultywować nasze nieczyste gierki, podglądałem, jak uprawiał miłość z kobietami i mężczyznami, których poleciłem mu uwieść. Wkrótce uzależniłem się od tych obserwacji bardziej niż od odbierania życia.

Mniej więcej przed rokiem zdałem sobie sprawę z tego, jak głęboko zżarło mnie zepsucie. Nie było już dla mnie żadnych świętości, manipulowałem ludźmi dla własnej przyjemności w sposób, który jeszcze pół wieku wcześniej wydawał mi się nie do pomyślenia. Zacząłem sobą pogardzać, a mimo to nie potrafiłem zerwać z perwersyjnymi zachciankami.

Nie wiedziałem, komu mógłbym zwierzyć się ze swojej zgryzoty. Napisałem list do Arapaggia i Aleksandra, ale nie widzieli w moim zachowaniu niczego nieprzyzwoitego, co więcej, Aleksander podziwiał nawet moje voyeurystyczne praktyki. Mogłem się zresztą spodziewać podobnej reakcji ze strony rozbójnika i kastrata, którzy niemal nie wychodzili z łóżka i swoich objęć.

Przypomniałem sobie o Blanche Avoy i zastanawiałem się, czy jeszcze żyła. Napisałem do moich przyjaciół z Ameryki, braci bliźniaków Hadriela i Gebriana, których poznałem podczas desperackiej pogoni za Blanche. Gdy nadeszła odpowiedź, Blanche już nie żyła, a jej rodzina, zniszczona wojną secesyjną i jej konsekwencjami, przestała istnieć. Z zawieruchy dziejów ocalał podobno tylko jej wnuk, Armagnac Jardineux, który przebywał gdzieś w rodzinnych francuskich winnicach, a może już udał się do szkół w Londynie.

Armagnac Jardineux, wnuk Blanche Avoy, miał uczyć się w szkołach w Londynie.

Uruchomiłem wszystkie swoje francuskie kontakty, aby dowiedzieć się, co stało się z winnicami Marcata i kto nimi obecnie zarządzał, a Lothara wypuściłem w miasto niby gończego psa, z nakazem pozyskania wszelkich informacji na twój temat. Jeśli postawiłbyś choć krok w obręb miasta, miał dowiedzieć się, na którym kamieniu brukowanej ulicy stanęła twoja stopa. Wiedziałem, że był zdolny do zebrania takich informacji.

Odnaleźliśmy cię w tamtym zapyziałym barze, pijanego do nieprzytomności, a mimo to wygrywającego na rozklekotanym pianinie melodie, które swoją niezwykłością ścięły moją duszę. Obserwowałem z ukrycia, jak Lothar wabi cię swymi zwykłymi sztuczkami, i wkrótce mieliśmy cię już w swojej mocy.

Nie wiedziałem, co dalej zamierzam zrobić. Nie przypuszczałem również, że zakochacie się w sobie, co jeszcze bardziej skomplikuje sytuację. Wiedziałem jedynie to, że prędzej sam umrę, niż stracę was obu, tak jak wcześniej utraciłem Blanche. Gdy zorientowałem się, jak głębokie jest łączące was uczucie, walczyłem tak długo z trawiącą mnie zazdrością, aż po raz pierwszy w życiu wygrałem z nią bitwę.

Zacząłem poddawać was różnym próbom, aby sprawdzić, czy okażecie się dość silni, by z wrażliwych artystów przeobrazić się w morderców. Potem wyjechałem do Wiednia, aby sprowadzić do pomocy Arapaggia i Aleksandra.

Gdy przetrwaliście wszystkie moje intrygi, podjąłem ostateczną decyzję, że przeprowadzę was na stronę nocy, a jeśli to się nie uda, zabiję was obu, a potem odbiorę sobie życie...

Lord zamilkł.

Patrzyłem na Edgara Francisa Huntingtona i zdawało mi się, że widzę go po raz pierwszy.

Na jego twarzy malował się niewypowiedziany smutek, a ja znów poczułem do niego tę trudną do opisu miłość, wszechogarniającą, która sprawiała, że nigdy nie chciałem przestać na niego patrzeć, że pragnąłem ciągle słuchać jego głosu.

– Nigdy w mej wielowiekowej egzystencji nie kochałem nikogo tak jak ciebie – rzekł Huntington, pochylając się w moją stronę i dotykając mojej twarzy tak delikatnie, że niemal nie poczułem musnięcia jego palców. – Wolałbym cię zabić, niż pozwolić ci odejść. Jesteś ucieleśnieniem wszystkich moich sukcesów i wszystkich moich porażek. Widzę w tobie obraz Blanche, którą niegdyś pokochałem zaborczą miłością, wiem jednak, że to tylko złudzenie, gdyż twoja osobowość, twoja wola przetrwania, twoja walka o niezależność przysłaniają wszystko inne. Moja miłość do Lothara jest trudna, jest nieustającą wojną, próbą sił, ma w sobie cień dawnej tragedii Collinsa, która połączyła nas bolesnymi więzami. Uczucie do ciebie jest czyste i niewinne, jak niegdyś do Blanche. Nie chcę już jednak o niej pamiętać, nie chcę nurzać się w bolesnej przeszłości. Chcę iść do przodu. Chcę iść w przyszłość z wami.

Zapadła cisza.

Muzyka Lothara dawno już ucichła, nie słyszałem ani jego, ani służby.

Huntington wstał i podszedł do masywnej, inkrustowanej macicą perłową komody i z górnej szuflady wydobyl niewielką srebrną szkatułkę. Wyciągnął coś z pudierka i wrócił na fotel, jednak po chwili namysłu nie usiadł, a przyklęknął przede mną.

– Ten pierścień należał do Izydora – szepnął, wsuwając mi na środkowy palec lewej dłoni srebrny sygnet ozdobiony dużym rubinem. – To jedyne oprócz wspomnień, co mi po nim pozostało. To najcenniejsza rzecz, jaką posiadam, ale chciałbym dać go tobie. Być może kiedyś przekazesz go komuś, kogo pokochasz tak, jak ja pokochałem ciebie.

Spojrzałem na pierścień, którego klejnot wyglądał jak wielka kropla krwi.

– Tak bardzo... – zacząłem drżącym głosem – tak bardzo pragnę cię kochać... – dokończyłem, patrząc w pełne smutku oczy lorda, bardziej teraz ludzkie niż kiedykolwiek przedtem.

– Kochaj mnie więc – Edgar zbliżył twarz do mojej twarzy. – Kochajcie mnie obaj. Dałem wam wieczność i teraz razem możemy przez nią iść... – jego usta dotknęły moich i cały świat zniknął. Zamknąłem oczy, poddając się pieścizocie jego warg, a kiedy uchyliłem powieki, nic już nie było takie samo

jak jeszcze kilka godzin wcześniej.

Ja natomiast wiedziałem, że kocham Edgara Francisa Huntingtona i nawet jeśli miłość ta zrodziła się z wdzięczności, strachu i poczucia zależności, szczerść i tragizm jego opowieści przekuły ją w najczystsze i najszczerze uczucie, jakiego dotąd doświadczyłem.

XXXVI

Lothar wrócił do biblioteki, cicho zamykając za sobą drzwi, i podszedł do nas. Pochylił się, muskając mój policzek ustami, czego zupełnie się nie spodziewałem. Po raz pierwszy nie poczułem zażenowania i zupełnie nie przeszkadzało mi, że Edgar na to patrzył.

– Moi złoci chłopcy... – szepnął lord. – Pora, abyśmy opuścili ten dom, to miasto i ten kraj. Oficjalnie nie żyjecie, więc nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy bytować w Londynie, ukrywając się tu. Jeśli da wam to jakąś satysfakcję, mogę zabić również Edgara Francisa Huntingtona. Uczyniłem to już raz, mogę więc zrobić i drugi. Mamy majątek ulokowany w bankach w całej Europie, w niemal wszystkich większych miastach czekają na nas domy i apartamenty wypełnione służbą, gotową spełnić każdą naszą zachciankę. Zdecydujecie, dokąd najpierw się udamy, ale jeśli mogę coś zasugerować, chciałbym pojechać do Francji i wykupić dawne winnice Louisa Marcata. Chciałbym, aby Armagnac odzyskał swój majątek. Jeśli cokolwiek pozostało z jego plantacji w Ameryce, również postaram się je wykupić.

– Nie obchodzi mnie Ameryka ani plantacje – odparłem. – Nienawidziłem ich. Nienawidziłem klimatu Luizjany, nie chcę nigdy więcej tam wracać. Ale winnice mojego dziadka... – rozmarzyłem się, próbując sobie przypomnieć widok stoków i szpalerów winorośli w pełnym słońcu. – Tak, tam chciałbym wrócić.

Tak oto rozpoczęła się nasza podróż po Europie.

Huntington miał gotowe dyspozycje na wypadek takiego wyjazdu. Jego prawnicy i pełnomocnicy już dawno rozprowadzili fundusze w miastach, które wyznaczył dużo wcześniej. Teraz wystarczyło wybrać cel podróży i załadować kufry na potężny powóz, który przypominał mi amerykański dyliżans. Nie wiedziałem, gdzie i kiedy Huntington go kupił.

Spakowaliśmy tylko niezbędne rzeczy: trochę ubrań, książek, skrzypce Lothara i teczki pełne nut, po czym wczesnym letnim wieczorem, gdy niebo zachowało jeszcze poblask ognistej poświaty zachodzącego słońca, wyruszyliśmy w podróż, której długości i celu nie znam.

Nie oglądałem się za siebie. Najbardziej z całej opowieści Huntingtona utkwilo mi w pamięci stwierdzenie, że chce iść razem z nami w przyszłość.

Ja także nie chciałem już spoglądać w przeszłość, z której wcale nie byłem dumny.

Jeśli kiedykolwiek będę szukał człowieka, którego mógłbym przeprowadzić, czy odważę się opowiedzieć mu o tym, jak ja przeszedłem na stronę nocy? Czy będę miał odwagę opowiedzieć mu o wszystkich złych uczynkach, które popełniłem? Jak mógłbym spojrzeć w oczy komuś, kogo z pewnością będę kochał, i opowiedzieć mu, jak doprowadziliśmy z Lotharem do upadku Maggie MacLowley? Jak z czystym sumieniem będę mógł powiedzieć o tym, jak zabiłem tego nieszczęsnego sierotę, którego moi stwórcy przyprowadzili do mnie jak niewinne jagnię na rzeź?

Wiem, że ten moment być może nigdy nie nastąpi, ponieważ teraz rozpoczęło się moje życie u boku osób, które kocham, i nie wyobrażam sobie, bym kiedykolwiek chciał je opuścić. A co wydarzy się po drodze i dokąd zanieśie nas los, czas pokaże.

Woła mnie ciemność, choć w mojej duszy wstaje nowy dzień.

Zamierzam odpowiedzieć na jej zew...

Winnice Paradis d'Marcat, jesień 1869

EPILOG

Lothar zamknął notatnik i odłożył go na nocny stolik.

Nie mógł uwierzyć w to, że wszystkie obietnice zostały złamane, a wszystkie przysięgi okazały się tylko pustymi słowami.

Armagnac go opuścił. Opuścił go tak, jak Izydor opuścił niegdyś Edgara, lub może tak, jak Zygfyrd opuścił Arapaggia.

Armagnac bowiem zginął, spalony słońcem, ściskając w objęciach swoją kochankę i oblubienicę, młodziutką, słodką i niewinną dziewczynę, która tak bardzo przypominała Blanche z opowieści Huntingtona. Po obojgu zostało tylko wspomnienie i kupka popiołu, z której Lothar wydobył srebrny sygnet ozdobiony rubinem.

Siedział teraz w sypialni domu, który od zakończenia drugiej wojny światowej dzielił z Armagnakiem, domu, który był ich azylem w świecie, w którym jakże trudno było ukryć się przed ludźmi, przed oczyma wszystkowiedzących kamer i mackami wszechpotężnej, cybernetycznej sieci.

Ich podróż po Europie trwała pół wieku, aż do rozpoczęcia wielkiej wojny, która to zmieniała raz na zawsze oblicze świata. Kiedy wydawało się, że większy koszmar już nie może przydarzyć się ludzkości, wybuchła kolejna wojna, której średniowieczny umysł lorda nie był w stanie pojąć. Lothar i Armagnac nigdy nie dowiedzieli się, dokąd odszedł Edgar Francis Huntington, tak jak on nie dowiedział się, gdzie zniknął Izydor, jego ojciec krwi.

Lothar nie mógł uwierzyć, że przetrwali razem tak wiele, a tymczasem rozdzieliło ich to niepozorne dziewczę, będące nadwrażliwym dziecięciem swojej ery. Młoda poetka do tego stopnia zawładnęła umysłem Armagnaca, że w oczach Lothara stała się czarownicą, która ukradła mu miłość jego życia.

Chcąc uniknąć bolesnych kłótni, Lothar wyjechał, licząc na to, że Armagnac odzyska rozsądek i porzuci pomysł przeprowadzenia jej na ich stronę. Niestety, po powrocie z przerażeniem odkrył na dachu zgliszcza, będące dowodem na to, że zginął na nim łowca strawiony promieniami słońca. Jak długo musieli tam leżeć, zanim nic z nich nie zostało? Czy coś poszło nie tak i dziewczyna umarła podczas przeprowadzenia, a Armagnac, nie mogąc znieść tej straty, postanowił umrzeć razem z nią?

W sypialni, na łóżku będącym świadkiem niezliczonych upojnych nocy,

Lothar znalazł oprawny w skórę notatnik, podobny do tego, który dwieście lat wcześniej prowadziła Blanche Avoy, podpisany na pierwszej stronie:

Lothar, jesteś miłością mojego życia. Kocham Cię – teraz i do końca wieczności. Armagnac.

Lothar czytał przez całą noc, chwilami niewiele widząc przez łzy.

Czy ich historia naprawdę była aż tak burzliwa? Czy ich miłość naprawdę była tak brutalna i namiętna? Armagnac błagał go kiedyś, by nigdy nie opuścić go bez słowa pożegnania, a tymczasem sam to uczynił. Rozstali się w gniewie, skłóceniu jak nigdy wcześniej.

Przez długą chwilę siedział bez ruchu, po czym uniósł się powoli i podążył wąskimi schodami na dach. Srebrny pierścień połyskiwał na środkowym palcu jego lewej dłoni, gdy zanurzył ją w popiołach, a potem położył się, wtulając w nie twarz, i zapłakał.

– Mieliśmy razem iść przez wieczność, zapomniałeś? – szepnął, czując na policzku żar zapowiadający rychły wschód słońca.

To był dobry dzień na śmierć.

Świtało.

KONIEC
części pierwszej



initium
wydawnictwo

Wydanie I
ISBN 978-83-62577-67-5

Wydawnictwo INITIUM
www.initium.pl
facebook.com/wydawnictwo.initium
e-mail: initium@initium.pl